

# "Wszelki wypadek"

## Joanna Chmielewska

Agrafkę, która po trzeciej lekcji zastąpiła guzik, Janeczka nagle poczuła w sobie. Poranek w dniu dzisiejszym był zdecydowanie pechowy. Dwie pary dzinsów po wczorajszym praniu jeszcze były wilgotne, na trzecią parę, którą miała na sobie, jej brat, Pawełek, wylał przy śniadaniu całą szklankę herbaty z mlekiem i z miodem. Postanowiła włożyć ulubioną spódniczkę i zupełnie zapomniała, że zamek błyskawiczny w tej spódniczce zaczął ostatnio grymasić. Przebierając się w pośpiechu, na ten guzik prawie nie zwróciła uwagi, przypomniała sobie o nim dopiero, kiedy odpadł i okazał się ważny, bez niego bowiem zamek błyskawiczny wcale nie chciał się trzymać. Musiała posłużyć się agrafką, która do tej pory zachowywała się przyzwoicie i dopiero teraz odmówiła usług. Nastąpiło to na ulicy. Janeczka wracała do domu od Beatki po wspólnym odrabianiu lekcji. Beata prezentowała doskonałą tępotę matematyczną, w zamian umiała świetnie pisać wypracowania, podział zajęć zatem polegał na tym, że Janeczka rozwiązywała zadania matematyczne, Beata zaś pisała dwa różne wypracowania, jedno dla siebie, drugie dla niej. Dwa razy w tygodniu Janeczka prosto ze szkoły udawała się do koleżanki, razem zjadały obiad, po czym przystępowały do pracy. Tego akurat popołudnia zajęcia nieco się przeciągnęły, w pierwszej kolejności bowiem trzeba było obejrzeć film na wypożyczonej kasecie, która musiała zostać zwrócona przed osiemną, a potem okazało się, że Beata dostała od swojej prababci stare rodzinne zdjęcia, szalenie śmieszne. Panie miały na nich długie suknie i kapelusze z piórami, a panowie dziwaczne, zabawnie zakręcone wasy i nie można było na to nie popatrzeć. W rezultacie Janeczka wracała do domu znacznie później niż zwykle. Noc to jeszcze nie była, zaledwie wieczór, wpół do ósmej, ale ciemności panowały kompletne, jak zwykle w końcu listopada. Latarnie świeciły średnio, ulice zalegało błoto, a w powietrzu czuło się jakby lodowatą mżawkę, Janeczka zatem szła szybkim krokiem do przystanku autobusowego, chcąc jak najprędzej znaleźć się w domu. Była już blisko ulicy Ciszewskiego, kiedy zastopowała ją właśnie ta agrafka. Wbiła się w nią jakoś dziwnie, nie z boku, tylko trochę z tyłu, i z każdym krokiem wbijała się porządniej. Zgadłszy, że spódniczka przekręciła się nieco, Janeczka zatrzymała się i spróbowała dosięgnąć zamka. Okazało się to niemożliwe. Agrafka weszła nie tylko w nią, ale także w rajstopy, które ograniczały pole manewru. W dodatku obie ręce Janeczka miała zajęte, w jednej niosła tornister, w drugiej dość ciężką torbę z książkami, i musiała najpierw pozbyć się balastu, a dopiero potem uporządkować garderobę. Rozejrzała się; błoto było okropne, odrobina śniegu, która spadła przedwcześnie, właśnie stopniała i zamieniła się w rzadką breję. Za nic w świecie Janeczka nie położyłaby tornistra w czymś takim. Uczyniła jeszcze kilka kroków z nadzieją, że to świństwo trochę się przesunie i przestanie tak mocno kłuć, całą postacią wykonała wijący ruch, podobny nieco do tańca brzucha, i rezultat był okropny. Przypomniała sobie rozmiar agrafki i z irytacją pomyślała, że lada chwila zostanie przebita na wylot, a może już ten ostry koniec wychodzi jej z przodu. Rozejrzała się ponownie, bo wyjście już było tylko jedno - znaleźć kawałek suchego miejsca, odłożyć bagaże i dostać się do tej obrzydliwości. Agrafka połączyła spódniczkę z rajstopami, prawdopodobnie trzeba będzie zsunąć z siebie wszystko razem i dopiero wtedy przekręcić. Nie będzie przecież rozbierać się na ulicy, musi wejść do jakiegś bramy. W ogóle do jakiegoś domu, na klatkę schodową... Budynki w tej części Ursynowa zaopatrzone były w domofony i do żadnej klatki schodowej nie miała dostępu, ale przedsionki pozostawały otwarte. Wyobraziwszy sobie jeszcze jazdę autobusem z tym potwornym, ostrym kolcem, Janeczka otrząsnęła się ze zgrozą i skręciła do najbliższych drzwi. Weszła do oszklonego przedsionka. Na klatce schodowej było ciemno i światła oczywiście nie mogła zapalić, ale z ulicy padał blask latarni, nikły, wystarczający jednak, żeby trochę widzieć. Posadzka przedsionka zdeptana i zabłocona była tylko na środku, kąty wydawały się suche, Janeczka zatem odłożyła swoje ciężary i

przystąpiła do manipulacji ubraniowych. Męczyła się co najmniej pięć minut, zanim udało jej się wreszcie odwrócić odzież na sobie i dosięgnąć agrałki. Nie oznaczało to jeszcze zwycięstwa; agrałka przelazła za daleko, nie pozwalała się wyjąć, z zaczepionych rajstop wychodziły nitki, spódniczka była z nimi połączona na mur, szarpanie nie pomagało, obie rzeczy musiały być widocznie w doskonałym gatunku. Na myśl, że zostanie tu na zawsze, unieruchomiona idiotyczną agrałką, bez szans na normalne użytkowanie własnej odzieży, Janeczka wpadła w zimną furję. Zacisnęła zęby, przyklękła nad tornistrem i wyciągnęła z niego piórniki, w którym obok długopisu, ołówka, gumki, temperówki, kilku spinaczy, dwóch koralików i złamanego kolczyka kształtu koniczynki spoczywały malutkie nożyczki. Bez chwili namysłu posłużyła się nimi, wycięła w rajstopach dziurę dookoła agrałki i wreszcie miała te dwie sztuki garderoby oddzielnie. Dalej poszło już łatwo. Rezygnując z wyciągania agrałki, zapięła ją po prostu i przekręciła spódniczkę tak, żeby zamek znalazł się prawie z przodu. Pozostawiania go na boku wolała nie ryzykować. Odetchnęła głęboko, poprawiła kurtkę i pochyliła się, żeby schować piórniki. W tym momencie gdzieś bardzo blisko, prawie przy samym budynku, rozległo się przeraźliwe, alarmowe wycie samochodu. Dźwięk był jej doskonale znany, ale wybuchł tak nagle i tak głośno, że poderwała się gwałtownie, a piórniki wypadł jej z ręki. Uderzył o podłogę, otworzył się i wszystko z niego wyleciało. Zostawiając pozbieranie szkolnych skarbów na później, wyjrzała przez oszklone drzwi. Wył samochód, stojący po drugiej stronie ulicy. Właściciel akurat otwierał go i wsiadał, zapomniawszy najwidoczniej o wcześniejszym wyłączeniu alarmu. -No! - powiedziała Janeczka szeptem pełnym irytacji. - Zamkniesz mu gębę, czy nie? Przez urywane donośne wycie przedarły się nagle jakieś inne dźwięki. Dochodziły skądś z góry i można w nich było rozróżnić szczególnie otwieranego okna i wrzeszczący gniewnie głos. Niepewna, czy jest w tym coś interesującego, wyłącznie na wszelki wypadek, Janeczka uchyliła swoje drzwi i popatrzyła ku górze. Niczego nie zobaczyła, ale za to wycie właśnie umilkło i głos z góry zabrzmiał potężnie i wyraźnie.

-Won od tego wozu!!! - darł się jakiś osobnik. - Złodzieje!!! Ludzie, on. to kradnie!! Won, ty palancie, bo będę strzelał!!! Człowiek w samochodzie nie zwracał na krzyki żadnej uwagi. Zapalił silnik i zaczął się wycofywać z parkingu. Janeczka zostawiła wszystkie swoje rzeczy w przedsionku, wyszła, oddaliła się o kilkanaście kroków i z tej odległości spojrzała na budynek. W otwartych drzwiach balkonowych na czwartym piętrze miotał się facet ze słuchawką telefoniczną przy uchu, wygrażając pięścią w kierunku odjeżdżającego samochodu. Nie zniżał głosu i można było doskonale usłyszeć, że zawiadamia policję o fakcie kradzieży. - Odjeżdża, ścierwo, jeszcze go widzę! Panie, ja jestem na czwartym piętrze! Golf, granatowy, numer rejestracyjny... Kradziony samochód wycofał się pomiędzy innych wozów i zaczął skręcać, bo ulica nie miała przelotu. Osobnik na czwartym piętrze rzucił słuchawkę i znikł z drzwi balkonowych. Janeczka z uwagą przyjrzała się kierowcy, określanemu mianem złodzieja. Przez chwilę padało na niego światło z jednego parterowego okna, widać go było wyraźnie i postarała się na wszelki wypadek zapamiętać jego profil. Następnie wróciła do przedsionka i pośpiesznie pozbierała porzucane przedmioty z piórnika, co przyszło jej o tyle łatwo, że na klatce schodowej zapłonęło światło. Przez wewnętrzne drzwi, również oszklone, ujrzała owego osobnika z balkonu, jak pokonywał ostatnie stopnie schodów, zjeżdżając z nich na obcasach i chwytając za poręcz, bo odrzucała go siła odśrodkowa. Wpadł z budynku jak szalenciec, w ogóle jej nie zauważywszy. Janeczka porwała torbę i tornister i wybiegła za nim. Granatowy Golf docierał już do końca ulicy. Mamrocząc pod nosem różne niezbyt eleganckie wyrazy, osobnik z góry runął do małego fiata, zaparkowanego tuż obok pustego miejsca po Golfie, wyprysnął nim do tyłu, zawrócił i pognął za ukradzionym samochodem. -Małym fiatem pojechał ganiać volkswagena? - zdumiał się Pawełek, kiedy w trzy kwadransy później siostra złożyła mu relację z wydarzeń. - Zwariował, czy co? - No owszem - przyznała Janeczka. - Wyglądał, jakby zwariował. Ale wcale mu się nie dziwię, ten jego samochód był chyba zupełnie nowy. -I jak się włamał? Widziałaś?

- Wcale się nie włamał. Otworzył drzwiczki zwyczajnie, kluczykami. I te kluczyki potem wetknął gdzie trzeba i odjechał. Tylko z alarmem miał kłopoty, wyło mu tak

długo, że aż mnie zdenerwował. Pawełek z niedowierzaniem przyglądał się siostrze.

- Coś chyba musiałaś przeoczyć. Skąd niby miał te kluczyki? Najpierw mu ukradł kluczyki, a potem samochód? - Uważam, że to możliwe. Albo sobie dorobił. Ciekawa jestem, czy go dogonił. - Mowy nie ma, ale też jestem ciekaw. I co mu zrobił, jeśli go dopadł. Ty tam jeszcze będziesz? - No pewnie, że będę, Beata mieszka o cztery domy dalej.

- To spróbuj się dowiedzieć. Rozejrzyj się w ogóle, czy ten Golf tam wrócił. Numer pamiętasz? - Pamiętam. Zapisałam sobie w autobusie. Ale jeśli ten złodziej ma trochę oleju w głowie... - to pewnie, zmienił od razu. Ale gdyby wrócił do właściciela, numer będzie miał ten sam. - I złodzieja pamiętam. Był średniego wzrostu, średnio gruby, na głowie miał dużo czarnych włosów, chyba kręconych, i z profilu potrafię go rozpoznać. Z frontu nie, bo jak go zobaczyłam, już zaczynał wsiadać i głowę miał w środku. - To skąd wiesz, że się nie włamał, tylko otworzył kluczykami? - Tak wyglądało. Wyjrzałam prawie od razu, jak tylko zaczęło wyć i już sobie otwierał drzwi. I mówię przecież, że zaczynał wsiadać. Gdyby się włamywał, byłby jeszcze w trakcie i co najmniej jedna szyba byłaby nie w porządku. A tu nic. I nawet się zastanawiam, czy ten z góry się nie pomylił... Pawełek pożałował głęboko, że sam nie był świadkiem wydarzenia i tym bardziej zażądał dalszego ciągu. Kwestia owych kluczyków intrygowała go niezmiernie. Janeczka obiecała poczynić odpowiednie starania i z westchnieniem przystąpiła do przyszywania guzika i cerowania dziury w rajstopach. Na wszelki wypadek wolała nie zwracać się w tej sprawie do babci. Już po dwóch dniach mogła zaspokoić wymagania brata. Zniecierpliwiony Pawełek czekał na nią w ogrodzie, bawiąc się z psem. Kazał mu warować przy drzwiach, sam biegł w najdalszy zakątek, kładł specjalnie zaznaczony patyk obok liczących, bardzo podobnych, po czym wracał i polecał szukać. Najmądrzejszy pies świata bez chwili wahania pędził ku właściwemu miejscu i przynosił w zębach patyk Pawełka, nie dostrzegając w tym zadaniu najmniejszej nawet trudności. Pawełek doskonale wiedział, że Chaber znajdzie jego patyk wśród miliona innych, absolutnie identycznych, ale, zdenerwowany oczekiwaniem na Janeczkę, nie umiał wymyślić bardziej skomplikowanej zabawy. Ruszył na drugą stronę domu, żeby schować ten patyk dwudziesty piąty raz, postanowił nawet pomacać jakiś inny, leżący obok, ciekaw, czy pies przyniesie także i ten drugi, kiedy po dwóch krokach zatrzymało go radosne piśnięcie. Chaber skoczył w kierunku furtki i Pawełek już wiedział, że Janeczka wraca. Dał sobie spokój z patykami, również popędził ku furtce. - Ty, było gadanie, że niepotrzebnie latasz sama po ciemku! - zawołał, zaledwie Janeczka zbliżyła się na słyszalną odległość. - Babcia zaczęła! Mówią, że powinnaś zabierać ze sobą psa! - Mój pieseczek najdroższy - powiedziała z czułością Janeczka, tuląc i głaszcząc witającego ją, uszczęśliwionego Chabra, po czym wyprostowała się. - Gdzie niby mam go zabierać? Do szkoły? Ruszyła ku Pawełkowi, który czekał przed furtką.

- Poza tym, do Beaty nie zabiorę go za żadne skarby świata - oznajmiła stanowczo. - Bo co? - zainteresował się Pawełek. Janeczka dotarła już do furtki i razem weszli do ogrodu. - Botam jest małe dziecko. Beata ma siostrzyczkę, prawie dwa lata, obrzydliwy bachor. Byłam z Chabrem raz i nigdy więcej. - Bo co? - Bo ten bachor do niego aż kwiczał i dziwię się, że pies z tego nie wyszedł w kawałkach. Nie pozwolę wydlubywać mu oczu i wyrwać ogona i uszu, i siadać na nim, i nie wiem co tam jeszcze, a Chaber jej przecież nie ugryzie. W lecie mógłby czekać na zewnątrz, ale teraz gdzie? W tym błocie? - Trochę przeszło...

- Głupi jesteś.

- No fakt - przyznał Pawełek bez oporu. - O głupotach tu gładzę, zamiast załatwiać poważne sprawy. I co? Czego się dowiedziałaś? Janeczka sapnęła triumfująco i zatrzymała się przed wejściowymi schodkami. - Wszystkiego! Rozmawiałam z tym facetem!

- Z którym? Z tym okradzionym?

- No a co? Myślałaś, że ze złodziejem? Pawełek z pewnym trudem ukrył wybuchły w nim podziw dla siostry. Takich uczuć okazywać po prostu nie wypadało.

- Jak? - spytał krótko.

- Zwyczajnie. Wyszłam od Beaty, poszłam do tamtego domu, to jest po drodze, obliczyłam po oknach, które to może być mieszkanie, i zadzwoniłam. Na tym jego

balkonie się świeciło, więc musiał być w domu i wyobraź sobie, trafiłam od razu!

- Co powiedziałaś?

- Spytałam, czy to jemu ukradli samochód dwa dni temu. Bardzo się przejął i otworzył czym prędzej, i czekał na mnie na schodach przed drzwiami. Powiedział, że jestem jedynym świadkiem, który przyznaje się, że jest świadkiem, bo cała reszta oślepla, ogłuchła i nie istnieje, a policja podobno mówi, że najszybciej z miejsca przestępstwa uciekają świadkowie. Jedna wypowiedź Janeczki zawierała w sobie tyle atrakcyjnej treści, że Pawełek musiał to jakoś przetrwać. Milczał chwilę. -Dobra, rozumiem. Ciekawa rzecz... I co dalej?

Janeczka nie miała wątpliwości, jakie kwestie interesują jej brata. Oddała mu swój tornister, a Pawełek odruchowo przejął ciężar. Ciągłe stali na schodkach. - On mówi, że ten złodziej rzeczywiście miał kluczyki. Mówi, że usłyszał swoje wycie, a to był pierwszy dzień, no, wieczór... kiedy postawił nowy samochód przed domem, bo przedtem trzymał go u znajomych w garażu. Więc usłyszał wycie i natychmiast wyskoczył na balkon, a telefon stoi obok, więc jednocześnie wrzeszczał na tego złodzieja i dzwonił na policję. Straszyl, że będzie strzelał, chociaż nie ma z czego. Widział wszystko od pierwszej chwili, mówi, że ten złodziej musiał mieć dobre kluczyki, bo wcale nie próbował, tylko od razu wetknął jak w masło, bez żadnych trudności. Tylko alarmu nie umiał wyłączyć, a to dlatego, że alarm on sobie sam troszeczkę przerobił natychmiast po kupieniu. Dlatego wyło tak długo. A co do reszty, to on mówi, że musi być jakaś zmowa, ludzie kupują samochody, a do każdego już są dorobione kluczyki, złodziej te kluczyki dostaje razem z adresem tego, co kupił. tylko sprawdza, ma garaż, czy nie. On mówi, że to jest mafia.

Pawełek słuchał w skupieniu, co drugie słowo ze zrozumieniem kiwając głową. - Dogonił go?

- A skąd! Mówi, że to już było z rozpacz. Tego starego małego fiata jeszcze nie zdążył sprzedać, więc wsiadł i pojechał, ale z góry wiedział, że nic z tego nie będzie. Widział przed sobą swojego volkswagena nawet przez duży kawał drogi, ale potem znikł mu z oczu, pojechał w ogóle gdzieś na Pragę. Trasą Łazienkowska. Za to spotkał policyjny radiowóz i okazało się, że wcale nawet nie wiedzieli, że złodziej ucieka koło nich kradzionym samochodem. Komunikat był, ale oni nie słuchali, bo byli zajęci. - Czym?

- Czymś tam. Jakaś awanturą, do której mieli pojechać albo nie. No i ten samochód oczywiście przepadł. Otworzyły się drzwi i wyrzała z nich ich matka, pani Krystyna. - Dzieci, czy to ma być wasza najnowsza przestrzeń życiowa? - spytała z wyrzutem. - Nie stójcie na tych schodkach, jest za zimno. - No owszem, dosyć zimno - zgodziła się Janeczka i wszyscy razem weszli do domu. - Ubezpieczony był chociaż? - zapytał Pawełek w holu, gdzie jego siostra zdejmowała kurtkę i buty. - Ubezpieczony. Mówi, że to cud. Zwróca mu wszystko, tylko musi być dochodzenie.

Będą sprawdzać, czy mu rzeczywiście ukradli, bo mógł go sam gdzieś schować, żeby dostać pieniądze i możliwe, że ja mu się nadzwyczajnie przydam. Mogę zaświadczyć, co widziałam. Pawełek westchnął i ponownie pożałował, że go tam, przy tej kradzieży, nie było. Nie zazdrościł Janeczce, szlachetnie przyznał, że należało się jej, ostatecznie poprzednim razem to on uczestniczył osobiście w najbardziej wstrząsających wydarzeniach, a nie ona. Odgórna sprawiedliwość obdarowała teraz osobę, wcześniej nieco pokrzywdzoną. Cała impreza jednakże utkwiła w nim na mur. Nazajutrz w drodze powrotnej ze szkoły wszystkie samochody ciągnęły jego wzrok niczym magnes, prawie nie mógł oderwać od nich oczu. Szczególną uwagę poświęcał tym stojącym, koło których ktoś się kręcił, chociaż mało było nadziei, żeby kradzieży dokonywano w biały dzień na gęsto zaludnionej ulicy. A jednak miał szczęście! Warto było patrzeć, chociażby tylko na wszelki wypadek... Wpadł do domu mocno spóźniony, niecierpliwie kopnął w kąt buty, byle jak powiesił kurtkę, z rozpędu wrzucił tornister do swojego pokoju i runął do Janeczki. Janeczka siedziała przy biurku, już odwrócona ku drzwiom, bo hałasy w holu brzmiały jednoznacznie. - No? - powiedziała, zanim brat zdążył otworzyć usta.

- Ano właśnie! - odparł z triumfem Pawełek i rzucił się na tapczan. - Jak znalazł, trafiłem na takie coś, że się skichać można! Wcale bym nie zwrócił uwagi, żebyś mi o tym nie powiedziała, ale zwróciłem i specjalnie

podśluchiwałem, i nawet potem pogadałem na ten temat Ale ubaw! Słuchająca niecierpliwie Janeczka odwróciła się razem z krzesłem tyłem do biurka i popukała palcem w czoło. - A może byś tak zaczął mówić z sensem, co? - zaproponowała cierpko. - Ja ci opowiadam porządnie. Nic nie rozumiem na razie i nie wiem, gdzie ten ubaw. - Dobra, zaraz ci wyłożę na patelnię. Chwilowo streściłem. No więc akurat jak wracałem ze szkoły, policja złapała faceta w samochodzie, dwóch, ściśle biorąc, ojciec i syn to byli. Tak się tylko zatrzymałem, na wszelki wypadek, i od razu wyszło, że słusznie. Ten samochód był kradziony. Ojciec się strasznie złościł, a syn go uspokajał... - Skąd wiesz, że kradziony? - przerwała Janeczka.

- Od policji. Usłyszałem. Powiedzieli to wyraźnie. Panie, mamy zgłoszenie o kradzieży tego wozu, powiedzieli, skąd pan go ma? A on na to, ten syn, że kupił. Od znajomego, ale coś mi się widzi, że kręcił, bo nazwiska znajomego nie znał, to co to za znajomy. Kupił i jeździ nim już ładne parę miesięcy, nie ukradł przecież, wszystkie papiery im pokazywał, mam na myśli dowód osobisty i tak dalej. Ale umowę kupna miał w domu i obiecywał, że też im pokaże, na tym stanęło, pojechali z nim razem. Zaglądali do silnika, numer sprawdzali, przebity, z tym że byle jak, nawet się ten złodziej nie fatygował, żeby to zrobić porządnie, i ten poprzedni odczytali. Parę osób tam się przyglądało, bo ten ojciec pomstował, ale bardzo elegancko. Tyle że dosyć głośno. A syn mówił, cicho tatusiu i daj spokój tatusiu, i wyglądał jak ogłuszony. - Każdy na jego miejscu byłby ogłuszony - przyznała Janeczka. - I co dalej? Jaki to w ogóle był samochód? - Ford Fiesta. Nie wiem, co dalej, wsiedli i odjechali oglądać umowę. - I jak on się nazywa?

-Kto?

-- Ten właściciel kradzionego samochodu.

- A skąd ja mam to wiedzieć?

- Jak to? Nie podejrzajesz? Nie usłyszałeś, jak mówili?

Pawełek zakłopotał się nieco.

- Usłyszeć, może i usłyszałem, ale prawdę mówiąc, nie zwróciłem uwagi. Bo co? Janeczka odwróciła się z powrotem do biurka, ale nie podjęła odrabiania lekcji. Wsparła łokcie na blacie i brodę na dłoniach i z namysłem popatrzyła w okno.

-Na wszelki wypadek -odparła po chwili milczenia. -- On zna takiego, który pewnie zna złodzieja, chyba że sam kradnie, ale to jeszcze lepiej. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba. To, co tamten mówił... Pan Zajrzał... - Co za pan i gdzie zajrzał? - przerwał rzeczowo Pawełek, zsuwając się nieco z tapczanu i siadając prosto. - Nigdzie nie zajrzał, on się tak nazywa. Ten od Golfa. Nazywa się pan Zajrzał. - A... To co ten pan Zajrzał?

- Mówił, że on uważa, że policja ma to w nosie. Nawet nie próbują szukać samochodów i łapać złodziei. Kichają kompletnie. - A to niby dlaczego? - oburzył się Pawełek i zjechał z tapczanu na dywan. Obejrzał się, sięgnął po kolorową poduszkę i podłożył ją pod siebie. - On uważa, że machnęli ręką, bo nie dają sobie rady. Mają tego za dużo. A oprócz tego, on uważa, że może nawet biorą łapówki od złodziei, nie żeby wszyscy, ale niektórzy. I w ogóle lekceważą. - Ej że! - zaprotestował Pawełek z wyraźną urazą. - Ci tutaj wcale sobie nie lekceważyli! Sprawdzali faceta, bo rzeczywiście na czerwonym świetle przejechał, to od ludzi słyszałem, sam przyszedłem, jak już stał, a przy okazji, z miejsca, pierwsze co obejrzel, to ten przebity numer. Nikt ich nie zmuszał, sami z siebie. I uczepili się jak rzepy, chociaż grzeczni byli do nieprzytomności. Proszę bardzo, mówili, i dziękuję bardzo, i pan będzie łaskaw...

- No to przecież mówię, że nie wszyscy! - zirytowała się Janeczka. Porzuciła okno i znów odwróciła się do brata. - Ci może akurat nie. I wcale nie ja to mówię, tylko pan Zajrzał. - On przesadza, bo jest poszkodowany.

- No owszem, możliwe. Ale jednak ten radiowóz, do którego dojechał, ani nie słuchał komunikatu, ani nie ruszył ganiać złodziei... - Bo to nie tak jest! - przerwał energicznie Pawełek. - Tam ludzie mówili między sobą i każdy opowiadał, a ja tylko słuchałem. Tego jest zatrząsienie! - Czego jest zatrząsienie?

- Tego złodziejstwa. Tych kradzieży samochodów. I najwięcej kradną Volkswagenów Golfów, nie było wiadomo dlaczego, ale teraz już wszyscy wiedzą. Wywożą je do Związku Radzieckiego. - Już nie ma Związku Radzieckiego -

przypomniała sucho Janeczka.

- No to co? Nazwy nie ma, ale reszta została. Bez znaczenia jak się nazywają, wszyscy tam chcą mieć Golfy i podobno nie tylko u nas kradną, ale w ogóle po całej Europie. To jest szajka międzynarodowa! - Bardzo dobrze. Jeżeli to jest szajka i wszyscy wiedzą, że to jest szajka, w dodatku międzynarodowa, to właściwie policja co? Pawełek stropił się mocno. Pytanie Janeczki było może nieco ogólnikowe, rozumiał jednak, o co tu chodzi. Rzeczywiście, w tym całym działaniu władzy nie dostrzegało się wielkiego zapału, raczej zniechęcenie i jakby brak nadziei. Potwierdzało to przypuszczenie, że mają tego za dużo i nie dają sobie rady. Myśl, że wobec tego powinno się im pomóc, pojawiła się od razu. Odsunął poduszkę i kiwnął głową. - No dobrze, zgadza się. Kradną na prawo i na lewo i policja się nie rozszarpie na sztuki; zaczyna im być wszystko jedno. Kumple mówili to samo, znaczy każdy dokładał, a jeden zna takie wydarzenie, prawie był przy tym, bo obok mieszka, facet z góry wrzeszczał do swojego poloneza, tak jak ten twój. Zajrzał... - Nie rozumiem - przerwała z niesmakiem Janeczka. - Gdzie zajrzał z góry? - O rany... Nigdzie nie zajrzał, mówię, że wrzeszczał z góry tak jak pan Zajrzał! - A... I co?

- ten złodziej z dołu powiada, już już, tylko sobie radyjko wezmę. Wymontował radio i zanim tamten z góry zleciał, śladu po nim nie było. Policja nawet przyjechała, owszem, bo ktoś zadzwonił, ale też nic im z tego nie przyszło... - No dobrze - przerwała mu znów Janeczka. Mają z nimi za dużo zawracania głowy i zatrute życie. Powinni chcieć się pozbyć tego. Szajka, wszyscy wiedzą, niechby nawet dwie szajki, to ile to może być sztuk? Dywizja? Ile osób ma w sobie dywizja? Pawełek odruchowo dokonał w myśli pośpiesznego obliczenia. - Pi razy oko od trzech tysięcy do czterech i pół. Do czego ci ta dywizja?

- Do niczego. Niemożliwe, żeby tych złodziei była cała dywizja! A jak jest mniej, trzeba ich po prostu wylapać wszystkich i będzie święty spokój. I najlepiej jest łapać na gorącym uczynku, bo wtedy wszystko wiadomo. I co? Dlaczego się tego nie robi?

- Nie wiem, czy się nie robi. Robi się chyba, nie?

Janeczka ponownie odwróciła się do okna.

- Ale z tego co mówisz, i co pan Zajrzał mówi, wychodzi, że idzie im to jakoś niemrawo. No nie wiem... No właśnie, nie wiem i chcę wiedzieć Rób sobie, co chcesz, ale dowiedz się, jak oni się nazywają, ten ojciec i syn. I nie zadawaj głupich pytań, po co, bo jeszcze nie wiem, po co. Wyłącznie na wszelki wypadek... - Słuchajcie, dzieci - powiedziała przy kolacji pani Krystyna odrobinę jakby niepewnie.

- Jest taka sprawa... Dzwoniła jedna moja znajoma, pani Basia... Znacie chyba panią Basie? - Znamy - odparł Pawełek. - Taka chuda i zawsze okropnie rozczochrana? - Ta, której się uszy wyciągnęły na pół metra od złotych kolczyków? - upewniła się Janeczka. - Ta - przyświadczyła z rozpędu pani Krystyna i zreflektowała się. - To znaczy... - Znamy ją - przerwały dzieci. - I co?

- Dzwoniła i chce zaprosić Chabra. Do siebie, z wizytą. Może nawet kilka razy. - Bo co? - zainteresował się podejrzliwie Pawełek.

- Też ma psa, ściśle biorąc sukę. Takiej samej rasy i chce ją za Chabra wydać za męża, bo liczy na to, że dzieci będą równie mądre. Więc właściwie on jest zaproszony z wizytą do narzeczonej. Nie macie chyba nic przeciwko temu? - Nie - przyzwoliła Janeczka łaskawie. - Może być. Kiedy? - Najlepiej byłoby zaraz jutro. Rafał z wami pojedzie, bo to jest w Powsinie, daleko od autobusu. Już z nim rozmawiałam, powiedział, że może. Od razu po obiedzie. W szczególności nie musicie się wdawać, bo mąż pani Basi jest weterynarzem i zaopiekuje się psami. - Chaber żadnej opieki nie potrzebuje, ale niech będzie - zgodził się Pawełek wyniośle. - W takim razie sprawa załatwiona - rzekła z ulgą pani Krystyna i podniosła się od stołu. - Zaraz do niej zadzwonię, że jutro przyjedziecie... O czwartej robiło się już ciemno, Rafał jednakże, ich starszy cioteczny brat, poinformowany dokładnie o sposobach dojazdu, trafił bez pudła. Wypuszczony z samochodu Chaber bez chwili namysłu skierował się za dom, gdzie czekała ruda suka, trochę mniejsza od niego, ale poza tym identyczna. Nie ulegało wątpliwości, że przypadła mu do gustu od pierwszego wejrzenia i z wzajemnością. Pani Basia zaprosiła ich na herbatę z ciasteczkami do wielkiego, starego domu,

stojącego w łysem ogrodzie. Nie było tam drzew, tylko małe krzaczki i trawnik, a nowy, świeżo posadzony sad dopiero zaczynał rosnać. Mąż pani Basi pozostał na zewnątrz z psami, a reszta osób usiadła wokół owalnego stołu. Już po dziesięciu minutach Janeczka wyraźnie poczuła, że długo tego podwieczorku nie wytrzyma. Dorastająca córka pani Basi, szesnastoletnia Jola, robiła z siebie coś, na co wręcz nie można było patrzeć. Wdzięczyła się do Rafała w sposób, trzeba przyznać, urozmaicony. Na zmianę, to udawała małą, kapryśną dziewczynkę, to przemieniała się w wampa, doświadczonego i zuchwałego, przy czym trudno było ocenić, które z tych wcieleń jest gorsze, bo w ogóle była wielka i gruba i żadne do niej nie pasowało. Rafał miał dziwny wyraz twarzy, nie odrywał od niej zafascynowanego spojrzenia i najwyraźniej w świetle coś w nim pęczniało. Janeczka miała obawy, że jest to zachwyt. Pawełek zajęty był ciasteczkami i na nic innego nie zwracał uwagi, ale jego siostra zaczęła się dławić. Oczekwała z grzeczności jeszcze następne dziesięć minut, po czym podniosła się od stołu. - My się trochę przejdziemy - powiedziała do pani Basi, usiłując nie patrzeć ani na Jolę, ani na Rafała. - Nie znamy tej okolicy, więc sobie ją obejrzymy. Pawełek chciał zaprotestować, bo pani Basia wniosła właśnie nowy półmisek, ale miał pełne usta i nie udało mu się wymówić żadnych zrozumiałych słów. Poczul za to, że siostra znacząco puka go w plecy. - Po ciemku? - zdziwiła się pani Basia. - Nic nie zobaczycie! - Latarnie świecą - zauważyła Janeczka. - I tam dalej jest jakiś dom, w którym coś się działo, jak przejeżdżaliśmy obok. Pójdziemy popatrzeć. - Jeżeli macie ochotę... Tylko nie zgińcie przypadkiem! Mam nadzieję, że nie zabłądzicie? - Nawet gdyby. Chaber nas znajdzie W ogóle po ciemnych wadołach chodzić nie będziemy... - O co biega? - spytał z niezadowoleniem Pawełek, kiedy już znaleźli się poza domem. - W życiu nie jadłem takich dobrych kruchych ciastek i ciągle nie wiem, czy lepsze te z kremem, czy te z marmoladą. Po co mamy wyjść? - Nie po co, a dlaczego - skorygowała Janeczka. - Bo na tę Jolę już patrzeć nie mogłam. Pawełek ze zdziwienia aż się zatrzymał. - Jak to? Niby dlaczego? Co ona takiego zrobiła? Wygląda całkiem zwyczajnie! - Chyba ślepy byłeś - powiedziała wzgardliwie Janeczka i z energią pociągnęła go do przodu. - Podrywa cały czas Rafała, mizdrzy się, chichocze, nadyma, oczami przewraca, prawie się dziwię, że jej jeszcze do reszty nie wypadły, i do tego cmoka. A bałam się, że Rafał zaraz do niej zacznie kwiczeć i tego bym już całkiem nie zniosła! To kretynka. Patrzeć na to nie mogę i wolę wyjść, zwłaszcza że w tym domu po drodze rzeczywiście coś się działo. Pawełek spojrział w kierunku, gdzie blisko bocznej szosy stał dom za siatkowym ogrodzeniem, obficie oświetlony latarniami na zewnątrz i światłem z wnętrza. Nawet stąd było widać, że na wielkim dziedzińcu przed nim panuje jakieś lekkie zamieszanie. Zainteresowało go to dostatecznie, żeby kruche ciastka nieco zbladły. - Można było załatwić jedno i drugie - mruknął, właściwie dla zasady. - Dom nie zajac. - Ciastka tym bardziej - odparła zimno Janeczka. Podeszli bliżej i rozpoznali rodzaj zamieszania. Cały dziedziniec zastawiony był i zavalony bardzo starymi i zniszczonymi meblami, które rąbał na kawałki jakiś człowiek. Dwoje młodszych od nich dzieci zbierało rozpryskujące się drewno, a starszy chłopiec układał pod ścianą budynku stos grubszych desek. Żeby dotrzeć do samej siatki i otwartej w niej bramy, musieli przebrnąć mały kawałek dojazdowej drogi, bardzo nierównej, pełnej dołów, w dodatku zagrodzonej stojącą na środku wielką ciężarówką. Pawełek wspiał się na koło i stwierdził, że na ciężarówce leży jeszcze trochę jakichś rupieci i starych gratów. Widocznie nie została rozładowana do końca i dlatego nie odstawiono jej w jakieś rozsądniejsze miejsce. Okrążyli pojazd, żeby przejść suchą nogą, bo po ich stronie rozlewała się wielka kałuża. Po drugiej za to rosła gęsta kępa wysokich krzaków i udeptana ścieżka bez błota przechodziła tuż przy nich. Szosą nadjechał jakiś samochód i wykazał wyraźny zamiar skręcenia w dojazdową drogę. Kierowca dostrzegł ciężarówkę, zatrzymał się, cofnął, zostawił wóz na poboczu i wysiadł. Trzasnęły dwie pary drzwiczek, co oznaczało, że wysiadły dwie osoby. Janeczka i Pawełek właśnie dotarli do suchej ścieżki, wielkimi krokami przełaząc przez błotniste doły i kałuże. - Ty kretynko! - wysyczał strasznie jakiś głos za krzakami, na skraju szosy. - Patrz, oślico, on to rabie...! - Sam kretyn jesteś, baranie głupi! - odparł głos damski, okropnie zdenerwowany. - Trzeba było powiedzieć, sekretów ci się zachciało! Zaskórniaka chciałeś mieć, co? -

Głupia jesteś! Mówiłem, że schowałem chwilowo! Patrz teraz, które nasze, rozpoznawaj! - On tu ma tego więcej! Jezus Mario...! Żebyś była wiedziała, przyjechał, zapłacił, mówił, że ma okazję...! - Jazda...!

Dwie klócające się półgłosem i szaleńczo zdenerwowane osoby przecisnęły się ścieżką, prawie ocierając się o znieruchomiałe rodzeństwo. Obydwoje, pan i pani, tak wpatrzeni byli w zawalone drewnem podwórze, że nie dostrzegali niczego innego. Truchtem przebiegli przez bramę, a Janeczka i Pawełek po chwili ruszyli za nimi. - Tam! - wydyszała dama w eleganckim futrze, pokazując ręką. - Poznaję! Nasza szafa! - Dobry wieczór! - zawołał głośniejszym towarzyszący jej osobnik. - Panie, żona panu meble dzisiaj wydała... - Meble? - zdziwił się człowiek z siekierą i przerwał pracę, prostując się i ocierając pot z czoła. - Nie żadne meble, tylko drewno opałowe. - Może być drewno. Kiedyś to były meble. Pośpieszyła się, a ja szafy nie opróżniłem! - Ale pan sprzedał. Co kupiłem, to moje. - Pańskie - zgodził się przybyły osobnik. - A co pan kupił? Powiada pan, że drewno opałowe? Człowiek z siekierą odrobinę jakby się zawahał. - No drewno - przyznał. - Mówiłem panu, że na opał stare graty skupują, nie? I zgadza się, na opał. Szklarnie mam, czymś palić muszę, nie? Co pan, sklerozę pan masz? Trzy dni temu mówiłem! - Znaczy to, co nie jest drewnem opałowym, w skład transakcji nie wchodzi - stwierdził osobnik, nagle się uspokajając. - Mnie nie było, zniemacka pan przyjechał, żona panu towar wydała, a ja książek na przykład nie zdążyłem wyjąć. Te książki to dla pana też drewno opałowe? Człowiek na środku podwórza wsparł się na siekierzysku, podrapał po głowie i zaczął myśleć. Jego rozmówca przezornie ustawił się pomiędzy nim a szafą, żona w futrze drobnymi kroczkami przesuwała się w kierunku upragnionego mebla. Janeczka i Pawełek znajdowali się już na dziedzińcu, ukryci w cieniu za rupieciami. Cała scena zainteresowała ich nadzwyczajnie. - Jak mu chodzi o prawdziwe książki, to ja jestem chiński mandaryn - mruknął szeptem Pawełek. - A pewnie - odmruknęła Janeczka i przemknęła za następny grat, bliżej szafy. Człowiek z siekierą rozważył sprawę. - Dobra, co nie drewno, to nie moje - zgodził się. - Pośpieszyłem się, fakt, ale jak raz miałem transport i jednym ciągiem objeżdżałem tych wszystkich sprzedawców. Bierz pan swoje książki, czy co tam jest, i nie ma o czym gadać. Ja jestem człowiek uczciwy. - Ja też - rzekł sucho były właściciel mebli. - Zaraz zobaczymy... Jego żona już przedarła się do szafy, stała obok i trzymała ją ręką. Mąż podszedł energicznym krokiem, usuwając sobie z drogi rupiecie. Człowiek z siekierą zawahał się, po czym ruszył powoli za nim, wlokąc za sobą narzędzie pracy. Janeczka i Pawełek zbliżyli się bokiem, ciągle ukryci za zwalonymi gratami. Przybyły osobnik otworzył drzwi wielkiej, starej szafy z ozdobnym gzymsem i wysunął jedną z dolnych szuflad. Wetknął rękę głęboko, czymś prztyknął i pomiędzy dolną półką szafy a właściwą szufladą ukazało się coś dodatkowego. Jakby jeszcze jedna, bardzo płaska szuflada. Cała wypełniona była ciasno poukładanymi paczkami pieniędzy. - Och...! - jęknęła jego żona i usiadła na kawałku leżącego obok kredensu. Widocznie osłabła z ulgi. Od strony człowieka z siekierą dobiegło jakby zachłyśnięcie, ale słowa żadne nie padły. Były właściciel szafy wysunął drugą szufladę i powtórzył operację z prztyknięciem. Wyciągnął rękę w kierunku żony. - Torbę dawaj!

Małżonka odzyskała siły, zerwała się z kredensu, wyszarpnęła z torebki dwie wielkie reklamówki. Mąż, bez pośpiechu i z zimną krwią, zaczął przekładać pieniądze. - A litr koniaku swoją drogą się panu należy - oznajmił wspaniałomyślnie. Człowiek z siekierą robił wrażenie ogłuszonego. - Powiem panu prawdę - wyznał, wyraźnie wstrząśnięty. - Ja wcale nie wiem, czy bym się tego dokopał. Panie, ja mam duży piec, możliwe, że ten dół na połowę i poszłoby z dymem... - To i lepiej, że zdążyłem. I dla mnie korzyść, i dla pana. Wszyscy byli tak przejęci sytuacją przy szafie, że nikt nie zwrócił uwagi na ogromny samochód, przejeżdżający szosą. Samochód przejechał, zwolnił, zatrzymał się i cofnął. Coś zaczęło się dziać w odległości piętnastu metrów za ogrodzeniem. Na dziedzińcu pojawiła się żona człowieka z siekierą. Druga żona, poprzednia właścicielka szafy, ze łzami w oczach opowiadała jej, jak ten idiota, mąż, schował wszystkie pieniądze w skrytce, ukrył to przed nią, nic nie wiedziała, w nowym domu ustawili nowe meble, a te stare sprzedali, bardzo tanio, to każdy musi przyznać, za grosze, darmo prawie, nagle ten pan kupiec przyjechał, męża nie było, oddała mu wszystko, a mąż dziś wrócił i o mało jej



nie zabił, od baranic wyzywał, gdzie sens, baranica to jest taki kożuch dla stróża. A trzeba było tajemnicy nie robić, tylko zwyczajnie powiedzieć, że w szafie jest skrytka... - A pewnie, a pewnie - przyświadczała żona człowieka z siekierą, starając się nie ujawniać ciężkiego rozgoryczenia. - Oni wszyscy głupie. Tyle dobra by się zmarnowało, Boże ty mój... Dzieci człowieka z siekierą poświęciły się już bez reszty penetracji rozmaitych szufladek, półeczek i innych zakamarków zwalonych na podwórzu rupieci. Janeczka i Pawełek, zachwyceni wydarzeniem, powolutku zaczęli wycofywać się w kierunku bramy. Od strony szosy dobiegał rzęgot podobny do hałasu, jaki robi śmieciarka miejska, nieco tylko cichszy i mniej brzękliwy. Osobnik z dwiema torbami pieniędzy wyprostował się nad pustymi szufladami.

- Ja tu jeszcze jutro wpadnę - obiecał. -  
Fela, idziemy!

Janeczka i Pawełek przekroczyli bramę wcześniej, nie komentując jeszcze niezwyklej sceny. Przemknęli obok ciężarówka, twardą ścieżką przedostali się za krzaki, wybiegli na szosę i stanęli jak wryci.

-Hej, a to co? - krzyknął zdumiony Pawełek.

We wnętrzu olbrzymiego TIR-u zniknął właśnie samochód. Dwóch ludzi zamykało za nim wielkie wrota. Obejrzel się, zatrzasnęli zamek i popędzili ku szoferce.

- Zapamiętaj numer! - zawołała gorączkowo  
Janeczka. - Nie mam na czym zapisać!

Bez namysłu Pawełek zaczął szurać obcasem, mamrocząc pod nosem i wydrapując numer TIR-u na wilgotnym poboczu. Ogromne pudło ruszyło. Osobnik z torbami pieniędzy w rękach wyszedł zza krzaków na szosę i skamieniał. TIR oddalał się, nabierając przyśpieszenia. Osobnik z torbami wydał z siebie głos podobny do piania. Dokładnie w tym samym momencie u nóg Janeczki zmateriałizował się Chaber, światła reflektorów Rafała oświetliły całą grupę, a ze ścieżki wyszła na szosę żona w futrze. Rozejrzała się. - Gdzie samochód? - spytała z niepokojem. Osobnik z torbami rzucił torby i dzikim pędem ruszył za widocznym jeszcze doskonale TIR-em. Po kilkunastu krokach zatrzymał się gwałtownie, zawrócił, porwał torby, znów ruszył przed siebie i znów się zatrzymał. Zamiast słów, wciąż wydawał z siebie chrapliwe pianie. Rafał zatrzymał swojego małego fiata. - Chyba ukradli państwa samochód - powiedziała ze współczuciem Janeczka do osłupiałej żony w futrze. - Zabrali go tym wielkim potworem. Mamy jego numer. Żona w futrze otworzyła usta, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Mąż z torbami wrócił biegiem, ujrzał Rafała, opanował pianie, z wysiłkiem przerzucił torby do jednej ręki a drugą szarpnął drzwiczki.

- Za nimi!! Milion płacę!!!

zawył dzikim głosem.

Usiłował wepchnąć do samochodu swoje torby, ale ze zdenerwowania trzęsły mu się ręce i nie mógł sobie z tym dać rady, przeszkadzały mu zagłówki. Rafał najpierw zbaraniał, a potem się rozżłościł.

- Panie, co pan...?! Ja nie jestem sam! Dzieci...!

- Jedź z nim - powiedział stanowczo Pawełek, nachylając się do okienka. -

Rąbnęli mu samochód, przed chwilą, na TIR-a załadowali, może go dogonisz. Numer PAW 1288. My sobie damy radę. - Co tak wcześniej? - spytała Janeczka

niespokojnie. - Chaber porzucił narzeczoną? - Nie, ja porzuciłem tę kretynkę, Jolę. Rany boskie, co się tu dzieje...? -Nic, on ma rację, jedź za nimi...

Osobnik z torbami wepchnął wreszcie torby i wbił się na siedzenie pasażera, trzaskając drzwiczkami. -Jedź pan!!! - wrzasnął strasznie. - Dwa miliony! :!

Jego żona stała na brzegu szosy z załamanyimi rękami, niczym słup soli. Rafał wzdrygnął się silnie i ruszył z gwałtownym przyśpieszeniem. Janeczka i Pawełek przez chwilę patrzyli za nim. -Na lewo skręcił - zauważył Pawełek z troską. -

Nie przez miasto jedzie, tylko od razu gdzieś tam. - Na południe - przyświadczyła Janeczka. - Ale może jeszcze skręcić byle gdzie w każdą stronę.

Trzeba zadzwonić do policji. Żonę w futrze wreszcie odblokowało.

-Policja...!!! - załkała rozpaczliwie bardzo piskliwym głosem. Za nią wyglądała już na szosę cała rodzina człowieka z siekierą. Przybyli z lekkim opóźnieniem, zauważywszy widocznie, że coś się dzieje. Stali teraz i gapili się w kierunku głównej ulicy, gdzie zniknęły tylne światła Rafała. -No, to już niefart - zawyrokował człowiek z siekierą. - Pieniądze mąż odzyskał, ale samochód stracił.

Ukradli, słyszę, to jak to było? - -Co to za wóz? - spytał ciekawie jego najstarszy syn. - Volkswagen! - wyszłochała żona w futrze.

- Golf! Nowusieńki!

- Na biednego nie trafiło - mruknęła na stronie żona człowieka z siekierą. - Na TIR-a załadowali - objaśniał Pawełek.

- Widzieliśmy sam koniec. Obejrzelisię na nas i gazu!

-Telefon...! - jęczała żona w futrze.- Policja...! Zadzwoń...! - Tu niedaleko, u jednych znajomych państwa, jest telefon...! - zaczęła uczynnie Janeczka.

- Ja też mam telefon - przerwał człowiek z siekierą. - Dobra, pan dzwoni...

Wszyscy pośpiesznie wrócili na zagrożony

dziedziniec, tworząc na wąskiej ścieżce istną

procesję, a następnie wbiegli do domu. żona w

futrze kurczowo trzymała się Janeczki i Pawełka, chaotycznie wykrzykując, że

tylko oni są świadkami. Janeczka zauważyła nagle wyraźną rozterkę Chabra. Widać

było, że chce zostać przy swojej pani, a jednocześnie miałby ochotę popędzić

znów do narzeczonej. Zdenerwowała się, I niecierpliwie

przeczekiwała telefon do policji, syknęła, kiedy

Pawełek przejął słuchawkę, dokładnie relacjonując, co widzieli.

-My już musimy iść! - ryknęła wielkim

głosem, bo wszyscy mówili razem i nikogo nie

było słycać. - Nasz cioteczny brat tam pojechał, za tymi złodziejami! I teraz musimy wrócić bez niego!

- No coś ty? - zdziwił się gniewnie Pawełek. - Może oni tu przyjadą! Ja chcę zobaczyć, co będą robili!

-E tam, przyjadą - powiedział człowiek z siekierą i wreszcie odstawił siekiere do kąta. - Wezwą świadków, protokół spiszą i tyle, a i to nawet nie wiem... No dobra, odwiozę was.

-Ja koszty zwrócę! - wyjęczała żona w futrze. - Do taksówki tylko, do Wilanowa. !

Graty z ciężarówki zostały zrzuczone byle gdzie.

po czym od razu odjechali, Janeczka, Pawełek i

Chaber w pudle, a zapłakana żona w futrze obok

kierowcy, w szoferce, do której wsiadła z wielkim

trudem. W Wilanowie przesiedli się do pojazdu bardziej ludzkiego.

-Ja was do samego domu zawiozę- powiedziała stanowczo żona w futrze, przestając płakać. - Dzieci kochane, tylko wyście widzieli, nikt inny, ja muszę wiedzieć, gdzie mieszkacie.

Jakby co, będziecie świadczyć. To jest nieszczęście

dopiero, Boże mój, gadanie będzie, że wszystko przeze mnie, po co ja mu dałam tę szafę.

Nazajutrz, kiedy wrócili ze szkoły, Rafała jeszcze nie było. Do szaleństwa

zdenerwowana ciotka Monika pięć razy kazała sobie powtarzać całą historię, rwąc włosy z głowy i pchając się do

telefonu, żeby zawiadomić policję nie o żadnej kradzieży samochodu, tylko o zaginięciu syna.

- Gonił bandytów! - powtarzała rozpaczliwie.

- A ten człowiek miał przy sobie potworną ilość pieniędzy! Sami mówicie! Boże drogi, obaj mogą gdzieś tam leżeć, zamordowani ! Katastrofa.

-Po pierwsze, Rafał umie jeździć - powiedziała w końcu zirytowana tą histerią Janeczka. - Po drugie, co mają pieniądze do katastrofy, przecież im nie fruwały po samochodzie. A po trzecie, małym fiatem nie dogoni niczego... - I po czwarte, harmonię forsy miał ten facet, a nie Rafał, więc chyba Rafał napadł na niego - dołożył Pawełek. -I jeszcze po piąte. Chaber słowa nie mówi, więc żadne nieszczęście się nie stało. -Chaber może być w nie najlepszej formie - wtraciła delikatnie pani Krystyna. - Jest zajęty narzeczoną. - Narzeczoną zajęty był tam, a nie tu. Więc niech ciocia nie tego... Jednakże pomysły ciotki Moniki ożywiły ich wyobraźnię. Sytuacja i bez nich wydawała się interesująca, na powrót Rafała czekali niecierpliwie, teraz zaś zaczęły im przychodzić do głowy rozmaite dodatkowe możliwości. - Czekać to i tak nie było na co, bo u tych ludzi nic się

nie działa - rozważała Janeczka. - A Chaber się denerwował i po co to komu. - Nic się nie działa! - prychnął Pawełek. - Ha, ha!

-W dziedzinie kradzieży samochodu! To z tą szafą było bardzo ładne, owszem. Ale co do dalszego ciągu... może i rzeczywiście... Myślisz, że Rafał ich dogonił? Pawełek zastanawiał się nad tym przez wszystkie lekcje w szkole. - Powinien - rzekł bez wahania. - Znaczy, powinno być tak: policja dostała numer i puściła na cały kraj. Złapać TIR-a numer coś tam. Gdzieś go w końcu zatrzymują... - Jak?

- przerwała zimno Janeczka.

- Ciemno już było. Machają czerwoną latarką...

- A on się wcale nie zatrzymuje, tylko jedzie dalej. I co? - No, pod koła się nie rzuca... Robią barykadę... Chociaż nie, barykadę robią, jak ucieka morderca po zbrodni. Szkoda, że nie powiedzieliśmy, że on kogoś zabił... Nie wiem... Zależy dokąd jada... - Wszystko niepewne - skrytykowała Janeczka. - A w ogóle może to wcale nie byli złodzieje, tylko te służby porządkowe, które usuwają źle zaparkowane samochody. - Przecież tam nie było żadnego zakazu!

- Ale może on źle stał. Zostawił samochód na środku szosy, okropnie zdenerwowany, bo leciał po te pieniądze. Pawełek pokręcił głową.

-Ej, chyba nie. Jakby on stał na środku, to i oni, a stali z boku, sama widziałaś. Służby porządkowe nie, odpadają. Poza tym, Rafał by już dawno wrócił. Ale czekaj, niech będzie, że ich dogonił i przegonił... No, nie podstawia pod TIR-a małego fiata, nawet by nie zauważyli, że coś przejechali... Ale gdzieś muszą chyba brać benzynę, nie? Znaczy, mam na myśli, jeśli jada daleko, bo jeśli blisko...

- W jakieś Miejsce, gdzie przerabiają numery i inne takie - podjęła Janeczka.

- Tam Rafał mógłby ich dogonić.

- I co?

- I rzucić się. `?

- No coś ty, głupi? Rzucać to się będzie ten facet z pieniędzmi, ten właściciel. Rafał może mu trochę pomóc, bo tamtych było dwóch.

-Gdyby mieli rozum w głowie, Rafał i ten facet, obejrzeliby tylko miejsce i zapamiętali adres.

Wcale im się nie pokazując na oczy.

- Nie wiem, czy mają dosyć rozumu w głowie.

Mogli jeszcze poczekać, aż rozładują tego TIR-a, zdejną z niego samochód, ten właściciel by sobie wsiadł i spokojnie odjechał...

-A Rafała złapali i udusili. Rzeczywiście! Gdyby tak było, też by już dawno wrócił!

Do kuchni, gdzie ciągle jeszcze siedzieli po obiedzie i pozmywaniu naczyń, zajrzała pani Krystyna.

-Dzwoni pani Basia - zawiadomiła z zakłopotaniem. - Ta narzeczona Chabra podobno czeka i wygląda.

Umilkli obydwójce, popatrzyli na matkę. Sytuacja zaczynała się komplikować coraz bardziej.

- Autobusem...? - zaczął niepewnie Pawełek.

-Nie, wujek Andrzej pojedzie. Już zjadł obiad.

Ciotka Monika na wieść o kolejnym wyjeździe w to samo miejsce podniosła wielki krzyk.

-Najpierw syna straciłam, a teraz męża! - wołała rozpaczliwie. - Czy wy sumienia nie macie?! Dlaczego mi nie pozwalacie zawiadomić policji?! On zniknął w okropnych okolicznościach! - No dobrze, powiem cioci - zdecydował się nagle Pawełek. - Bo tak naprawdę, to nie oni Rafałowi mogli zrobić coś złego, tylko Rafał im. Razem z tym typem od pieniędzy, on był duży i gruby jak byk. Więc lepiej spokojnie poczekać i nie robić szumu. - I niech ciocia popatrzy na Chabra - rozkazała Janeczka. - Pieseczku, gdzie Rafał? Co się dzieje z Rafałem? Ciotka Monika znękany wzrok utkwiała w psie. Chaber nie okazał żadnego niepokoju ani zdenerwowania. Powąszył w kierunku drzwi wyjściowych, pomachał ogonem i pisnął radośnie. - No proszę, wszystko w porządku - przetłumaczyła Janeczka. - Rafał już jedzie do domu. Ciotka Monika jęknęła, ale niespokojna rozpacz w jej twarzy odrobinę zelżała. Chaber był psem niezwykłym, wiedział wszystko o wszystkich członkach rodziny, bez względu na to, gdzie się kto znajdował. Niewątpliwie

obdarzony był talentem telepatycznym. Na Rafała rzeczywiście należało spokojnie poczekać. - Chyba zaraz upiekę sernik - powiedziała z determinacją pani Krystyna, która czuła się trochę winna, chociaż racjonalnych powodów po temu nie było. - On z pewnością wróci głodny... - A swoją drogą, co jest? - zastanawiał się szeptem Pawełek, wsiadając do samochodu wujka Andrzeja. - Dokąd ich mogło zanieść? Bo tak naprawdę, to ciotka ma rację, dawno powinien był wrócić. - Mogło jeszcze być tak, że dogonili ich pod stacją benzynową - wysunęła przypuszczenie Janeczka. - Albo gdzieś tam, gdzie dojechali. Obaj się rzucili, ten z pieniędzmi i Rafał, zostali pokonani i zamknięci w jakiejś piwnicy. Albo coś w tym rodzaju. - Przecież Chaber nic nie mówi? - zdziwił się Pawełek. - Bo nic się złego nie dzieje. Siedzą w piwnicy i nic im nie grozi, i Rafał czuje się bardzo dobrze, nawet kataru nie ma. Dla Chabra piwnica czy strych to może być wszystko jedno, ważne, że nie ma niebezpieczeństwa. A kłopot mają złodzieje, bo nie wiedzą, co z nimi zrobić. - Może być - zgodził się Pawełek. - I martwią się, bo teraz muszą zlikwidować melinę. No więc likwidują i przenoszą się gdzie indziej, i wypuszczają ich, jak już wszystko załatwią, a wtedy szukaj wiatru w polu. Ale to ja nie wiem, policja powinna do nich trafić. Rozumiesz, mieli numer, widzieli, którędy ten TIR jedzie... - Nic nie mówię, ale bardzo żałuję, że nie pojechaliśmy razem z nim - wyznała pośępnie Janeczka. - Chora jestem od tego czekania i umrę, jeśli się wszystkiego natychmiast nie dowiem! Boja nie wiem... Sam mówiłeś, że ludzie mówili, że kradną do Związku Radzieckiego. Więc może oni pojechali prosto do tego Związku Radzieckiego, którego już nie ma. Przecież ten samochód to był Golf! - A wiesz, że to całkiem możliwe! - ucieszył się nie wiadomo dlaczego Pawełek. - To jest pomysł! Rany kota, a teraz Rafał gania ich po całym Związku Radzieckim...! Kiedy wrócili po psiej wizycie, Rafał już był. Siedział w ich kuchni i pożerał ciepły sernik, a ciotka Monika patrzyła mu w zęby ze łzami szczęścia w oczach. Pani Krystyna, usiłując ukryć bezgraniczną ulgę, dokładała na jego talerz następne wielkie kawały. - Ejże! - zaprotestował Pawełek, zaglądając do kuchni, jeszcze z kurtką w ręku. - A my? - Starczy i dla was - uspokoiła go matka. - Z rozpędu zrobiłam podwójną ilość. - I co? - zawołała zachłannie Janeczka, w pośpiechu pozbywając się butów. - Niech on nic nie mówi bez nas! Co powiedział? Musi to powtórzyć jeszcze raz! - Nie ma co powtarzać - powiedziała ciotka Monika. - Zdażył nas zawiadomić, że był daleko, i od razu rzucił się na jedzenie. Strasznie głodny i wyczerpany. Niech się zregeneruje. - Y umy - powiedział Rafał. - Błudny jehkem jak chwynia. - Coś mu wysiadło i naprawiał! - zgadł Pawełek. - Od samej jazdy byłby brudny zwyczajnie, a nie jak świnia. Chyba się już

nażarłeś, nie?

-Nie - odparł Rafał stanowczo i napoczął kolejny kawałek sernika. Janeczka i Pawełek nie nalegali. Usiedli przy kuchennym stole, wpatrzeni w cioteczynego brata strasznym wzrokiem, chociaż znakomity sernik na talerzykach trochę łagodził ich uczucia. Cierpliwość jednakże stracili i było to tak wyraźnie widoczne, że Rafała zaczęło dławić. - Dobra, już mówię - poddał się, przełknąwszy pośpiesznie. - Ale draka, niech skonom. Wróciłbym wcześniej, ale koło zmieniałem, a potem gaźnik mi się zapchał, przedmuchiwałem. Ten facet przyleciał grubo przede mną. Opłaciło mi się. - Ile ci zapłacił w końcu? - zainteresował się Pawełek.

- Trzy miliony i pełen bak.

- O rany...!

- A co ty myślisz? Na ruskiej granicy byłem, w Medyce!

Ciotka Monika, którą na chwilę zamurowało, gwałtownie odzyskała głos. -Na litość boską...! Rafał...! I ja się mam nie denerwować...! - Czym? - zdziwił się Rafał.

- Trzy miliony to znowu nie taki potworny majątek, żeby miał mnie od razu zdemoralizować. Ale przyda się...

- O Boże! Aż do granicy, w nocy, pogoda okropna, mokro, ślisko.. -- Nic podobnego, sucha szosa. Dwa razy ich prawie dogoniłem, ale też musiałem brać benzynę i uciekli mi. Okazałem się człowiekiem uczciwym, przyzwoitym i godnym zaufania... - Jak? - przerwała Janeczka z naciskiem. Odpowiedź na tak sformułowane pytanie nie mogła być krótka. Rafał odsunął wreszcie talerzyk i zaczął wyjaśniać. Właściciel Golfa w pierwszych chwilach usiłował wyskakiwać z samochodu razem ze swoimi torbami, co uniemożliwiło kompletnie dopadnięcie

tamtych z TIR-u. Potem zaryzykował, zostawił torby, przekonał się, że Rafał nie próbuje z nimi uciekać, powierzył w końcu cały majątek jego opiece i prawie przestał o nim myśleć. Majątek był imponujący. Jego posiadacz opowiadał po drodze, jak doszło do ukrycia mienia w sprzedawanej szafie. Zrobił doskonały interes, załatwił transakcję gotówkową, część pieniędzy wymienił na dolary i od razu pojawiła się kolejna korzystna sprawa, nie leciał zatem z tym do banku, tylko chwilowo schował w staroświeckich skrytkach. Wcale nie utrzymywał tego w tajemnicy przed żoną, po prostu nie zdążył jej zawiadomić i o mało trupem nie padł, kiedy okazało się, że szafę razem z zawartością oddała kupcowi. No, na szczęście zdołał to odzyskać... - A potem, już na granicy, latał i załatwiał, a torby zostawił pod moją opieką - mówił dalej Rafał. - Uwierzył widocznie, że nie mam złodziejskich skłonności, bo nawet do nich nie zaglądał i niczego nie sprawdzał. Tyle że z jednej wyjął forszę... - Bo co? - spytał Pawełek, też nadając pytaniu bardzo szeroki zakres. Rafał, który zdążył skusić się na jeszcze jeden kawałek sernika, zachichotał, zakrztusił się i dłuższą chwilę trwało walenie go w plecy. Popił herbatą i odzyskał głos. - Nie uwierzycie, ale za swój własny samochód musiał zapłacić jakąś potworną sumę. Nie wiem ile milionów, nie przyznał się, tylko trochę zsiniał. Łapówka, czy jak to nazwać, już sam nie wiem. W każdym razie zładowali z TIR-a jego Golfa i zdobył, swoją własność z powrotem. Z daleka patrzyłem, więc szczegółów nie widziałem... - Dlaczego nie podszedłeś bliżej? - przerwała Janeczka z naganą. - Bo miałem w wózku te jego torby. Jeszcze by tylko tego brakowało, żeby mu ktoś rąbnął ten uratowany majątek. Czułem się odpowiedzialny i na wszelki wypadek wolałem pilnować. Od niego się potem dowiedziałem, co tam było, ale też ogólnie, bo z powrotem jechaliśmy oddzielnie. Nie wiem, komu dokładnie dał kilkadziesiąt balonów, możliwe, że złodziejom. Nie dam głowy, czy nie ma tam jakiegoś podziału z celnikami, była mowa, że podobno strzelają...

-Kto do kogo?

-Złodzieje do każdego. Mafia. Celnik powiedział, że ma do wyboru: wziąć łapówkę i przepuścić kradziony towar, albo stracić życie. On, jego żona i dzieci. Z dwojga złego woli pieniądze niż grób. -Každy by wolał - przyznała Janeczka. - Mafię widziałeś?

- A skąd mam to wiedzieć? Widziałem z pewnością. Jakieś podejrzone palanty tam się plątały. Drugi samochód odjechał w siną dal... - Jaki drugi samochód? - zainteresował się Pawełek.

- Na tym TIRze były dwa wozy. Jego Golf i mercedes. Golfa zabrał, a mercedes udał się w wojaż zagraniczny, bo nikt za niego nie chciał dać łapówki. I zdaje się, że oglądałem ciąg dalszy przedstawienia, dwa volkswageny przejechały, zwyczajnie, każdy z kierowcą w środku, na niemieckich numerach. Wyszło mi, że rąbnięte gdzieś na zachodzie i przez nas przejechały tylko tranzytem. Przeszły jak przez powietrze, chociaż ogólnie tłok tam panuje niezmierny, czyste piekło. - Boże drogi! - powiedziała ze zgrozą ciotka Monika.

-Z tego, co mi zdążył powiedzieć... - kontynuował Rafał. - A mało tego było i pogmatwane, bo ciągle był zdenerwowany... W ogóle zaprosił mnie na kolację, a może to było śniadanie, do Przemysła jechaliśmy razem, dopiero potem poleciał szybciej... Więc z jego gadania wnioskuję, że tam akcja idzie bardzo sprawnie. Celnicy tylko zęby zaciskają, a prawdę mówiąc, każdy się boi. I co właściwie mogą zrobić? Na tych złodziei nie ma paragrafu. - Jak to nie ma? - oburzyła się pani Krystyna. - Co ty opowiadasz, kradzież to kradzież, złodzieja się łapie i karze! - E tam. Každy twierdzi, że wcale nie ukradł, tylko chciał się przejechać. Poza tym, ich się nie łapie, mam na myśli tych prawdziwych, tych mafiozów, którzy kradną na eksport. Łapie się tylko różnych głupków, gówniarzy i tym podobnych, w dodatku nieletnich; i zaraz po złapaniu są wypuszczani, bo nikt nie wie, co z nimi zrobić. A tamci, jak by tu powiedzieć... poważni złodzieje, mafijni, zorganizowani, podobno rzeczywiście strzelają, albo dają takie łapówki, że oko bieleje. On tak mówił, ten facet, może przesadzał, ale w końcu tę polkę na granicy widziałem na własne oczy... - Ależ to przerażające! - wykrzyknęła pani Krystyna, zdumiona i zaskoczona. - A owszem, przerażające.

- I uciekają, tak? - odezwała się nagle milcząca od dłuższej chwili Janeczka. - Co?

-- Uciekają, mówię. Kradną samochód, wsiadają i odjeżdżają, tak? I zanim ten właściciel zawiadomi o kradzieży i zanim policja zacznie ich szukać, już są zupełnie gdzie indziej. - W melinie - podsunął Pawełek. - Przebijają numery, zmieniają lakier i cześć. - Coś w tym rodzaju - przyświadczył Rafał, po lekkim wahaniu zgarniając na talerz ostatni kawałek sernika. - Ale to już druga sprawa.. - I te TIR-y z kradzionymi samochodami w środku jadą sobie od razu do granicy, przejeżdżają i już ich nie ma - kontynuowała w zamyśleniu Janeczka. - Byłoby może bardzo dobrze, gdyby nie mogły tak od razu sobie jechać i przejechać. Gdyby musiały się zatrzymywać, czekać... no... i tak dalej. I policja miałaby czas, żeby sprawdzić, co mają w środku. Taki kierowca TIR-a nie może być nieletni... I te inne ukradzione też... Na środku ulicy nie będą przecież zmieniać numerów i przemalowywać... W oku Pawełka błysnęło nagle zainteresowanie. Nic nie powiedział, bo usta miał pełne sernika, ale energicznie pokiwał głową. Rafał przełknął i popił herbata. -Znaczy, co właściwie masz na myśli?

- Może jakoś powinno się przeszkodzić im jechać..

Teraz przełknął już i Pawełek i gwałtownie poparł siostrę. -A pewnie! Ten TIR w Powsinie... Zanim wsiedli i odjechali, zdążyłoby się Bóg wie co! - Utrudnić - powiedziała zdecydowanie Janeczka i znów zamilkła, w zadumie patrząc w okno.

- I kto ma to robić? - spytał Rafał podejrzliwie.

Odpowiedzi nie usłyszał. Przy kuchennym stole zapanowała nagła cisza. Pani Krystyna poczuła w sobie wyraźny, gwałtowny niepokój. - Och, jak ja bym chciała, żeby wasz ojciec już wrócił! - wyrwało jej się. Janeczka porzuciła okno, Pawełek oderwał wzrok od kredensu. Obydwoje popatrzyli na matkę jakimś dziwnym wzrokiem. - Bo co? - spytała Janeczka zimno i niemiłosiernie. - Zająłby się tym utrudnianiem? - Nie - poprawił ją zgrzyźliwie Pawełek. - Wiem, o co chodzi. Trzymałby nas za rękę. -Za rękę nas trzyma Chaber. Całkiem wystarczy. I czy my w ogóle coś robimy? Ciotka Monika i pani Krystyna wymieniły spojrzenia. Rafał wypił do końca herbatę i podniósł się od stołu. - Ja bym poszedł wcześniej spać - zawiadomił wszystkich. - Możliwe, że trochę jestem zmęczony. Na te tematy mogę znów porozmawiać jutro, a dzisiaj róbcie, co chcecie. Pani Krystyna znalazła odpowiedź.

- Czy ja cokolwiek powiedziałam o was? - spytała z wyrzutem. - Wasz ojciec to jest mój mąż. Czy ja nie mogę chcieć, żeby mój mąż już wrócił?

- No dobrze, możesz chcieć - zgodziła się uprzejmie Janeczka. - Przyleci na święta. Nie mamy nic przeciwko temu. I, ostatecznie, też możemy wcześniej iść spać. Zlazała z kuchennego stołka i z godnością skierowała się ku drzwiom. Pawełek pochylił się, zaglądając pod stół. - Chodź, pieseczku - powiedział obrażonym tonem. - Będiesz nas trzymał za rękę...

- Dzieci, kupiłam samochód - oznajmiła z wielkim przejęciem pani Krystyna, wchodząc do kuchni, gdzie jej dzieci z własnej inicjatywy przyrządzały kolację. - O Boże, co to jest? Co wy robicie? -Posiłek - odparł Pawełek, ujawniając przy tym lekkie rozgoryczenie. - Poświęcamy się. - To ma być chińska potrawa - wyjaśniła Janeczka. - Próbowałam tego u Beaty i było bardzo dobre. Jeden jej wujek był w Chinach, właśnie wrócił i przywiózł przepis, ale możliwe, że coś mu się pomyliło, bo jakoś nam dziwnie wychodzi. Babcia uciekła, powiedziała, że nie będzie na to patrzeć. -Mam nadzieję, że w skład przepisu nie wchodzi jakieś robaki? - powiedziała pani Krystyna z lekką obawą. -Nie, chociaż powinny - uspokoił ją Pawełek. - Ale nigdzie w tym domu nie ma karaluchów, więc wzięliśmy krewetki. - I tylko to mięso beznadziejne - uzupełniła z niezadowolaniem Janeczka. - Powinien być każdy kawałeczek oddzielnie, tymczasem zbija się w kupę i robi z siebie bałwany, chociaż smażyć jak trzeba, na oliwie.

- A to...?

- To miało być ciasto. Oni robią z ryżowej maki. Nie mamy ryżowej, wzięliśmy kukurydzianą. Możliwe, że ona jest trochę inna niż ta normalna. Ale i tak na końcu trzeba wszystko wymieszać, więc to właściwie nie ma znaczenia.

- I to chińskie rzeczywiście tak wyglądało...?

- Chińskie może trochę nie. Ale my to przerabiamy na pizzowate. Chińska potrawa w postaci pizzy, bo tego mięsa nie mogę porozdzielać i ryż się jakoś dziwnie

ugotował. Więc będzie pizza po chińsku. - A skąd w ogóle wziął się wam ten pomysł...?

Janeczka z widelcem w ręku odwróciła się od kuchni.

- Dla ojca. Wiemy doskonale, że z początku rzuci się na kotlety schabowe, na szynkę i chrzan, ale zaraz potem okaże się, że na przykład tęskni za egzotycznymi potrawami. Więc niech ma. Tobie brakuje czasu, sami coś wymyślimy i przygotujemy, i właśnie zaczęliśmy. - Coś mu się należy za te wszystkie sirocca i trzęsienia ziemi, nie? - dodał Pawełek wspaniałomyślnie.

Pani Krystynie zdumiewająca uczynność dzieci wydała się ze wszech miar podejrzana. Trochę bezradnie rozejrzała się po licznych garnkach i talerzykach.

- Umyjemy potem wszystko - uspokoiła ją Janeczka.

Pawełek przypomniał sobie nagle, co matka powiedziała na samym wstępie. Porzucił salaterkę, w której coś mieszał, stracając trochę tego z łyżki na podłogę. - Ej że! - zawołał z ożywieniem. - Co ty mówiłaś? Kupiłaś samochód? Czy ja się przesłyszałem? - Nie przesłyszałaś się. Kupiłam. Nie nowy, dwuletni, ale bardzo mało używany. Przez znajome osoby, okazja, wyjątkowo tanio. Wprost darmo! - Dlaczego darmo?

- Bo sprzedawała starsza pani, która sama nie umie prowadzić, jej mąż umarł, a ona wyjeżdża do rodziny w Australii. Na zawsze i w pośpiechu. Wraca do siebie, to Australijka z pochodzenia. A w dodatku zapłaci ojciec, bo tej pani pieniądze są potrzebne tam, a nie tu. - No proszę! - wtrąciła Janeczka.

- To tym bardziej temu ojcu coś trzeba... - I co to za samochód? - przerwał jej Pawełek. - Jakiej marki?

- Volkswagen Golf! - powiedziała pani Krystyna dumnie.

Jej dzieciom zabrakło głosu. Obydwoje na moment znieruchomieli, a potem popatrzyli na siebie. - I gdzie on jest w tej chwili? - spytała Janeczka podejrzliwie i niespokojnie. - Stoi przed domem.

Jeszcze przez trzy sekundy w kuchni panował bezruch absolutny. Potem Pawełek zostawił salaterkę z mieszaniną, Janeczka porzuciła na kuchni garnek i patelnię, równocześnie runęli w drzwi. Chaber zerwał się, wyskoczył spod stołu, popędził za nimi. Niczym pani Krystyna zdążyła wymówić choć słowo, trzasnęły drzwi wyjściowe. - Dzieci, buty... - powiedziała beznadziejnie. Ruszyła ku wyjściu, zawahała się, obejrzała, wróciła i przykręciła gaz pod wszystkimi naczyniami. Znow się zawahała, po czym ostrożnie zaczęła wachać bulgoczące na ogniu potrawy... - Będziemy tu stali tak długo, aż ktoś się zainteresuje i przyjdzie tu jaka inna osoba - zdecydował Pawełek z zaciętością, obchodząc w koło beżowego volkswagena. - Nawet żebym miał dostać czterech zapaleń płuc, a nie tylko jednego. - Głupi jesteś! - rozgniewała się Janeczka. - Mogłoby zostać tylko jedno z nas, to po pierwsze, a po drugie, mógłby po nich iść Chaber. A w ogóle matka tu zaraz przyleci.

- Nie pamiętasz przypadkiem, gdzie jest klucz od bramy?

- To ty powinieneś pamiętać, sam go używałeś na Wielkanoc. Próbowaleś strzelać jakimś staroświeckim sposobem. Z klucza. - I nawet mi się udało - pochwalił się Pawełek. - Ale rzeczywiście... A, już wiem! Położyłem go w szufladce w holu... Albo może mam go u siebie w pudełku... Albo... Zaraz... - Na gwoździu nie wisi, tego jestem pewna.

-No nie... A tam, wielkie rzeczy, otworzy się wytrychem. A garaż... Równocześnie obejrzeliby się na dom. Fiat wujka Andrzeja stał sobie zwyczajnie na ulicy, prawie przed samym wjazdem. Zaraz za nim parkował maluch Rafała. Oba samochody wyglądały bardzo zniechęcająco dla złodziei, wiek malucha był wyraźnie widoczny, a wujek Andrzej specjalnie zrobił sobie wgniecenie na błotniku i pomalował dół drzwiczek czymś, co prezentowało się zupełnie jak rdza. Żaden nie był umyty i lśniący Golf matki kontrastował z nimi wręcz przerażająco. Mimo lekkiego zabłocenia, blask bił od niego na całą okolicę. - Nie ma siły, garażu trzeba będzie używać już teraz - westchnął Pawełek, zakłopotany i nieco przygnębiony. Janeczka wrzuszyła ramionami i pokiwała głową. Nikomu dotychczas nie chciało się wjeżdżać do środka, garaż stał pusty, o ile pustką można nazwać olbrzymią ilość kartonowych pudeł, które go zapełniały, a bramy nie otwierano wcale. Ciagle wszyscy mówili, że garażu zaczną się używać dopiero, kiedy ojciec wróci i przywiezie jakiś nowy, porządny samochód. - Żeby chociaż cokolwiek innego, a nie Golf! - mruknęła z troską. - A jakby go tak zostawić na wabia? - ożywił się

nagle Pawełek. - I czatować? Moglibyśmy złapać złodzieja... - Czy dostałeś pomieszania zmysłów? - zgorszyła się jego siostra. - Sam mówiłeś, i Rafał mówił, że to jest międzynarodowa szajka. Chcesz złapać całą szajkę? Tak tu będą przychodzili po jednej sztuce, żeby ci ułatwić? -No nie... O rany, zimno. Czy tam nikogo nie obchodzi, że nas nie ma, bez butów i bez palta? Okazało się, że jednak obchodziło co najmniej jedną osobę. Od strony domu dobiegło wezwanie matki. Żądała ich natychmiastowego powrotu tonem, który wskazywał, że to już nie są żarty. Janeczka podjęła decyzję. -Idź i powiedz jej, co trzeba, a ja tu poczekam z Chabrem. Potem się zamienimy, albo przynies mi kurtkę i buty. I szukaj tego klucza. Pani Krystyna dość łatwo zrozumiała, co się do niej mówi, uległa naciskom ze strony dzieci i zgodziła się nawet" do otwierania bramy używać chwilowo wytrycha, klucz bowiem znikł i Pawełek nie zdołał go odnaleźć na poczekaniu. Zobowiązał się uroczyście załatwić sprawę jutro. Kartonowe pudła usunięto pod ściany i Golf zmieścił się na środku z łatwością, garaż bowiem przewidziany był na dwa samochody. Pizza po chińsku wyszła nieco osobliwie, przypominała raczej naleśnik, ale dała się zjeść. Matka z wyraźnym zainteresowaniem dopytywała się, co nadaje jej ten lekko słodkawy smak, w zasadzie bowiem była to potrawa ostro-kwaśno-słona, aż wreszcie Janeczka zdradziła, że do rozprażonej cebuli dodała powideł ze śliwek. W myśl przepisu miała to być marynata z pigwy, ale marynaty z pigwy nie było. Babcia obiecała zrobić w przyszłym roku, bo pigwa rośnie w ogrodzie. Podjęte zobowiązanie przygmiotło Pawełka nieznośnym ciężarem, bo klucz od bramy znikł. przepadł i nie znalazł się nigdzie, a matka stanowczo żądała unormowania sytuacji. Nie było wątpliwości, że to on sam go zgubił, czy może schował tak porządnie. Należało to teraz nadrobić. - No dobra, niech będzie, zmienię zamek - zdecydował posępnie późnym wieczorem. - Ten parszywy klucz nóg dostał i sam gdzieś poszedł. A taki był dobry! - Do czego dobrym - zaciekawiała się Janeczka.

-Do strzelania. Jedyne klucze z dziurką! Do strzelania musi być z dziurką. - Jak zmienisz zamek? Przecież to wszystko jest żelazne? Pawełek lekceważąco wzruszył ramionami.

- Małe piwo. Dawno ci przecież mówiłem, że Bartka ojciec ma warsztat ślusarski, dwieście pięćdziesiąty raz powtarzam, co żelazne, to dla nas mięta. I nawet zamek dostanę tanio, oni tam mają tego na kopy. Nie musi być fabrycznie nowy. - Stary będzie działał?

- Jeszcze jak! Specjalnie znajdziemy taki całkiem staroświecki, one były lepsze niż te nowe. Żeby się nawet do wytrycha nie nadawał! Kumpel imieniem Bartek zamiłowania ślusarskie odziedziczył po ojcu i bardzo się zapalił do zaplanowanej pracy. Odnaleziony wśród rozmaitych rupieci zamek był ozdobny, potężny i nad wyraz skomplikowany. Istniał nawet klucz do niego, ale tylko jeden. Pawełek postanowił dorobić jeszcze ze dwa, głównie z tego względu, że pani Krystyna odmawiała noszenia w torebce przedmiotu, który nie mieścił się w niej i ważył blisko półtora kilo. Należało pozostawić bez zmian tylko pióro, główkę klucza zaś bardzo zmniejszyć, rezygnując z wymyślnych dekoracji. Dwa popołudnia i wieczory zostały poświęcone temu zajęciu. Pawełek w posługiwaniu się szlifierką doszedł nawet do dużej wprawy, z Bartkiem jednakże nie mógł się równać. Głównie zatem pracował Bartek, Pawełek zaś ze szczerym zachwytem oglądał wszystko, co znajdowało się w tym przepięknym warsztacie. - Ty, co to jest? - spytał z zainteresowaniem, obracając w palcach wąski i długi szpikulec z doskonałej stali narzędziowej. - Do czego? Bartek rzucił okiem. - To takie coś dla jednego takiego. Okazało się za długie i za grube, więc ojciec zrobił krótsze i cieńsze, a to zostawił, bo może się przydać. Właściwie to ja wymyśliłem, że może się przydać. - A do czego było temu jakiemuś?

- Do parasola.

- Do czego? - zdumiał się Pawełek. - Do parasola? Wszystko inne bym powiedział, tylko nie to! Na co mu to w parasolu i niby gdzie to miał? Bartek przerwał pracę, warkot szlifierki ucichł.

- Na końcu miał. Tam gdzie parasol ma ten swój dzióbek. Dla obrony przed bandziorami, tak mówił. Rozumiesz, niby nic, parasol, starszy pan, za pryka go będą mieli i spróbują napadać. A on tylko to nadstawi i proszę. I rączkę miał taką na byka, więc było za co trzymać i naciskać. Sięgnął po zamek i przymierzył klucz. Pasowało doskonale. -Proszę. Jest. Jak w masło!



Pawełek, nic nie mówiąc, wziął do ręki podawane mu przedmioty. Pomysł starszego pana napełnił go bezgranicznym podziwem. Z lekkim roztargnieniem przekręcił kolejno oba klucze i z uznaniem kiwnął głową. - A jak on to nosił? Ten parasol? Nie dziabął wszystkiego, co się napatoczyło? -E tam, coś ty. Podpierał się zwyczajnie.

Pawełek odłożył na stołek zamek i klucz i znów ujął szpikulec. -No to mu się przecież tępiło - zauważył krytycznie.

-Nic podobnego - odparł Bartek, składając porządnie narzędzia i czyszcząc warsztat pracy. - Miał taką nasadkę na to, specjalnie mu ojciec zrobił. A w ogóle mógł to całkiem odkręcać i wtykać zwyczajny parasolowy prztyk, bo było na gwint. Pawełek właśnie stwierdził, że oglądany szpikulec ma drugi koniec nagwintowany. Zachwycił się jeszcze bardziej. - A w ogóle, to ja ci powiem, że on chyba zełgał - ciągnął Bartek tajemniczo. - Bandziory bandziorami, a tak się jakoś przymierzał... Patrzyłem za nim, jak szedł, co tam patrzyłem, nawet lażłem za nim kawałek, nie żeby specjalnie, tylko akurat miałem wracać do domu. Wywijał sobie tym parasolem, podpierał się, rozmaicie, a jak przechodził koło jakiegoś samochodu, jak Boga kocham, mówię ci, tak się jakoś przymierzał do koła. Bliziutko podłaził, po samym krawężniku, spacerkiem, a parasolem, niech pierzem porosnę, o każde koło próbował się podpierać! Pawełek znieruchomiał.

-I co? - spytał z szalonym napięciem, - I nic. Ale jakby nie miał nasadki i podpierał się gołym dziobem, to już by chyba te koła były z głowy. Ja tam nie wiem, ale coś mi się to wydało podejrzanem... Pawełkowi nagle roziskrzyły się oczy. W głowie zaświtał mu pomysł. Niejasny, mglisty, nie-sprecyzowany, właściwie był to tylko rozmazany zarys pomysłu, ale jednak zaświtał. Milczał jeszcze przez chwilę. -I kto to był, ten gość z parasolem?

- Jeden taki wczesny emeryt. Nie wiem. Dużo do nas przychodzi, ojciec go zna. Pawełek uczył nagle gwałtowną potrzebę pogawędki z Janeczką. Znów zamilkł, pieczołowicie schował do torby zamek z trzema kluczami i przypomniało mu się, że to nie koniec roboty. Trzeba teraz ten zamek wmontować w bramę ogrodzenia. Nie uczynili tego wcześniej, bo łatwiej było próbować dorabianych kluczy, mając zamek pod ręką, niż z każdą próbą latać do ich domu, a przez te dwa dni matka wolała wytrych niż olbrzymie i ciężkie żelastwo. -Kiedy robimy? - spytał rzeczowo, potrząsając torbą.

- Bym wolał po dniu - odparł Bartek, z góry nastawiony na rzetelną pomoc do końca. - Jutro sobota. Możemy zaraz jutro. Pawełek znów wziął do ręki odłożony na chwilę szpikulec.

- Dasz mi to? Albo mogę od was odkupić. Albo zamienić na co. Albo jeszcze nie tak, bo chyba trzeba będzie coś tam do tego dorobić, ale potrzebne mi to, rany boskie, jak wszystkie szatany świata!

Bartek nie wnikał w przyczyny, dla których komukolwiek mogłyby być potrzebne szatany w obojętnej ilości, nie przypuszczał też, że Pawełek ma na myśli trujący gatunek grzyba albo mocną kawę, porównanie rozumiał doskonale, zainteresowało go natomiast, do czego narzędzie mogłoby Pawełkowi służyć. - Na co ci? - spytał podejrzliwie. Pawełek już się nie zastanawiał. - Jutro się dowiesz. Ja bym to wziął ze sobą, bo muszę pokazać jednej osobie, a jak szafa zagra, wszystko ci wyjaśnię co trzeba. -Dobra, bierz. O której się umawiamy?

-Jak najwcześniej. O dziesiątej na przykład. Na wszelki wypadek... Ze zmarszczonymi brwiami i w głębokim skupieniu Janeczka oglądała lśniący, długi, wąski, niewiarygodnie ostry kawałek stali. Rozejrzała się, zastanowiła, bez słowa wstała z krzesła i przeszła do pokoju Pawełka. Pawełek udał się za nią. Janeczka znów się rozejrzała, wypatrzyła starą piłkę tenisową, bardzo twardą, wygrzebała ją spod szafy, ujęła w lewą rękę, a prawą zagłębiła w niej szpikulec. Wszedł do połowy i zostawił po sobie ciasną dziurę. Janeczka kiwnęła głową.

- No dobrze, zgadza się - pochwaliła. - Wcale nie pchałam bardzo mocno, i co? - No i właśnie - podjął relację Pawełek z lekkim zakłopotaniem. - Bo rozumiesz, tak mi się jakoś przywidziało. A jakby tak to coś nie mogło wcale odjechać...? Ten TIR na przykład, w Powsinie, rozumiesz, pchają na niego samochód, fajnie, potem ruszają, a tu chała. Koło siedzi. Tak zwyczajnie, to mowy nie ma, wszędzie on ma dwa koła, więc najmarniej muszą siedzieć dwa, a jeszcze lepiej cztery. Tak

już to po mnie chodziło od początku, ale od razu wiedziałem, że nic z tego, byle czym nie przegryzę... -Dwa - powiedziała Janeczka z wielką stanowczością. Pawełek wstrzymał się w rozpędzie, którego już zaczął nabierać. -Co dwa? Lepiej cztery...

- Nie. Dwa takie dzioby, mówię. Mogą zrobić drugi?

Pawełek wyraźnie poczuł, jak błogość zalewa mu duszę. Nic jeszcze nie zostało wyraźnie ustalone, ale już wiedział, że pomysł był świetny, jego siostra nie tylko zaaprobowała go w pełni, nawet zaczyna rozwijać i uzupełniać. Musiał dać ujście gwałtownym uczuciom. Chwycił poduszkę z tapczanu, podrzucił ją do góry, trafił w półeczkę na ścianie i doznał ukojenia, kiedy spadające pudło z narzędziami rąbnęło go w ramię. Zostawił w spokoju poduszkę, jedną ręką okręcił dookoła krzesło i usiadł na nim okrakiem. - Jutro się dowiem, ale mur beton, że mogą - odparł z głębokim przekonaniem. - On chce dostać naszą starą katarynkę, Bartek znaczy, dawno coś na ten temat mamrotał. Dam mu, niech ma. Ale czekaj, bo mnie więcej przychodzi do głowy. Janeczka obejrzała się, zepchnęła z fotelika kłęb miedzianego drutu i usiadła wygodnie. - No? - powiedziała pytająco. Pawełek wyjął jej z ręki szpikulec. - Tak pchać, to na nic - wyjaśnił. - Tamten facet parasolem się podpierał, a jeszcze rączkę miał odpowiednią. I nie kuczał, bo na to każdy zwróci uwagę. Z góry, rozumiesz, jedno podparcie i gotowe. Więc przyszło mi na myśl, żeby do tego dorobić jakąś rzecz, chociaż kawałek, lecz z gwintem, dokręcić, a na wierzchu coś do oparcia, jeszcze nie wiem co, bo to musi tak wyglądać, żeby nie było podejrzeń. Janeczka słuchała z uwagą, intensywnie rozmyślając.

- Ja mogę nosić parasolkę - powiedziała. - Ale tobie będzie głupio. - A co? - zainteresował się Pawełek, odrobinę zaskoczony. - Ty też chcesz osobiście...? Janeczka poprawiła się na foteliku, oparła łokcie na kolanach i przybrała ulubioną pozę, z brodą wspartą na dłoniach. - Powiem ci, że jak on tam zakręcał, ten złodziej pana Zajrzała, pięć razy mogłam zdażyć. Od tyłu. Podlecieć, dziabnąć i już. -Zobaczyłby cię.

- Akurat. Ciemno było kawałkami, w jednych miejscach świeciło, a w drugich wcale. A nawet niechby, to co z tego? Nic by mu nie przyszło do głowy, najpierw oglądałby koło, a przez ten czas pan Zajrzał... Pawełek poderwał się gwałtownie z krzesła, okręcił je dookoła jeszcze raz i znów usiadł. -Czekaj! Może jeszcze lepiej To jest ostre, a tamto guma, koło guma, ona się schodzi! Rozumiesz, może to wcale nie przebija z impetem, nie robi takiego puffff...! Tylko schodzi powoli! Powietrze, mówię, schodzi, on może zauważyć dopiero za parę metrów! Zanim się połapie, można nawiać sto razy! Janeczka wyprostowała się.

- To trzeba wypróbować! - zarządziła stanowczo.

-Co?

- Trzeba wypróbować, ogłuchłeś, czy co? To jest bardzo ważne! Pawełek zdetonował się nieco.

-Zwariowałaś? Jak wypróbować?

- Zwyczajnie. Na jakimś samochodzie.

- Kota masz, czy jak? Komu będziemy dziurawić koła? Porzadnemu człowiekowi? Z ogromnym politowaniem Janeczka popukała się palcem w czoło.

-Naprawdę uważasz, że tak trudno znaleźć jakiegoś przestępcę? Jeden dzień nam to zajmie. Chociażby mafia. - Która mafia?

- Taksówkowa na przykład.

Pawełek zamilkł. Dość gwałtownie zaczął przypominać sobie, co słyszał o mafii taksówkowej. Dużo słyszał, oczywiście, ale jakoś mu się to pochoowało chwilowo w zakamarkach pamięci. Kto mówił o tym ostatnio...? A, prawda, ciotka Monika! Ktoś tam w jej biurze skarżył się, że trafił na mafię... nie, to ktoś przyjechał, jakaś osoba do tej w biurze, z lotniska na Pragę zażądali od niej zupełnie potwornych pieniędzy i była cała awantura. Ciotka Monika opowiadała o tym ich matce, ale nie słuchał uważnie, bo akurat był zajęty... I Rafał! Rafał woził kumpla, albo może kuzyna kumpla, do wulkanizacji. Porznęli mu opony, bo stanął, jak głupi, na postoju mafii... Janeczka widziała myślową pracę brata jak na dłoni.

-Rafał mówi, że niektórzy są mafią legalnie - przypomniawszy miłosiernie. -

Zarejestrowali się drożej i płacą większe podatki. I nie pozwalają, żeby kto inny stawał na ich postojach. Jeżdżą nimi tylko bogate półgłówki i tacy różni,

co nie wiedzą, zagraniczni na przykład. Za jeden przejazd mają więcej, niż ci normalni za pięć, ale czasem przez parę dni wcale nie mają pasażerów, więc nikt nie rozumie, jak im się to opłaca.

- Bez sensu i w ogóle głupota - skrytykował Pawełek.

- A głównie łapia na lotnisku - kontynuowała Janeczka. - Ale najgorsze, że podobno stoją na dworcu. Tam wychodzą ludzie z bagażami, a czasem i z dziećmi, i nie mają innego wyjścia, jak tylko jechać mafią, i to jest zwyczajne świństwo. Podobno z drugiej strony stoją tacy prawie normalni... - Z jakiej drugiej strony?

- Od Alej Jerozolimskich. Ale ci ludzie o tym nie wiedzą i w ogóle nie będą przecież z bagażami i z tymi dziećmi latać przez cały dworzec. Na Centralnym tak jest, a jak na innych, nie jestem pewna. - Skąd wiesz?

- W szkole słyszałam. Ciotka Asi musiała przyjechać nagle ze Szczecina i popłakała się, bo kazali jej zapłacić za taksówkę ćwierć miliona, a ona w ogóle nie miała przy sobie tyle pieniędzy. Za to miała toboły, małe dziecko i katar i do tego padał deszcz. Wszyscy o tym mówili, a pani Borkowska próbowała coś wyjaśnić o tych podatkach, ale zdaje się, że też się jej trochę popłatało, chociaż jest od matematyki. - Że pani Borkowska jest od matematyki, to ja wiem lepiej od ciebie - mruknął Pawełek z lekkim rozgoryczeniem, bo dwa dni temu naraził się nieco właśnie na matematyce. - Dobra, już sobie przypominam. Rafała kumpla krewny wygłupił się z tym stawianiem na postojach... - No więc właśnie. Ja bym wypróbowała tę rzecz na mafii pod dworcem. Pod Salą Kongresową niech sobie stoją, ile im się podoba. - Ci na lotnisku też dobrzy. Tam, to co, ludzie z bagażami nie wychodzą? - A w ogóle to jeszcze nie wszystko - ciągnęła Janeczka. - Musisz się dowiedzieć od Bartka, albo od jego ojca, albo niech on się dowie od ojca, kto to jest ten pan z parasolem. Jak się nazywa, gdzie mieszka, co robi i tak dalej. - Po co?

- Na wszelki wypadek. On chyba coś myśli, nie? Ja bym chciała wiedzieć, co on naprawdę myśli i po co mu był ten dziób w parasolu. Pawełek z roztargnieniem kiwnął głową. Już zaczynał rozważać szczegóły techniczne przedsięwzięcia. - Ale jak mamy cokolwiek sprawdzić, to trzeba dziabnąć pierwszego - zauważył. - Żeby odjechał, albo chociaż zaczął odjeżdżać, zanim mu powietrze zejdzie. I trzeba się zastanowić, jak pryskać w razie, gdyby zrobiło puff. Na wszelki wypadek. To syczy. - Co syczy?

- Powietrze.

- Trzeba zagłuszyć.

- To chyba że ciotka Asi weźmie ze sobą dziecko i ono się będzie darło...

- Głupi jesteś, czy co? - zirytowała się Janeczka. - A tranzystor od czego? Mamy przecież, trochę zepsuty i bardzo skrzeczy. Do zagłuszania doskonały. - A... Masz rację, rzeczywiście zgłupiałem. Ale nie, bo ja już myślę dalej. Rozumiesz, jak załatwić ten dalszy ciąg, te TIR-y i całą resztę... - Nad tym będziemy się zastanawiać, jak już sprawdzimy, czy to robi puff - ucięła dyskusję Janeczka i podniosła się z fotelika. - Jutro rano zaczniemy od Bartka, i wymyśl rączkę do tej rzeczy. żeby łatwo było przyciskać bez kucania... Na pytanie o drugi egzemplarz ostrego szpikulca Bartek nie odpowiedział od razu. Milczał przez chwilę, odkręcając zardzewiałe śruby zamka przy bramie. Pierwszej już dał radę, ruszył teraz drugą kolejną i odsapnął. - No, poszło! A już się bałem, że przerdzewiały na mur... Na co ci to? Do czego? Teraz Pawełek zamilkł na prawie dziesięć sekund. Nie uzgodnili wcześniej, czy powiedzieć Bartkowi prawdę i wtajemniczyć go w całą aferę; jakoś umknęła im ta konieczność. A ostatecznie zdawali sobie sprawę, że zamierzone czyny są raczej naganne i źle widziane przez wszelkie przepisy prawne, nie mówiąc o społeczeństwie. Wymienił spojrzenie z siedzącą na podmurówce ogrodzenia Janeczką. Janeczka nie dała mu żadnego sygnału. Zwróciła się wprost do Bartka. - Co ty myślisz o złodziejach samochodowych? - spytała tonem uprzejmego zainteresowania. Bartek męczył się właśnie przy trzeciej śrubie, którą zdążył już opukać młotkiem. - Jak się nie... - wysapał przez zaciśnięte zęby. - No dobra, idzie! Jest taki płyn do rdzy, posmarować i jutro by samo poszło. Już myślałam, że się nie da i trzeba będzie. Bo co? - Nic. Ciekawi mnie. Coś przecież o nich myślisz?

- Źle myślę - odparł sucho Bartek. - Nie powiem dokładnie co, bo co się mam wyrażać, jeszcze kto usłyszy Dobra, teraz ty. Ja potem będę przykręcał. Pawełek

przejął od niego młotek i śrubokręt. Bartek łypnął okiem na Janeczkę. - No? - spytał podejrzliwie. - O co leci i w co się gra.

- Zastanawiamy się, czy nie można by im trochę poprzeskadzać - wyjaśniła Janeczka dość niedbale i bez nacisku. - Utrudnić te kradzieże. Nie lubimy ich. Co ty na to? Bartek odczekał chwilę, bo Pawełek opukiwał właśnie czwartą śrubę i żelazny łomot zagłuszał wszystko. Patrzył przy tym na Janeczkę prawie ze zgrozą.

- Was coś szurnęło? Szmergla macie, czy co? - spytał, kiedy dźwięki ucichły. - Przecież was pozabijają! Pawełek wzruszył ramionami i ruch okazał się użyteczny, czwarta śruba puściła. Zaczął ją wykręcać, starając się unikać przy tym zgrzytu i pisku, bo ciekaw był dalszych zabiegów dyplomatycznych siostry. Janeczka nie straciła spokoju.

- Wcale nie. Tak całkiem obłąkani jeszcze nie jesteśmy i nie mamy zamiaru włączyć im w ręce. Ja cię pytam, co ty w ogóle myślisz na ten temat. Jesteś im przeciwny, czy nie? - No pewnie, że jestem, kretyńskie pytanie! I co z tego? Gliny im nie dają rady, a wy dacie?! - Przecież nie mówię, że chcemy ich wszystkich za trzy dni uwięzić w lochach o chlebie i wodzie. Mówię o przeszkadzaniu. I trzeci raz pytam: jesteś za, czy przeciw? Bartek znów przeczekał kolejne walenie młotkiem. Przez ten czas zdążył się zastanowić. - Jestem za - rzekł stanowczo. - I już rozumiem, że ten szlagborek ma być do tego przeszkadzania. Nawet zgaduję, jakim sposobem. Wariactwo. - Możliwe - zgodziła się Janeczka grzecznie.

- Ale przecież ty sam nie musisz w tym brać udziału. A my po prostu spróbujemy, tak sobie, z ciekawości. Nie uda się, to nie, nikt się przez to nie powiesi. Ważne jest, czy można zrobić drugi taki szpikulec.

-Można. Nie ma sprawy. Zaraz. Czy ja wiem...

Pawełek przyłożył się energicznie do drugiej połowy zamka. Bartek miał dość sporo czasu, żeby rozważyć kwestię dokładniej, hałas mu nie przeszkadzał. Przedziwny pomysł, w pierwszej chwili budzący zgrozę, zaczął mu się podobać. - Kto powiedział, że mam nie brać udziału? - spytał gniewnie. - A może ja bym chciał brać udział? Szlagborek się robi, ale niech ja się dowiem porządnie, co to ma być... Zanim stary zamek został odkręcony do końca, Bartek usłyszał wszystko. Jego wstępne opory zostały pokonane, udeptane, znikły bezpowrotnie i wszelki ślad po nich zaginał. Zapalił się do imprezy, pochwalił konieczność noszenia przez Janeczkę parasolki i zobowiązał się osobiście wmontować w nią morderczy szpikulec. Pawełek prawie nie uczestniczył w wyjaśnieniach, pracował rękami, umysł miał wolny i wynalazł przedmiot do noszenia dla siebie.

- Ciupaga! - oznajmił z triumfem, odkładając na murek dwa kawały starego żelaza. - Taka z Cepelii, nieduża. Z ciupagą mogę sobie pochodzić, w razie czego nawet ją trochę owinę papierem, że niby świeżo kupiona dla wuja z Ameryki. U dołu wkręcić ten dynks i będzie fajnie. - Parasolka lepsza - zaopiniował Bartek. - Jakby co, ciupaga od razu podpadnie. Fakt, że z parasolką tobie głupio... Ale jednak...

- Toteż właśnie dlatego chcemy wiedzieć, kto to jest ten pan z parasolem - zwróciła mu uwagę Janeczka. - Sam mówisz, że się przymierzał podejrzanie. Nie jestem pewna, ale może się przydać. - Dobra, dowiem się. Ojciec go zna. No to z gazem, odwalamy robotę do końca i może się jeszcze dzisiaj zdąży wszystko nagwintować...

Przeraźliwie długi rząd taksówek oczekiwał pasażerów na dworcu Centralnym. Nic się przy nich nie działo, nie było tłoku ani zamieszania, panował spokój wręcz obrzydliwy. Janeczka i Pawełek ocenili sytuację jednym rzutem oka i natychmiast cofnęli się do wnętrza hali. - Nie potrzeba, żeby na nas zwrócili uwagę - powiedziała Janeczka ostrzegawczo. - Żadnego płątania się obok. Najpierw przyjrzyjmy się z daleka. - Żeby chociaż było czemu! - skrzywił się Pawełek. - Stoją jak przyrośnięci. Tylko wariat mógłby z nimi pojechać, a żadnego wariata w okolicy nie widzę. -Może się znajdzie...

Przez chwilę obserwowali przechodzących spokojnie ludzi. Janeczka obejrzała się nagle i pociągnęła brata za rękaw. - Chodź, popatrzmy na rozkład jazdy.

- Po co? - spytał Pawełek i natychmiast sam sobie udzielił odpowiedzi. - A, masz na myśli jakiś pociąg? Słusznie, najlepszy byłby zagraniczny, Z Wiednia, z

Paryża, z Berlina... Najbliższy pociąg zagraniczny przewidziany był dopiero za godzinę i dziesięć minut, a i to mógł się spóźnić. Wcześniej przychodziły rozmaite pociągi krajowe, nie stwarzające wielkich nadziei na klientów dla tych upiornie drogich taksówek Janeczce i Pawełkowi potrzebny był tłum i bodaj odrobina jakiegoś bałaganu, a do tego jeszcze odjazd chociaż jednego z oczekujących samochodów. Pawełek troskliwie piastował w rękach niebieską parasolkę Janeczki. Dziób został wkręcony w odpowiednie miejsce i w każdej chwili można go było odkręcić, ochronną tuleję zdejmowało się jednym gestem. Ciupagi jeszcze nie zdążył kupić. W pierwszej kolejności należało dokonać zasadniczej próby i niecierpliwość wypchnęła ich na dworzec już w poniedziałek, zaraz po obiedzie. W razie powodzenia przed zamknięciem sklepów zdołaliby kupić także ciupagę. Przyjechał pociąg z Rzeszowa, pasażerowie zaczęli wychodzić i jacyś państwo w średnim wieku, z walizkami, zbliżyli się do pierwszej taksówki. Nie zdążyli ująć klamki, kiedy od tyłu podskoczył jakiś osobnik.

- Państwo tego nie biorą - ostrzegł półgłosem. - Oni jeżdżą za poczwórna cenę. Pani cofnęła rękę jak oparzona, pan upuścił jedną walizkę. - Jak to...? To co...? - Na parkingu stoję. Za autobusem - powiedział szybko osobnik i znikł, jakby się rozwiął w powietrzu. Kierowca pierwszej taksówki gwałtownie wy dostał się z wnętrza. - Ty gnoju...! - ryknął okropnie, ale umilkł, bo już nie było do kogo ryczeć. Państwo z walizkami cofnęli się pośpiesznie i zaczęli się rozglądać. - No tak, słyszeliśmy o tym - mruknął pan.

- Co za skandal!

- Za autobusem, to tam - powiedziała pani.

- Bierz to i chodźmy.

Pan z lekkim wysiłkiem podniósł upuszczoną walizkę i obydwoje wmieszali się w tłum, obchodząc z daleka pierwszą taksówkę. Janeczka i Pawełek odsunęli się również. Słyszeli wszystko, czujnie przygotowani do akcji. - Na nic - zawyrokował Pawełek. - To nie była okazja

Janeczka przyznała mu rację kiwnięciem głowy. Nie spodziewała się sukcesu, pociągami z Rzeszowa bogaci cudzoziemcy na ogół nie przyjeżdżają. Odwrócili się i w tym momencie przeszła obok nich młoda pani, olśniewająco elegancka. Szybkim krokiem zbliżyła się do tej pierwszej taksówki, wsiadła bez wahania i taksówka ruszyła natychmiast.

- Do licha! - powiedział z niezadowoleniem Pawełek. - Żeby był wiedział...! - Nie szkodzi - pocieszyła go Janeczka. - W ostateczności poczekamy na ten z Londynu. I to też nie była okazja, bo wszyscy patrzyli. Trzeba, żeby zajmowali od razu dwie, albo trzy, żeby ci z tyłu nie mogli się gapić. Cały sznur taksówek ruszył i podjechał odrobinę do przodu. Pasażerowie z Rzeszowa rozproszyli się, znów zapanował spokój. Głośnik oznajmił, że spóźniony pociąg z Gdyni wjeżdża na peron szósty. Podjechała nowa taksówka i zatrzymała się kilkanaście metrów przed postojem. Wsiadła z niej jakaś pani i weszła do hali dworcowej, taksówka zaś pozostała na swoim miejscu. Nie odjeżdżała. Już po dwóch minutach obudziła wyraźne zainteresowanie. Kierowca trzeciej kolejnej z oczekującego na postoju sznura wyjrzał ze swego samochodu. - Ten tam, to co? - zawołał niezyczliwie. - Czego stoi?

Kierowcy z sąsiednich samochodów wychylili się również. Ten z pierwszej taksówki wysiadł, popatrzył, podszedł do tamtej, stojącej samotnie z przodu. Dogoniło go jeszcze dwóch, z drugiej i czwartej. Kierowca pierwszej taksówki pochylił się do okienka. - Już cię tu nie ma - powiedział zimnym głosem.

- Żadne takie - zaprotestował kierowca ze środka. - Na klientkę czekam. W tym momencie ludzie z gdyńskiego pociągu zaczęli wychodzić. Razem z nimi pojawiła się na zewnątrz pani od owej zatrzymanej taksówki, podeszła do niej i wsiadła. Trzej kierowcy obok zawahali się, taksówka z panią ruszyła. Do pierwszej na postoju podszedł jakiś młody człowiek z ciężkimi tobołami. Janeczka i Pawełek, zagapieni na tamtą interesującą scenę, ocknęli się nagle. - Teraz! - syknęła dziko Janeczka. Pawełek nie zwlekał. Między taksówkami zaczęli przechodzić ludzie, zasłonili go, kierowcy dalszych samochodów wpatrzeni byli jeszcze w tamtą odjeżdżającą taksówkę i w trzech swoich kolegów, wracających do wozów. Młody człowiek wepchnął już toboły na tylne fotele. Okazja wydawała się wymarzona. Zręcznym ruchem Pawełek podsunął się pośpiesznie do tyłu pierwszej taksówki, przeciągnął dłonią po czubku parasolki Janeczki, wycelował tym

czubkiem w bok opony i całym ciężarem wsparł się na rączce. Syk powietrza w uszach Janeczki zabrzmiał bez mała dźwiękiem trąby jerychońskiej. Pawełek poczuł mrowienie na plecach, omal nie wypuścił parasolki z ręki. Wyrwał ją z opony, zachowując jeszcze dość przytomności umysłu, żeby nie cofać się i nie odskakiwać, od razu pobiegł dalej, za ludźmi, kierującymi się do przystanków autobusowych. Opona zaczęła klęsnąć. Kierowca nie zauważył tego od razu, nie przechodził do tyłu, usiadł za kierownicą, pasażer razem z bagażami już był w środku. Ruszyli, przejechali zaledwie trzy metry, kierowca zatrzymał, wyskoczył, obiegł samochód i na widok siedzącego koła zaklął okropnie. Pasażer rozłożył się, wysiadł również i zaczął wywlekać swoje toboły. - Na nic - powiedział ponuro spłoszony Pawełek, kiedy siostra znalazła go na parkingu za przystankami autobusowymi, i rozwarł spoconą dłoń, w której cały czas kurczowo ścisnął ochronną tuleję. - Syczy koszmarnie! - No owszem - przyznała Janeczka. - Zdażyłam pożałować okropnie, że zapomnieliśmy tego tranzystora. Myślałam, że całe miasto usłyszy, ale okazuje się, nie. Wcale nie zwrócili uwagi, dopiero jak ruszał. Pawełek nasadził tuleję na ostry dziób.

- Co tam w ogóle było?

- Awanturowali się. Ten facet, pasażer, pchał się do innej taksówki, a kierowca namawiał go, żeby zaczekał, bo on to koło zaraz zmieni. Ale powiedział, że nie ma czasu i przeniósł się do którejś z tyłu. Czwartej. Razem wziawszy, odjechały cztery taksówki, a reszta zaczęła się kłócić, gdzie ten pierwszy ma teraz miejsce. On uważał, że ciągle jest pierwszy, a inni mówili, że przecież odjechał, więc teraz ma zostać z tyłu. Nie wiem, na czym stanęli. Ale masz rację, że nie jest idealnie.

-A pewnie! Powietrze leci ze świstem...

-I przejechał ledwo parę kroków. A powinien przejechać chociaż ze dwadzieścia metrów. Tutaj akurat było zamieszanie, ale może się złożyć tak, że żadnego zamieszania nie będzie, cisza kompletna, rozlegnie się syk i nie zdążymy uciec. Jak ci poszło? Było trudno? - Jak mi poszło, to sama widziałaś. Wlazło jak w sos pomidorowy. Nawet nie musiałem się wysilać. Pierwszorządne narzędzie! - Ale syczy. To uważasz, że co zrobimy? Musimy się chyba zastanowić? - Nie potrzeba, już się zastanowiłem. Musi być cieńsze. Ze dwa razy. Za dużą dziurę zostawia i ta guma, żeby nie wiem jak chciała, nie może się zejść. Zaraz jutro załatwię z Bartkiem, chyba że jeszcze dzisiaj zdążymy, ale najpierw bym kupił ciupagę. Już widać, że tak ogólnie wychodzi całkiem nieźle... -No to, co do tego faceta z parasolem, nie ma dwóch zdań - oznajmił Bartek bezapelacyjnie, kiedy jeszcze tego samego wieczoru Pawełek opowiedział mu wszystko. - On nie tylko chciał krótsze, ale i cieńsze. Głowę daję, że się czaił na opony! Zaraz zapytam ojca... - Nie, czekaj! - powstrzymał go Pawełek. - Zastanówmy się... - To może po drodze - przerwał mu Bartek. - Ojciec jest w warsztacie, idę właśnie do niego, bo matka mówi, że znów zapomni przynieść noże od maszynki do mięsa. Co szkodzi, chodź, pójdziemy razem. - ..a ciśnienie w TIR-ach jest większe niż w osobowych - kontynuował posępnie Pawełek po drodze. - Nie daj Boże, jak świśnie, to się nie pozbieramy... - Siedem atmosfer - wtrącił z troską Bartek.

-No więc właśnie. I jeszcze musimy wiedzieć, ile przejedzie, znaczy, rozumiesz, jak wolno to powietrze będzie schodziło, żeby na przykład w razie czego zawiadomić gliny. Sami ich łapać nie będziemy, moja siostra ci mówiła. - Ona niegłupia, ta twoja siostra. Myślałam, że z dziewczuchą w ogóle nie ma co gadać, ale z nią można. I jeszcze macie psa, cała szkoła wie, że on jest nadprzyrodzony. Napuścicie go jakoś? Bo o tym mowy nie było. Przez krótką chwilę Pawełek zastanawiał się, w jaki sposób można by wykorzystać Chabra w tej antyzłodziejskiej akcji. Od razu doszedł do wniosku, że po pierwsze, z pewnością rozmaicie, a po drugie, bez Janeczki tej kwestii w pełni nie rozstrzygnie. Porozumienie z psem osiągała najlepiej ze wszystkich. - Bez psa się nie obejdzie, to pewne - rzekł z przekonaniem. - Z tym że jeszcze nie wiem jak. Najpierw załatwmy narzędzia. - Mamy w warsztacie coś takiego... - zaczął Bartek i umilkł. Zza skrzyżowania usłyszeli alarmowe wycie. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, wielokrotnie samochody wyły bez powodu, zdarzały się instalacje tak dziwnie urządzone, że włączały się od byle czego i właściciele prawie przestawali już zwracać na to uwagę. Na wszelki wypadek jednakże obaj nadstawili

uszu i przyśpieszyli kroku. Zaledwie skręcili, ujrzeni zatoczkę z parkingiem. Obok jednego samochodu kręciło się dwóch ludzi. Jeden z nich otworzył drzwiczki, wsiadł szybko, wycie trwało jeszcze przez chwilę, po czym wreszcie umilkło. Pawełek i Bartek, bez wzajemnego porozumienia, przykucnęli równocześnie, podkradli się bliżej, pomiędzy innymi samochodami. Drugi osobnik obiegnął samochód i wsiadł od strony pasażera. Niby nic w tym nie było, ale jednak... -Kurczę dzikie! - szepnął Bartek gniewnie.

- Niech ja porosnę tatarakiem... Volkswagen, widzisz? Ja bym tego... No, wiesz, na wszelki wypadek... - Nie ma sprawy - odszepnął żywo Pawełek.

- Zapomniałem jej oddać parasolkę...

Samochód wycofał się z zajmowanego miejsca i zatrzymał na moment, żeby zmienić kierunek i pojechać do przodu. Pawełek zdążył wykorzystać tę chwilę.

Prześlizgnął się za najbliższym polonezem, ukryty w jego cieniu, podczołgał na jezdnię, wykonał błyskawiczny ruch do przodu parasolką Janeczki. Stracił przy tym równowagę, dzięki czemu ruch zyskał dodatkowy rozpęd. Cichy syk zabrzmiał w jego uszach przeraźliwie. Na czworakach, w okropnym pośpiechu, tyłem wrócił do Bartka. Ludzie w samochodzie jakoś nic nie usłyszeli, ruszyli i na siadającym kole przejechali aż do końca parkingu. Tam dopiero wyraźnie poczuli, że coś jest nie w porządku. Chłopcy z dużym zainteresowaniem wysłuchali ich krótkiego przemówienia. - liii tam - mruknął wzgardliwie Pawełek. - W kółko mówią to samo. Już słyszałem lepsze. - Tylko łba nie wystawiaj - ostrzegł Bartek. - Bo zgadną... Krótkie słowa, przegradzane monotonnymi przekleństwami, okazały się znamienne. Bez wątpienia byli to złodzieje. Przez kilka sekund zastanawiali się, czy pozostawić ten samochód własnemu losowi, po czym postanowili zmienić koło. Zuchwale i bezczelnie przystąpili do otwierania bagażnika, próbując różnych kluczyków. - No i proszę, trafiliśmy! - wyszeptał Bartek z triumfem po dłuższej chwili milczenia. - Wal drugie! Albo mogę ja... Pawełek doznał dużej ulgi, bo obawa, że przebił koło właścicielowi, nieco go dręczyła.

Odzyskał rozsądek i talent organizacyjny. Nie lepiej wymyśliłaby Janeczka. - Nie pali się - mruknął z zimną krwią. -- Podkradnijmy się bliżej, dziabnę, jak już zmienia i będą chcieli ruszać. Zawsze ten silnik trochę zagłuszy, a niespodzianka im się przyda. Bartek z uznaniem kiwnął głową, czego w cieniu za dużym fiatem i tak nie było widać. Czekali cierpliwie. Chodnikiem przeszedł bez pośpiechu jakiś pan z psem, obojętnie popatrzył na ludzi, zmieniających koło w samochodzie, nie zainteresował się tym wcale. Logicznie można było mniemać, że koło zmienia właściciel. - Chaber by wiedział, że to złodzieje - szepnął Pawełek z wyższością. - Poważnie? - zaciekawił się Bartek.

- Ten pies wie wszystko. Podobno wywęsza ludzkie emocje i rozmaite inne takie, ale ja uważam, że on zwyczajnie ma wyjątkowy rozum. Jeszcze się do tej pory nigdy nie pomylił... No, raz wystawił arabską lampę, którą musieliśmy ukraść, ale śmierdziała identycznie jak nasza... Arabską lampą Bartek zainteresował się ogromnie. Pawełek zdążył opowiedzieć mu szeptem połowę wydarzenia, zanim złodzieje uporali się ze zmianą koła. Pracowali sprawnie, ale jednak trochę to potrwało, bo nie od razu udało im się znaleźć narzędzia. Schowali wreszcie do bagażnika to przebite, wsiedli, zapalili silnik. Pawełek czujnie oczekiwał tej chwili. Dokładnie w momencie trzaśnięcia drzwiczkami przerwał opowieść, wyczołgał się z za fiata i z rozmachem pchnął parasolką.

- No, ja chcę wiedzieć, co oni teraz zrobią - szepnął Bartek z zaciętością. - Przekonainy się... Faceci z samochodu udowodnili wyraźnie, że wszelki wypadek był słuszny i miał głęboki sens. Wściekli i rozczarowani, wysiedli, obejrżeli kolejne siedzące koło, powiedzieli, co o tym myślą, zostawili volkswagena otworem i przeszli dalej, do samochodów, ustawionych już za parkingiem. Pawełek i Bartek podążyli za nimi, wciąż

pozostając w cieniu. Złodzieje wsiedli do zaparkowanego na samym skraju mercedesa. Nie mieli z tym najmniejszego kłopotu, mercedes zatem najwidoczniej należał do nich. W Pawełku ocknął się nagle bojowy duch.

- A chała! - szepnął mściwie. Ze zręcznością dzikiego zwierza przemknął za samochodami i ledwo zdążył na właściwy moment.

Wycofujący się mercedes stanął na chwilę, kierowca zmieniał bieg. Pawełek dziabnął z całej siły. Mercedes ledwie ruszył, koło już siadało, Pawełek nie zwlekał, na czworakach pomknął za nim, kryjąc się za bagażnikiem, omal nie wpadł na niego, kiedy kierowca zatrzymał gwałtownie.

Zaniin złodzieje zdołali wyskoczyć, Pawełek dziabnął drógi raz, po czym w błyskawicznym tempie wrócił do Bartka. Nie został dostrzeżony, słabe oświetlenie tej części ulicy i plamy głębokiego cienia działały na jego korzyść, a dwaj złoczyńcy patrzyli przed siebie i nie rozglądali się pilnie dookoła.

- U nas w warsztacie jest telefon - szepnął Bartek, pełen wielkiego uznania. - Dzwoninij do glin! Mają okazję ich złapać!

Do warsztatu było już bardzo blisko. Wymknawszy się z parkingu, popędzili biegiem. Ojciec Bartka otworzył im od razu.

-Co się sta... - zaczął z niepokojem.

-Nic, tato! - zawołał w przelocie przejęty Bartek. - Tu zaraz niedaleko złodzieje zmieniają koło! Do policji trzeba!

-Dwa koła - uzupełnił Pawełek, składając elegancki ukłon. - Byliśmy świadkami, że próbowali ukraść volkswagena. Passat to był. Nie udało im się, więc odjechali swoim mercedesem.

Znaczy, chcieli odjechać... Ojciec Bartka milczał, nieco oszołomiony, i nie przeszkadzał synowi. Bartek już wykręcił numer

pogotowia policji. Przyglądali się potem z pewnej odległości

działaniu załogi radiowozu, który przybył po paru minutach. Te parę minut nie zostało zmarnowane bezproduktywnie. Zachwycony akcją Bartek w niemniejszy zachwyt zdążył wprowadzić Pawełka, wygrzebując skądś i prezentując mu narzędzie wprost przecudowne. Był to śrubokręt z wielkim, potężnym uchwytem, do którego można było wkręcić, co się zechciało. Na przykład szpikulec, długi, bardzo

cienki i ostry jak igła. - Wręcz idealny! - pochwalił entuzjastycznie Pawełek. - Akurat dwa razy cieńszy od tamtego! Jeden taki masz? - Jeden, ale zrobię drugi - obiecał Bartek. - Do ciupagi też się nada. - Tylko może ta rączka powinna być dłuższa. Żeby nie kucać. - Głupi jesteś, czy jaki? A dziś to co? Nie kucałeś?

-Dziś to się w ogóle czołgałem, ale różnie bywa - odparł filozoficznie Pawełek.

- No dobra, lecimy, bo już chyba przyjechali! Ojciec Bartka zamknął warsztat i nieco wolniejszym krokiem udał się za nimi... - A tyś myślał, że co? - rzekła wzgardliwie Janeczka, wracając razem z bratem ze szkoły, bo wyjątkowo zbiegło im się zakończenie zajęć. - Będą tak czekać na to złapanie? I pojechali kraść własnym samochodem? Gdyby to były takie półgłówki, nie ukradliby nawet

dziesięciu groszy! - Myślałem, że w tych nerwach nic im nie przyjdzie do głowy - usprawiedliwiał się smętnie Pawełek. Janeczka wzruszyła ramionami. Uratowanie od kradzieży Volkswagena Passata spodobało się jej, wygłosiła nawet skąpą pochwałę, ale dalszy ciąg obudził same zastrzeżenia. Kiedy przyjechał radiowóz policji, po złodziejach nie było już najmniejszego śladu, a mercedes okazał się również kradziony. Poszukiwano go od trzech dni. W rezultacie pozostały im dwa

osiągnięcia - zdobycie wspaniałego narzędzia i porozumienie z ojcem Bartka. Nie został, rzecz jasna, wtajemniczony w zaplanowaną akcję, ludzie dorośli miewają bowiem niesłychanie głupie opory, zdradził jednakże nazwisko pana z parasolem.

Trochę był przy tym zakłopotany i zamyślony, coś tam zapewne odgadywał, ale szczegółów najwyraźniej w świecie wolał nie znać. Informację, że Pawełek z Bartkiem trafili na złodziei przypadkowo, a koła podziurawiły się same, przyjął w milczeniu i bez sprzeciwu, patrzył tylko jakimś dziwnym wzrokiem. - Pan Wolski - powiedziała z niechęcią Janeczka. - Też mi nazwisko... Wolskich może być pięć tysięcy -Na Olkuskiej...?

-Na Olkuskiej może być na przykład trzech. No trudno, obejrzymy wszystkich. Mam nadzieję, że nie mylą mu się ulice n0, bo na Mokotowie jest tego dosyć dużo.

Odolańska, Olszewska, Odyńca... - Nie wymieniaj mi tu całego planu miasta! - zirytował się Pawełek. - Mam większe zmartwienia niż ulice!

- No...? Pawełek westchnął ciężko.

- Fakt, że trafiliśmy przypadkiem. Nie co dzień jest święto. Cały czas strasznie myślę, jak na nich trafiać systematycznie. I jak ich łapać, bo już widać, że to nie takie małe piwo... - Czy ta policja sprawdziła chociaż odciski palców?



- A skąd! Znaczący, nie wiem. Na Passacie na pewno nie, zostawili go, znalazł się w ogóle właściciel, wcale tam nie mieszka, tylko był w gościach. Najpierw zaczął urągać, że wandal mu te koła załatwił, a potem o mało nie padł przed nimi na kolana, bo myślał, że to oni spłoszyli złodzieja. Jakiś drugi tam był małym fiatem, znajomy tego właściciela, od razu zabrali pierwsze koło do wulkanizacji. A gliny odjechały, z tym że zamienili koła w mercedesie, dwa dobre dali na tył, a przód wzięli na wózek. Chyba zabrali do komendy i w tej komendzie mogli badać odciski palców. - Nie - powiedziała surowo Janeczka. - Skoro kotłowali się z nim, otwierali i tak dalej, zamazali wszystko. Wcale się nie przejmowali. Nie podoba mi się to. - Mnie też nie - przyznał Pawełek po chwili zastanowienia. - I Bartkowi nie. - Któryś z was się tam pokazał?

- Owszem, Bartek. Uzgodniliśmy, że lepszy ode mnie, bo jego ojciec ma warsztat blisko i mógł się gapić przypadkiem. Jak ten właściciel zaczął wywlekać z bagażnika lewarek i to pierwsze koło, litość nas wzięła i Bartek poszedł mu powiedzieć, że nie ma co się wygłupiać. Mówił, że tylko widział, jak zmieniali, szedł akurat do ojca i tak sobie patrzył. Właściciel prawie nie wierzył, sprawdził ciśnienie, miał ciśnieniomierz, no i sam zobaczył, że flak. - Mówili coś?

-Kto?

- Policja.

- A pewnie. Jeszcze ile! Nie tacy głupi, zgadli, że cztery koła w jednym miejscu to już za duży cud. Świecili reflektorem i patrzyli, co tam leży na ziemi, jakie gwoździe, albo co, ale nic nie znaleźli, więc zastanawiali się, kto to mógł zrobić. Oglądali opony, wszystkie dziury jednakowe, tajemnicza ręka, mówili. Wydawali się nawet zadowoleni. Bartka przesłuchali, czy to czasem nie on, ale z czystym sumieniem przysięgał, że palcem tego nie dotknął. I samą prawdę mówił. - A ty?

- Mnie tam wcale nie było. Ludzkie oko mnie nie widziało, i tej twojej parasolki też. Co ty myślisz, że od paru opon zgłupiałem do reszty? Janeczka pozwoliła sobie okazać odrobinę uznania. Zastanawiała się z wielką intensywnością, bo na takie cudowne zrządenia losu rzeczywiście nie można było liczyć. Trudno oczekiwać także, że złodzieje zechcą zawiadamiać o swoich zamiarach i ułatwiać całą akcję. Pawełek martwił się słusznie, coś należało wymyślić.

- Nic mi na razie nie przychodzi do głowy - zakomunikowała z lekką niechęcią. - Więc najpierw to narzędzie, a potem, albo przedtem, pan Wolski. Pójdziemy na Olkuską zaraz dzisiaj po obiedzie, bo tak się składa, że akurat nie mam na głowie Beaty... Pani Krystyna przyjechała z pracy wyjątkowo wcześniej, w momencie kiedy jej dzieci kończyły deser. Za dwie godziny miała jakiś specjalny, służbowy pokaz i musiała wrócić do swojej instytucji elegancko ubrana. Pracowała w Domu Mody i projektowała stroje. Na te dwie godziny nie wstawiała samochodu do garażu, zostawiła go na ulicy przed bramą. Dzieci na tę wiadomość nie odezwały się ani słowem, popatrzyły tylko na nią potępiająco. Janeczka pochyliła się i zajrzała pod stół. - Piesku, na dwór! - powiedziała rozkazującym półgłosem. - Pilnuj samochodu! Chaber poderwał się natychmiast. Pawełek zlązł ze stołka, wypuścił psa, wyszedł z nim razem i otworzył mu furtkę. Pozostawił ją uchyloną, chociaż Chaber miał swoją prywatną dziurę w ogrodzeniu, przez którą mógł przechodzić. Chaber każde polecenie rozumiał bezbłędnie, wyskoczył na ulicę i zaczął obiegać w koło volkswagena pani Krystyny. -No i proszę, jaki ty jesteś mądry, pies! - pochwalił go Pawełek. - Za zimno, żebyś tu siedział, albo leżał. Czterdziestu kilometrów przelatać nie zdasz, więc proszę bardzo. -W tej sytuacji musimy poczekać, aż matka odjedzie - zdecydowała Janeczka. - Przez ten czas możemy odrobić lekcje. Pawełek poczuł w sobie odrobinę protestu.

- Zdamy wieczorem, nie?

- Ja nie wiem, co będzie wieczorem. Uważam, że na wszelki wypadek lepiej teraz. Spokój i cisza zapanowały zarówno w domu, jak i na ulicy. Chaber wytrwale obiegał volkswagena. O tym, że nic się przy nim nie działo i nikt się do niego nie zbliżał, potrafił zawiadomić, nie mógł jednakże opowiedzieć o innym zjawisku. Nie zdołał przekazać swoim państwu informacji, że ulicą przejechał ford. Przejechał, gwałtownie zwolnił, zawrócił i przejechał obok ich domu jeszcze raz. Psim instynktem czuł, że ten pojazd różnił się od innych, w dodatku różnił się negatywnie, nie zrobił jednak w końcu nic złego, znikł i nie pokazał

się więcej. Bez trudu zawiadomił za to o następnej scenie. Jakiś człowiek przeszedł ulicą na piechotę. Psu nie podobał się już z daleka, ale Chaber nie miał zwyczaju zaczepiać obcych ludzi, nawet gdyby wydawali mu się zbrodniarzami. Informował tylko o nich swoją panią z wielkim naciskiem. Kiedy pani Krystyna wyszła wreszcie, wsiadła do samochodu i odjechała na swój pokaz, zwolniony z posterunku Chaber popędził do Janeczki.

- Coś tam było - powiedziała trochę niespokojnie Janeczka, gotowa już do zaplanowanego wyjścia. - Czekać, piesku, jeszcze buty... No dobrze, idziemy! Pawełek dogonił ją przy furtce.

- No? Co on mówi?

Janeczka uważnie obserwowała psa.

- Ktoś tu był - przetłumaczyła. - Jakiś złoczyńca przechodził i zatrzymał się przy naszej bramie. Chaber go chyba przegonił, bo zaraz poszedł dalej. Czekać, zobaczymy dokąd. Pies poprowadził bez wahania. Hipotetyczny złoczyńca dotarł do skrzyżowania, przeszedł na drugą stronę ulicy, wrócił pod ich dom, poszedł dalej do następnego skrzyżowania i tam znikł. To znaczy, wsiadł do jakiegoś pojazdu. - Ej że! - powiedział podejrzliwie Pawełek. - To jednak faktycznie pętał się koło naszej bramy! I wygląda na to, że specjalnie do niej przyjechał! - Zgadza się - przyświadczyła Janeczka. - Ten pies to czyste złoto! Myślałam, że go weźmiemy ze sobą, bo może pana Wolskiego trzeba pośledzić, albo co, ale teraz widzę, że musimy go zostawić. W ogrodzie. Potem nam powie, co było. Zostań tu, piesku, mój skarbie najśliczniejszy, mój brylancie, tu zostań i pilnuj! Pilnuj bramy! Chaber dla swojej ukochanej pani gotów był na wszystko. Nie warował w bezruchu przy bramie, zaczął obiegać ogród, czujny na każdy ruch za ogrodzeniem, doskonale wiedząc, co dzieje się na zewnątrz. Janeczka i Pawełek wyruszyli na Okulską. Ulica Okulska nie była ani długa, ani gęsto zamieszkała. W jednym pasującym budynku na liście lokatorów widniał tylko jeden pan Zdzisław Wolski, mieszkanie numer pięć, pierwsze piętro. Weszli po schodach i obejrzeliby drzwi. - Co robimy? - spytał półgłosem Pawełek.

- Dziwne jakies te drzwi - zauważyła Janeczka, przyglądając się pilnie. - Wyglądają jak żelazne. Pawełek delikatnie popukał paznokciami na samym skraju, koło zawiasów. - Bo są żelazne. Ciekawa rzecz... Wszystkie w tym domu są żelazne? Rozejrzeli się. Inne drzwi były zwyczajne, drewniane, wyróżniały się tylko drzwi pana Wolskiego. - Wiedziałam, że trzeba wziąć Chabra - powiedziała Janeczka z ciężkim rozgoryczeniem. - Powiedziałyby nam, czy on jest w domu, czy wyszedł. Teraz nie wiem, co zrobić, bo tak zwyczajnie powiedzieć mu, o co go podejrzewamy, to chyba nie będzie dobrze. - A pewnie. Wyprze się.

- I za skarby świata nie pokaże nam parasola...

A gdyby już go nie było. Chaber poprowadziłby za nim.

- Chyba że czymś pojechał...

Wahali się jeszcze przez chwilę. Janeczka nagle zaczęła pilnie słuchać, a potem przyłożyła ucho do żelaznych drzwi. - Coś słyhać - zakomunikowała. - Zdaje się, że gra radio. - Znaczą, on jest?

- Nic nie znaczą, mógł zostawić radio, żeby wszyscy myśleli, że jest. Mam pomysł. - No?

- Zapukamy i powiemy, że szukamy pani Wiśniewskiej. Zapomnieliśmy, na której ulicy mieszka z tych wszystkich na O, ale wiemy, że na O. Tu, na Mokotowie. I wiemy, że mieszkania pięć, więc sprawdzamy po kolei. Jakaś pani Wiśniewska musi gdzieś mieszkać, Wiśniewskich jest zatrudnienie. Pawełek kiwnął głową i uniósł rękę, żeby zadzwonić, ale powstrzymał się. - Po co nam ta pani Wiśniewska?

- Wszystko jedno. Po byle co.

- Wcale nie wszystko jedno, na wszelki wypadek lepiej uzgodnić. - No dobrze. No więc... Książki na przykład. Ze szkolnej biblioteki. Mamy od niej odebrać, dali nam adres, ale zgubiliśmy kartkę i nie chcemy się przyznać, więc szukamy na oko. Pawełek ponownie kiwnął głową i przytknął palec do dzwonka. Z wnętrza dobiegł terkot i nie przebrzmiał jeszcze, kiedy drzwi uchyliły się nagle. Wystawił przez nie głowę pan z siwą czupryną. Stało się to tak nieoczekiwanie, że Pawełek nawet nie zdążył cofnąć palca. Zupełnie jakby pan Wolski czatował pode drzwiami. Janeczka nie straciła przytomności umysłu.

- Dzień dobry - powiedziała grzecznie i dygnęła. - Przepraszam bardzo, czy tu może mieszka pani Wiśniewska? - Nie - odparł uprzejmie pan. - Ja tu mieszkam i z

pewnością nie jestem panią Wiśniewską. Nie przeczytaliście listy lokatorów? - Przeczytaliśmy. Ale pani Wiśniewska może być czyjaś siostrą, albo wynajmować pokój u kogoś innego, albo co. I na liście lokatorów może jej nie być. Więc to pomyłka i takich pomyłek popełnimy pewnie więcej, bo jesteśmy do tego zmuszeni. Pan Wolski patrzył jakoś tak, że Janeczka w głębi duszy podziękowała opatrznosci za ścisłość Pawełka. Miał chyba jakieś tajemnicze przeczucie, kiedy domagał się ustalenia przyczyny wizyty u pani Wiśniewskiej. Zostawić sprawę bez dokładnego wyjaśnienia w żadnym wypadku nie należało! Nie czekając na pytania, wygłosiła całą zaplanowaną opowieść o książkach, zgubionym adresie i ulicach na O. Pan Wolski słuchał cierpliwie i z wielką uwagą. -Rozumiem. Za pierwszym razem trafiliście źle. Życzę wam powodzenia za następnym. -Dziękujemy bardzo... Trzymał uchylone drzwi i patrzył cały czas, kiedy schodzili ze schodów. Robiło to wrażenie, jakby chciał się upewnić, że naprawdę opuszczają budynek i nie zaczną na przykład dzwonić do innych lokatorów. -Na oko pasuje - zaopiniował Pawełek już na dole. - Siwy, ale na chodzie, tak Bartek mówił. Wysoki, nie gruby, ale w sobie. Nie chudy i nie zramolały. - Jeżeli chce, żeby go napadały jakieś bandziory, powinien udawać zramolałego - stwierdziła Janeczka. - Nie udaje, więc też myślę, że coś tu nie gra. No dobrze, musimy poczekać, może wyjdzie z domu z tym parasolem i zobaczymy, co zrobi. - Najpierw sprawdzmy, czy przypadkiem nie ma drugiego wyjścia... Drugie wyjście istniało. Prowadziło na coś w rodzaju podwórza, z którego przez rozmaite zakamarki i następny budynek można było wydostać się na ulicę Raławicką. Musieli się rozdzielić. Miejsc do czekania było mnóstwo, nawet dość atrakcyjnych, z jednej strony bowiem prosperował warsztat samochodowy, z drugiej zaplecze miał samochodowy elektryk i widoczne były tyły pawilonów handlowych, przy których ciągle coś się działo. Godzina warty przeleciała, zanim się zdążyli obejrzeć. Jednym okiem wpatrzony w drzwi budynku, a drugim w odczepianego od holowniczego wózka nieprawdopodobnie pogniecionego fiata, Pawełek ujrzał nagle siostrę, która wzywała go gwałtownym machaniem. Porzucił fiata i przebiegł na drugą stronę. Janeczka już przeleciała przez jakieś skrzynki i przeciskała się obok stosu pustych opakowań. Podażył za nią. - Dachował chyba, bo inaczej musiałyby go deptać stado słoni - zauważył mimo woli i wreszcie oderwał się od widoków z warsztatu. - Tędy przelezi? - spytał z niedowierzaniem. - Przecież na Raławicką jest wygodniej! - A jednak tędy! - odparła Janeczka, nie kryjąc przejęcia. - I to jak! Niby szedł do Raławickiej, a potem nagle skręcił i siup! Oczom nie wierzyłam i poleciałam po ciebie, i teraz widzę, że źle zrobiłam. - Bo co? Gdzie on w ogóle jest? - No właśnie widzisz, że go nie ma. Przeleził tu, to pewne. Powinam była przynajmniej popatrzeć, w którą stronę pójdzie, bo teraz wyglądamy jak takie głupie balony. Nie widzę go nigdzie. A ty? - Ja też nie. Może wlaźł do sklepu? - Ty sprawdź sklep, a ja będę patrzyła na ulicę. Pan Wolski jednakże nie dał się odnaleźć. Znikł kompletnie, w żadnym z najbliższych pawilonów handlowych nie było po nim najmniejszego śladu, na ulicy również się nie pojawił. Wyszedł z domu i rozwiął się w powietrzu, przelazszy przedtem przez skrzynki, śmietnik i dach niskiej szopy, bo innej drogi na Puławską nie było. Żaden normalny dorosły człowiek nie wybrałby sobie takiej trasy. - Może on jest trochę sfiksowany? - uczynił niespokojne przypuszczenie Pawełek. - Nawet sfiksowany fruwać chyba nie potrafi - odparła gniewnie Janeczka. - Wiedziałam, że bez Chabra wyjdziemy na półgłówków! Mamy zły dzień. - Ale widziałas go dokładnie? - No pewnie! Był przyzwoicie ubrany i miał ten parasol. Śmieci żadnych nie wyrzucał i nie wrócił do domu. Nie zdążyłby. Zostawiłam go, jak wlaźł na szopę, i poleciałam po ciebie, i przyleciałam natychmiast z powrotem, więc gdyby wracał, akurat bym go spotkała. Nic z tego na razie nie rozumiem i niech on nie myśli, że tak to zostawię. Dopiero teraz on mnie zaczął ciekawić porządnie! - Fakt. Mnie też. To co robimy? - Nic. Nie będziemy czekać, aż wróci, bo może wrócić o północy. Chaber go jeszcze nie zna. Niech pomyślę... Jaka szkoda, że mu czegoś nie ukradłam! Głęboki żal Janeczki wydał się Pawełkowi nieco dziwny. Kradzież, jak dotąd, nie wchodziła w zakres ich działań. - Bo co? - spytał ostrożnie. - I co mu chciałaś ukraść? - Cokolwiek. Chustkę do nosa. Kapelusz. Rękawiczkę...

-Aaa... rozumiem. Dla Chabra?

- No właśnie. Jeszcze teraz by go wywęszył. No trudno, z psem będziemy czatować od jutra, bo nie popuszczę, mowy nie ma, a teraz wracamy do domu. Jakaś taką drogą, żeby było przez samochody... Nie, czekaj! Ja chcę coś sprawdzić! Nie odpowiadając na żadne pytania, energicznym krokiem Janeczka udała się z powrotem na ulicę Olkuską. Popatrzyła z dołu na budynek. - Drzwi były od tej strony - przerwała bratu pełne irytacji komentarze. - Jak myślisz, które okna są jego? Pawełek zamilkł, bo zaczęło mu świtać. Przyjrzał się z uwagą. - Schody są tu... - pomamrotał. - Drzwi były zaraz na lewo, drugie prosto, a trzecie na prawo... Nie wiem, jakie one są, te mieszkania, ale jego okno musi być blisko schodów. To albo to... -No to przecież w nich się świeci!

-Może nie mieszka sam...?

- Idziemy! - zarządziła Janeczka stanowczo. Ponownie weszli na pierwsze piętro i posłuchali pod żelaznymi drzwiami. Muzyka dobiegała odrobinę głośniejsze. Popatrzyli na siebie.

- Ryzyk-fizyk - powiedział Pawełek z determinacją i przycisnął dzwonek. - W razie czego będziemy pytać, czy ta pani Wiśniewska nie mieszkała tu w zeszłym roku... Pani Wiśniewska okazała się niepotrzebna, bo na terkot dzwonka nikt nie zareagował i drzwi pozostały zamknięte. Janeczka pokiwała głową z ogromną satysfakcją. - Tak mi się właśnie wydawało - rzekła, schodząc na dół. - Nic nie chciałam mówić, bo to mogło być głupie, ale jakoś mnie tknęło. W oknie światło, radio gra, on udaje, że jest w domu. Nikt nie widział, żeby wychodził ani na Olkuską, ani na Racławicką, a nikomu nie przyjdzie do głowy, że przełazi przez skrzynki i po szopie. Coś w tym musi być. - Alibi - zaopiniował bezapelacyjnie Pawełek. - Poszedł popełnić przestępstwo i załatwił sobie alibi. - Możliwe. Ale ja chcę wiedzieć, czy on mieszka sam, czy z kimś. Bo może ma żonę i ta żona akurat się kąpie, więc ma w nosie dzwonek do drzwi. Postanowiła sobie, że nie otworzy i do widzenia. Albo sparaliżowana matka-staruszka, siedzi na wózku inwalidzkim i słucha radia, albo patrzy w telewizor, bo w ogóle jest głucha... - Musiałyby mieć dwieście lat - przerwał z niesmakiem Pawełek. - Owszem, warto by się tego dowiedzieć, ale nie wiem jak. Popytać innych lokatorów?

-Może tak, ale...

W tym momencie zlitowała się nad nimi miłosierna opatrność. Z budynku, na który patrzyli, stojąc po przeciwnej stronie ulicy, wybiegła nagle dziewczynka z pieskiem. Był to szczeniak, mały dog. Janeczka nie zastanawiała się ani sekundy, zostawiła brata i przebiegła przez jezdnię. - Jaki śliczny! - zawołała ze szczerym zachwytem. - Pozwól mi go pogłaskać! Ja też mam psa! To szczeniak, on będzie strasznie wielki! - No pewnie, że będzie wielki - przyświadczyła dziewczynka dumnie. - Teraz ma dopiero trzy miesiące i tydzień. Możesz go pogłaskać, on się lubi bawić. Obie przykucnęły obok szczeniaka.

- Jak mu na imię? - spytała Janeczka, pozwalając obgryzać swoją rękawiczkę. - Pysio. Zobacz, jakie ma śliczne pysio!

- Do takiego wielkiego psa trzeba mieć bardzo duże mieszkanie. Tutaj mieszkanie, w tym domu? Myślałam, że tu nie ma dużych mieszkań? - Są - zapewniła dziewczynka. - Są albo bardzo duże, albo bardzo małe. My mamy trzy pokoje, a nasz sąsiad tylko jeden... Błogość, którą spłynęła na duszę Janeczki, silnie kontrastowała z uczuciami Pawełka. Na wszelki wypadek pozostał po drugiej stronie ulicy, nie chcąc przeszkadzać w zawarciu znajomości i wzajemnym porozumieniu osób tej samej płci, i teraz niecierpliwość aż go skręcała. Z pogawędki dziewczynek nie słyszał ani słowa, chociaż warsztat za jego plecami był już zamknięty i nie hałasował. O czym one mogły głądzić tyle czasu...?! - Rany kota, myślałem, że do jutra z nią nie skończysz! - wykrzyknął z irytacją, kiedy siostra znalazła się wreszcie obok. - No i co?! - Wiem wszystko! - odparła Janeczka z triumfem. - Akurat zaczęło mi się myśleć, że byle jak rozmawiać nie można i że nie ma takiego domu, gdzie by nie było chociaż jednego psa! I wtedy ona wyszła, to prawie cud! To mieszkanie naprzeciwko to jest właśnie ich, ona zna pana Wolskiego. Mieszka sam! Ma jeden pokój z łazienką i z bardzo małą kuchnią i często nie otwiera drzwi, nawet jeśli jest w domu... - Jest w domu! - prychnął Pawełek. - Akurat!

- Toteż właśnie. Podobno pracuje naukowo, coś tam pisze i nie pozwala sobie przeszkadzać; wszyscy sąsiedzi już się do tego przyzwyczaili. Uważają, że to zwyczajny emeryt, który sobie dorabia tą naukową pracą. W razie czego pewnie by przysięgli, że teraz właśnie jest w domu. Uważają, że w ogóle jest słabego zdrowia... -I razem ze swoim słabym zdrowiem naukowo przelazł przez szepę - wtrącił szyderczo Pawełek.

-Może na przykład nie otwierać, bo leży w łóżku - kontynuowała Janeczka. - I potem bardzo przeprasza i pyta, czego od niego chcieli. - A skąd wie, kto do tych drzwi dzwonił?

- Ona nie wie, ale on wie. Ja myślę, że ma kamerę. Pawełek aż się zatrzymał.

- Gdzie ma kamerę? W drzwiach? Ty wiesz, że to jest myśl...?! Niby wizjer, a naprawdę kamera i potem tylko patrzy, kto mu sterczał za drzwiami... O, niech ja kichnę, to i nas zobaczy...? - Zobaczy. Też mi to przyszło do głowy. I od razu pomyślałam, że trzeba go będzie zmacić, no, skołować, dyplomatycznie i przy okazji, bo przecież nie przyjdziemy specjalnie, żeby się przyznać, że zgadliśmy kamerę i tłumaczymy, po co byliśmy drugi raz. Nie stój jak słup, możemy się zastanawiać idąc! Pawełek ruszył z miejsca.

- I powiemy, że po co byliśmy?

- Jeszcze nie wiem, ale może coś mi przyjdzie do głowy.

- Ale jak on ma rzeczywiście kamerę, to ty masz pojęcie...? Ja tu węższą coś dużego. Albo pomyłony, albo odwała jakąś robotę, taką trochę tego... I kto wie, czy jednak, mimo wszystko, nie idzie mu o tych napadających bandziorów... Kiedy dotarli do domu, matki jeszcze nie było.

Czekał za to na nich ogromnie zdenerwowany Chaber.

- Co się stało, piesku? - spytała z niepokojem Janeczka, bezbłędnie rozszyfrowująca każde zachowanie psa. - Coś tu było złego? Pokaż, co się tu działo? Chaber pokazał. Rodzeństwo popatrzyło na siebie niemal ze zgrozą. - Jeżeli pies warczy pod bramą, to porządny człowiek tam nie stał - zawyrokował Pawełek ponuro. - Jakiś bandyta zaglądał, albo co. - I coś robił - uzupełniła głęboko zatroskana Janeczka. - Samo stanie to za mało. Próbował się włamać? W biały dzień?! -Nie bardzo on biały o tej porze...

-I nikogo w domu nie było?! Przecież by poleciał powiedzieć! -Mogło nie być. Chyba że babcia... Natychmiast przesłuchana i przyciśnięta do muru babcia przyznała się, że owszem. Oglądała telewizję u siebie na górze i nie od razu usłyszała drapiącego psa. Musiał szczeknąć, żeby zeszła, a sam sobie nie mógł otworzyć, bo zamknęła na klucz. Jeżeli zostaje sama w domu, nie lubi mieć otwartych wyjściowych drzwi. Nikogo innego rzeczywiście nie było, dopiero przed kwadransem zaczęli wracać. - I co powiedział, jak go wpuściłaś? - spytała surowo Janeczka. - Chciał, żebym wyszła i poprowadził mnie do bramy - odparła zakłopotana babcia. - Nie od razu, bo musiałam założyć buty. Nie wiem, co miał na myśli, bo przy bramie nic się nie działo i nikogo nie było, a furtka była normalnie zamknięta. - Spóźniłaś się - stwierdził z naganą Pawełek. - Trzeba było chociaż oknem wyjrzeć! - Możliwe, ale ja nie wiedziałam, że trzeba. Najpierw zeszłam do psa. Czy coś się stało? Babci nie należało niepotrzebnie denerwować, bo wynikały z tego wyłącznie dodatkowe kłopoty. Zapewnili ją, że nie stało się nic. Chaber wywęszył tylko jakiegoś podejrzanego osobnika, który zaglądał do ogrodu. Przestraszył się zapewne psa, bo poszedł sobie i już go nie ma. Zostawili skruszoną i trochę niespokojną babcie i zeszli do ogrodu. - Wcale mi się to nie podoba - mruknął Pawełek, przyglądając się bramie. - Co on tu mógł kombinować...? Zanim Janeczka zdążyła sprecyzować swoją opinię, nadjechała matka. W milczeniu przyglądali się, jak grzebie kluczem w nowym staroświeckim zamku. Wychodziło jej to zdecydowanie źle. - Dzieci, co to jest? - powiedziała z lekką irytacją. - Co wyście mi tu założyli? Wczoraj się otwierało i zamykało doskonale, dziś rano też, a teraz klucz nie pasuje! Pawełka tknęło okropne przecucie. Wybiegł przez furtkę i wyjął matce klucz z rąk. Zaledwie spróbował wepchnąć go w zamek, zrozumiał od razu. Pomacał palcem, poświecił latarką elektryczną, zajrzał i wyprostował się. - Cristal cement - oznajmił złowieszczo.

- To co to znaczy? - spytała bezradnie pani Krystyna.

Janeczka wiedziała, co to znaczy. Z miejsca pojęła wszystko. - To znaczy, że

złodzieje czają się na twój samochód - zawiadomiła sucho. - Niepotrzebnie

kupiłaś volkswagena, już chyba Rolls-Royce byłby lepszy. Zapchali dziurkę od klucza, żebyś nie mogła otworzyć i wjechać do środka. I już czekają na okazję. Pawełek przyświadczał w milczeniu, energicznie kiwając głową przy każdym słowie siostry. Pani Krystyna z niedowierzaniem patrzyła na swoje dzieci. Nic nie wiedziała o ich ostatnich doświadczeniach i tak błyskawicznie wyciągnięte wnioski wydały jej się trochę przesadzone. - A nie mógł to być głupi dowcip jakiegoś młodego chuligana? - spytała niepewnie. - Chaber mówi, że tu stał prawdziwy złoczyńca - odparła Janeczka zimnym głosem. Pani Krystyna ugięła się od razu. Poglądy psa były nie do podważenia. - To co zrobić? Nie da się tego jakoś naprawić?

- W żadnym razie - odezwał się Pawełek. - Zmienić zamek i nie ma siły. Cristal cement znam osobiście. - No więc co?

-Za... - zaczął Pawełek } umilkł. Uświadomił sobie, że całego wspaniałego wachlarza pojawiających się przed nimi możliwości matce przedstawiać nie może. Złodzieje przygotowali sobie teren, zamierzają ukraść ich samochód, należy zacząć się, złapać ich, zrobić im coś złego... Sami może nie dadzą rady, ale w domu będzie Rafał, który z pewnością chętnie się włączy, jest wujek Andrzej, również zainteresowany sprawą... Istnieje, poza tym, policja, która może zechce skorzystać z wyjątkowego udogodnienia... A zdenerwowana i przestraszona matka uprze się zapewne odjechać na jakiś strzeżony parking i okazja się wścieknie... Janeczka zdążyła pomyśleć dokładnie to samo.

-Zastanówmy się - zaproponowała gładko. - Trzeba go zabezpieczyć tylko na jedną noc, bo jutro Pawełek zamieni zamek na inny. Może odkręcić koła? - Wezmą na TIR-a - mruknął Pawełek.

-Bez kół...?!

- No, w każdym razie przyjadą... W tym momencie nadjechał Rafał. Wyskoczył ze swojego malucha i podszedł do grupy rodzinnej przy bramie, od razu zaciekawiony.

-Co tak stoicie? Coś się stało?

Pani Krystyna poczuła ulgę, że w debacie weźmie udział ktoś nieco starszy. Pomysłami swoich dzieci była z góry nie tylko zaniepokojona, ale wręcz przerażona. Zamierzała właśnie wezwać męża swojej szwagierki, który z pewnością znajdował się w domu, bo jego samochód stał przed nimi. Rafał wysłuchał krótkiej relacji, zrozumiał wszystko i zawahał się. - No owszem, koła może niekoniecznie, ale odłączyć akumulator. Albo zabrać do domu palec rozdzielacza. O samodzielnym odjeździe nie ma mowy, natomiast ta heca z TIR-em jest możliwa. Popilnować...? Dobra myśl, z tym że ja bym nawiązał kontakt z glinami. I to zaraz, zobaczymy, co nam proponują. Przypomnienie policji podniosło panią Krystynę na duchu. Stała cały czas w eleganckich pantofelkach w błocie obok samochodu i zaczęło jej być zimno w nogi. Pomyślała o strzeżonym parkingu. - Rafał, pojedziesz ze mną, dobrze? Odstawię go na parking strzeżony. Gdzie jest najbliższy? - Ze strzeżonego parkingu też się zdarza, że kradną - odparł Rafał beztrąsko. - Nie, ja bym uważał, że lepiej ich zniechęcić. A może i złapać się uda. Kto dzwoni na policję? Pani Krystyna poddała się.

- No, nie dzieci przecież. Ktoś dorosły powinien...

Przez furtkę wyszedł wujek Andrzej.

- Babci kazano podobno wyglądać przez okno

- oznajmił. - Wygląda zatem i w wyniku wyglądanania poleciła mi przyjść tu i spytać, co się dzieje. Jest to, jak by nie było, moja teściowa, której wolę być posłuszny. Dlaczego stoicie na ulicy, zamiast wejść do domu? Z kolei wujek Andrzej został powiadomiony o całej sprawie. Wujek Andrzej wierzył psu tak samo jak cała rodzina i potraktował rzecz poważnie. Poświecił do wielkiej dziury od klucza, obejrzał gładko połyskujące wnętrze, rozpoznał cristal cement nie gorzej niż Pawełek i potwierdził wszystkie wnioski. - A już zamierzałem uporządkować mojego fiata i też wstawić do garażu - rzekł z żalem. - No nic, załatwimy ten interes i zrealizuję zamiar. Do policji, w każdym razie, zadzwonić trzeba. Pani Krystyna nagle jakby oprzytomniała.

- Przede wszystkim wejdźmy do domu - zarządziła. - Mnie jest zimno, mam pod paltem wieczorowy strój bez rękawów. Tu popilnuje pies. Janeczka zaprotestowała z dziką energią.

- Jest zima! Ile on może w końcu wytrzymać, przecież się zaziębi! Cały dzień w ogrodzie, on też się musi ogrzać! Chaber przybiegł właśnie z jakiegoś odległego kąta. Nie wyglądał na zmarzniętego, był wyraźnie ożywiony i zadowolony z życia. Pani Krystyna weszła do ogrodu, zawołała go i pogłaskała jego grzbiet.

- Nic mu nie będzie, ma zimową sierść. Palec rozdzielacza możecie wyjąć, tylko niech mi go potem ktoś założy. Babcia zostanie w oknie, a my odbędziemy naradę.

- Tylko jeszcze ustawmy te pudła ciasniej - zaproponował Rafał. - Żeby nie było zbyt łatwo podjechać TIR-em... Trzy samochody zostały ustawione jeden za drugim, zderzak przy zderzaku, w odległości dwóch centymetrów. Wyjazd umieszczono w środku volkswagena był w ogóle niemożliwy. Cała rodzina zgromadziła się w kuchni, gapiąc się przez otwarte drzwi na wujka Andrzeja, który podniósł słuchawkę telefonu w holu. O pytaniach, które mu zadawano, można było wnioskować z odpowiedzi. - Panie poruczniku, jestem dorosłym człowiekiem z wykształceniem technicznym i cristal cement w dziurce od klucza oglądałem na własne oczy - mówił nieco zdenerwowany wujek Andrzej. - Oczywiście, że może to być sprawa złośliwego chłopaka, ale przed domem został Volkswagen Golf i wszyscy wiemy, co o tym myśleć. Nie, nie mogę pana zapewnić, ale istnieje wielkie prawdopodobieństwo... Tak się składa, że ostatnio kilka osób z rodziny było świadkami... Tak, ktoś widział to zapychanie, świadek ze wszech miar wiarygodny... Niestety, nie przez telefon. Tylko osobiście... A może ta stosunkowo niewielka strata czasu opłaci się panom... Dziękuję bardzo, czekamy... Odłożył słuchawkę i popatrzył na swoich powinowatych.

- Koniecznie chciał rozmawiać z Chabrem - rzekł wzdychając. - Słyszeliście. Przyślą tu kogoś na wszelki wypadek... Porucznikowi trzeba było uwierzyć na słowo, że jest porucznikiem, przyszedł bowiem po cywilnemu. Zadzwoił do furtki już w dwadzieścia minut po rozmowie z wujkiem Andrzejem. Chaber uznał go za człowieka przyzwoitego, cała rodzina zatem odniosła się do niego przyjaźnie i z pełnym zaufaniem. - Możliwe, że jest to tak zwany fałszywy alarm - powiedział wujek Andrzej na zakończenie złożonej przez trzy osoby relacji. - Ale to już panowie muszą sami ocenić, czy warto poświęcać wasz czas i siły dla niepewnej sprawy. Jeśli nie, spróbujemy zabezpieczyć się we własnym zakresie i nikt z nas nie może odpowiadać za skutki. Porucznik wszystkiego wysłuchał w milczeniu i odezwał się dopiero teraz. - Dla mnie warto - rzekł spokojnie. - Nie jesteśmy dziećmi i możemy sobie powiedzieć... Urwał nagle, uświadamiając sobie, że przy stole siedzi dwoje dzieci. Nieco stropiony, popatrzył na Janeczkę i Pawełka. Przyglądali mu się wyczekująco zimnym wzrokiem, z twarzami bez wyrazu. Pani Krystynie zrobiło się gorąco. Wiedziała doskonale, że powinna odsunąć dzieci od tej narady dorosłych, ale wydawało jej się to równie bezsensowne, jak niesprawiedliwe. To oni przecież zadbali o zabezpieczenie samochodu i pierwsi ostrzegli przed kradzieżą, poza tym, odsunięci, z pewnością będą spokojnie podsłuchiwać za drzwiami, albo wszystko powtórzy im Rafał... - Moje dzieci są zorientowane w sytuacji - powiedziała słabym głosem. - Razem z psem wiedzą więcej niż cała reszta rodziny. Wszystkich troje należy potraktować poważnie... Porucznikowi ta wypowiedź wydała się trochę dziwna, ale przestał się wahać. - Możemy sobie powiedzieć prawdę w oczy - podjął z determinacją. - Krażą różne plotki, niektóre może nawet uzasadnione, jakoby policja czasem nawet współdziałała ze złodziejami. Bierzymy łapówki i bez mała sami organizujemy te afery. Otóż ja mam tego dosyć. Moim zadaniem jest walka z przestępczością w tej dziedzinie, łapówek nie biorę i niczego nie kradnę. Zamierzam ukrócić proceder i wykorzystam każdą okazję i każdą możliwość. Być może stracę tutaj czas, ale pułapkę już zastawiłem. Na wszelki wypadek. Z góry przyjmuję, że to może potrwać, bo złodzieje ruszą do akcji nie dziś, a na przykład jutro, albo pojutrze... Pawełek prychnął wzgardliwie i porucznik przerwał. Popatrzył na niego pytająco. Pawełek poczuł się zmuszony złożyć wyjaśnienie. - Jutro mogą się wypchać - mruknął. - O piątej po południu będzie tu nowy zamek i matka wjedzie do garażu. - Jeszcze pytanie, czy oni o tym wiedzą...

- No przecież chyba nie uważają nas za półgłówków? Powinni zgadnąć, że myśmy zgadli! - W porządku - zgodził się porucznik. - Istnieje zatem prawdopodobieństwo, że liczą się ze zmianą zamka i spróbują ukraść samochód jeszcze dziś. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby udało mi się ich zidentyfikować. - A nie łapać? - zdziwił się Rafał z nagana, - Uderza pan w naszą bolączkę -

odpowiedział mu porucznik z wyraźnym rozgoryczeniem. - Na czym złapać? Zamierzamy uniemożliwić kradzież. Złodzieje potem powiedzą, że chcieli ten samochód tylko obejrzeć. Tak jak z uporem twierdzą, że wcale nie mieli zamiaru niczego ukraść, tylko ogarnęła ich nieprzeparata chęć przejażdżki. Łapiemy ich, oczywiście, i zaraz potem są zwalniani... - Luki w kodeksie karnym? - zainteresował się wujek Andrzej. - W tym miejscu wielka dziura, nie tylko luka. Postanowiłem zatem pójść drogą może dłuższą, ale za to pewniejszą. Zdobyć całą dokumentację, ile razy bowiem te same osoby mogą opowiadać bzdety o przejażdżkach? Muszę udowodnić uporczywość czynów i mam nadzieję, że zdoła to w końcu zmienić kwalifikację. Może wybrałem się z motyką na słońce, może zaczynamy walczyć z wiatrakami, ale powiem państwu, że mnie to naprawdę zdenerwowało. Uparłem się osiągnąć jakiś rezultat Janeczka uniosła nagle głowę znad zwiniętych pięści.

- I bardzo dobrze - pochwaliła uroczyście. -- Pomożemy panu. - Niewykluczone, że już mi pomogliście. Ta pułapka tutaj... - Co za pułapka? - przerwał nieufnie Pawełek. - Pan sam jeden, to ma być pułapka? Nikogo więcej nie widzę. - Pułapka ma to do siebie, że nie może jej być widać - pouczył porucznik. - Ja sam jeden przyszedłem porozmawiać i dowiedzieć się szczegółów, a reszta czeka w ukryciu. Przy okazji, proszę o pozwolenie wykorzystania ogrodu państwa. Pani Krystyna uczyniła ręką gest, który oddawał mu do dyspozycji nie tylko ogród, ale cały dom razem ze strychem i piwnicami. Porucznik podziękował z lekkim roztargnieniem. Wzrok skierował na Chabra.

- Gdybym miał pewność, że ten pies jest rzeczywiście wytresowany... - zaczął. Janeczka wyprostowała się, obrażona prawie śmiertelnie.

- On nie jest wytresowany - skorygowała potępiająco i z ciężką urazą. - On jest po prostu nadludzko mądry i wszystko umie sam z siebie. O panu powiedział, że jest pan porządnym człowiekiem i tylko dlatego rozmawiamy z panem jak ludzie! - Janeczko... -jęknęła pani Krystyna.

- Interesujące - powiedział porucznik, nie tracąc spokoju. - Sam też usiłuję uważać się za porządnego człowieka, więc jestem skłonny uwierzyć w nadludzka mądrość psa. Może mógłby pomóc? Pełne wyższości prychnięcie wydarło się równocześnie z ust Janeczki i Pawełka. Porucznik zainteresował się wyraźniej. - Z jakiej odległości wywęszy wroga i jak go nastawić na tego wroga? - spytał rzeczowo. - Nastawiać go wcale nie trzeba - odparła Janeczka stanowczo. - To przecież on powiedział wszystko o tym zapchaniu dziurki od klucza w bramie. A odległość nie ma znaczenia, bez węszenia będzie wiedział i zawiadomi. Ale chcemy być przy tym. - Nie możecie być przy tym. To może potrwać całą noc.

-No to co? - spytał wyzywająco Pawełek.

- Szkoła - mruknęła ostrzegawczo pani Krystyna.

- liiiiiii...

- Spóźnimy się z powodu spraw rodzinnych - załatwiła Janeczka.

- Nie zgadzam się! - zaprotestował porucznik. - To nie są rzeczy dla dzieci! Milczenie całej rodziny zdziwiło go niezmiernie. Ze strony osób dorosłych oczekiwał poparcia, nikt na ogół nie pozwala dzieciom mieszać się w afery kryminalne. Ta rodzina tutaj zachowywała się jakoś dziwnie, milczała, ale było to milczenie pełne satysfakcji i nadziei. Odezwała się wreszcie ciotka Monika, siedząca razem z dziadkiem przy stoliku pod ścianą. - Może wreszcie władza wykonawcza będzie miała na nich jakiś wpływ - powiedziała smętnie. - Te dzieci robią rzeczy, od których włos siwieje. Powiedzmy to wyraźnie, bo na co nam podejrzane niedomówienia. Nawet gdyby pan ich związał i zamknął na wieży, też wyjdą. A pies im pomoże. Więc niech pan robi, jak pan uważa, ale mnie się wydaje, że lepiej mieć ich na oku. - A jeśli pan chce psa, to z nim się najlepiej dogada moja córka - dodała pani Krystyna z ciężkim westchnieniem. Porucznik zdziwił się bardziej. Dzieci siedziały jak wykute z kamienia i patrzyły na niego nieustępliwym wzrokiem.

-No dobrze... - powiedział, całkowicie wbrew woli. - A ten pies bez tresury...?

- Co do psa, zaraz wyjaśnię - wtrąciła się pani Krystyna, wzdychając ponownie. - Ma fenomenalny węch i niezwykle wycucie ludzkich emocji. Odróżnia przyzwoitych ludzi od przestępców. Jedno, czego został nauczony, czy może sam się nauczył, to informowanie państwa o wszystkim, z czym się zetknął. Robi to z własnej inicjatywy, szczególnie jeśli przedtem dostał jakieś polecenie, pilnował czegoś,



albo coś w tym rodzaju. Przybiega, zawiadamia, że coś się dzieje i prowadzi na właściwe miejsce. Trwa to już przeszło dwa lata. Moje dzieci potrafią go zrozumieć tak, jakby wszyscy razem mówili jednym językiem. Czego pan chce od psa? Ma coś zrobić? Moja córka mu to wyjaśni. Porucznik zdołał przemyśleć sprawę i podjął decyzję.

- W porządku - powiedział. - Nasze dwa wozy znajdują się dość blisko, ukryte w sposób najprostszy na świecie. Stoją pomiędzy innymi zaparkowanymi samochodami, nie wyróżniają się niczym i mają łatwość wyjazdu. Ludzi w nich nie widać. Dwóch funkcjonariuszy chciałbym ulokować w ogrodzie tak, żeby mogli szybko wybiec we właściwej chwili... - Przez dziurę - zaproponował słuchający uważnie Pawełek. - Przez jaką dziurę? - spytali równocześnie porucznik, pani Krystyna i wujek Andrzej. - W ogrodzeniu. Jest dziura w ogrodzeniu jeszcze od tamtych czasów, kiedy przychodzili do nas fałszerze znaczków. Chaber ją znalazł. Wcale jej nie widać, a wychodzi na tamtą drugą ulicę, za rogiem. Przelecieć i gotowe. - I to nawet lepiej, bo ci złodzieje wcale nie będą się tego spodziewać - włączyła się Janeczka. - Nikt nie wyjdzie przez bramę ani przez furtkę, tylko pojawi się nagle na ulicy, więc będą zaskoczeni. - Bardzo dobry pomysł - pochwalił porucznik. - Gdzie ta dziura? Chcę ją zobaczyć. Inne szczegóły pułapki nie zostały sprecyzowane. Janeczka i Pawełek porzucili zgromadzenie rodzinne i razem z porucznikiem popędzili do ogrodu. Dziura w siatce i żywopłocie okazała się nieco zarośnięta, ale osłaniające ją gałęzie można było rozchylić i przepchnąć się na drugą stronę węzowym ruchem i na czworakach. Dorosłemu człowiekowi było w niej trochę ciasno. - Zostawi pan w ogrodzie takich chudszych - poleciła porucznikowi Janeczka. - Wyjdą bez kłopotu. A w ogóle po co pan ich tam zostawia? - Żeby wziąć przestępców w dwa ognie. Muszą być blisko i niewidoczni. Inni będą dalej. Dadzą znać, jak się ktoś pokaże. - Chaber - mruknął Pawełek. - No pewnie - przyświadczyła Janeczka. -

Nasz pies wszystko będzie wiedział najwcześniej. Przyleci i powie. Może także zawiadomić tych innych pańskich ludzi. - A trafi do nich?

Janeczka wzruszyła ramionami i popatrzyła na niego z politowaniem, widocznym nawet w ciemnościach. Pawełek lekceważącym tonem zgłosił propozycję. - Mówił pan, że gdzieś tam przed domami stoją wasze samochody i w każdym siedzą ludzie. Bez żadnego zagląдания zaraz panu powiemy, które to samochody. Chce pan? - A proszę, chętnie zobaczę.

- Chaber! - zawołała Janeczka półgłosem. Z ciemności, rozjaśnionych nieco tylko lampą nad drzwiami wyjściowymi po drugiej stronie budynku, wyłonił się nagle pies, przedtem kompletnie niewidoczny. Radośnie skoczył ku swojej pani. - Chodź, pieseczku - powiedziała pani. - Będziemy robili głupi eksperyment. Wyszli na ulicę normalnie, przez furtkę. Janeczka pochyliła się nad Chabrem i coś mu szeptała do ucha. Porucznik przyglądał się temu z wielkim zainteresowaniem. Pies odbiegł i bez pośpiechu podążył wzdłuż ulicy, pomiędzy zaparkowanymi samochodami. Przy jednym zatrzymał się nagle, cofnął, wystawił zwierzynę, przybierając na moment charakterystyczną postawę psa myśliwskiego, z wyciągniętym pyskiem i uniesioną jedną przednią łapą, obejrzał się na panią i pobiegł dalej. - Jeden już jest - powiedział spokojnie Pawełek. - Ten zielony polonez. Pies dobiegł do skrzyżowania, zawrócił i popędził w przeciwną stronę. Na drugim skrzyżowaniu skręcił. Wszyscy troje poszli w tym samym kierunku, zatrzymali się na rogu, skąd widzieli dalszy ciąg ulic we wszystkie strony. Pies zatrzymał się przy trzecim kolejnym samochodzie, znów wystawił zwierzynę, znów obejrzał się na panią i przysiadł wyczekująco. - Wracaj! - zawołała Janeczka i poklepała się po nodze. Pies podniósł się i przybiegł natychmiast. Porucznik ochłonał z wrażenia.

-- Fantastyczne! - wykrzyknął z zachwytem. - Wiecie, przyznam się wam, że nie wierzyłem. To jest zdumiewający pies! - To w ogóle nie pies - poprawiła go Janeczka, bliska pęknięcia z dumy. - To jest bóstwo, brylant i czyste złoto, a nie pies. Ma więcej rozumu niż wszyscy ludzie na świecie. - Volvo - powiedział Pawełek. - Granatowe chyba, chociaż wygląda na czarne. Zgadza się? - Całkowicie. Nasze wozy.

-I tylko tych paru pan tu ma? Nie będzie za mało?

-Mam ich więcej. Poukrywani różnie...

- Jeden siedzi w tej wnęce żywopłotowej koło bramy przy tamtym skrzyżowaniu - wtrąciła się Janeczka. - A jeden po naszej stronie, w połowie sąsiadów. Gdzie reszta, na razie nie wiem. - A skąd wiesz o tych dwóch?

- Chaber tam spojrział, jak przebiegał, i trzeba było patrzeć na jego uszy. Ale miał szukać ludzi w samochodzie, a nie luzem, więc sobie nimi nie zawracał głowy.

- Genialne! - powiedział porucznik z podziwem. - Czegoś podobnego jeszcze w życiu nie widziałem!

-Co teraz? - spytał Pawełek. - Gdzie się zaczaiemy?

Porucznik spojrział na zegarek.

-Dochodzi wpół do dziesiątej. Myślę, że w domu. Wracamy i zaczyna się czekanie na wszelki wypadek...

Mniej więcej za kwadrans jedenasta szcęknęła

klamka u drzwi i do holu wpadł Chaber. Całym sobą zawiadamiał, że coś się dzieje, usiłując rozdzielić informacje pomiędzy Janeczkę i porucznika. W salonie państwa Chabrowiczów siedziała

cała rodzina, nadal z wyjątkiem babci. Babcia czuła się winna zaniedbania i nie schodziła z posterunku, traktując to jak rodzaj kary. Nic widocznie jeszcze nie dostrzegła, albo może zdrzemnęła się przy oknie, bo na górze nie było słyhać żadnego ruchu. Chaber jednakże zachowywał się jednoznacznie i porucznika poderwało z miejsca. Uwierzył psu. Razem z nim zerwała się cała rodzina.

Uspokajał wszystkich gestami dłoni, wyglądało to, jakby coś przyklepywał, równocześnie ostrzegając przez radiotelefon swoich współpracowników, że akcja rozpoczęta. - Spokój, proszę! - syknął rozkazująco. - Niech mi się tam nikt nie

plącze! Nadjeżdża jakaś ciężarówka, pies mówi... To znaczy, jeszcze nie wiadomo... To znaczy, wychodzić wolno tylko drugimi drzwiami! W wielkim domu państwa Chabrowiczów istniało drugie wejście i drugie schody. Korzystała z nich rodzina ciotki Moniki, bo zajmowali tamtą część budynku, tamtędy też dostarczano węgiel do kotłowni. Wejście znajdowało się na tyłach całej budowli, prowadziło wprost do ogrodu i od ulicy było niewidoczne. Porucznik, spenetrowawszy całe miejsce akcji, postanowił wykorzystać tę szczęśliwą okoliczność. Wydał polecenie i ruszył w kierunku korytarzyka za kuchnią, kiedy zadzwonił telefon. Znajdował się prawie obok, więc odruchowo podniósł słuchawkę. - Coś się dzieje -

powiedziała bez wstępów bardzo przejęta babcia. - Wszystko mi jedno, kto przy telefonie. Uważałam, że prędzej będzie do was zadzwonić, niż schodzić po schodach. Przejechał przed chwilą jakiś wielki samochód, ciężarówka, bardzo zwolniła obok nas. A przedtem widziałam, że Chaber popędził do domu, więc ta ciężarówka jest podejrzana. - Dziękuję bardzo - powiedział porucznik i odłożył słuchawkę. Biegiem opuścił dom, nie zwracając już żadnej uwagi na to, że zaraz za nim pośpieszyła asysta; Janeczka, Pawełek, Rafał i Chaber. Wujek Andrzej zawahał się. - Nasza teściowa wszystko widzi z góry - powiedziała pani Krystyna, ujmując słuchawkę i kręcąc numer. - Niech donosi. Połączenie uzyskała od razu. Ciotka Monika przysunęła sobie krzesło bliżej telefonu. - A pewnie -

przyświadczyła. - Nawet jeśli zgasimy światło i odsuniemy zasłony, nic nie zobaczymy, bo krzaki przeszkadzają. I żywopłot. Za wysoki urósł, mówiłam, żeby przyciąć. Mama z góry widzi lepiej. Wujek Andrzej zdecydował się zostać w domu i słuchać doniesień z placu boju. Babcia na górze odebrała telefon. - Mamo, no i co? - spytała chciwie pani Krystyna. - Co mama widzi? Bo my tu nic. - No to po co odkładacie słuchawkę? --obraziła się babcia. - Byłabym mówiła dalej. Kto to był? - Policjant. Nie zdążyliśmy mu przeszkodzić. No i co?

Wujek Andrzej poszedł do sypialni i podniósł słuchawkę drugiego aparatu. Ciotka Monika zerwała się z krzesła i przyłożyła głowę do słuchawki pani Krystyny.

Dziadek zastanowił się, po czym spokojnym krokiem ruszył na górę. - Nic - powiedziała w telefonie babcia. - Ta ciężarówka odjechała. Ale idzie jakichś dwóch ludzi. O, zatrzymują się! Obok waszych samochodów. -I co?

-Nic. Stoją.

- A nasi? Policja, dzieci, pies?

- Nie ma nikogo kompletnie. Żadnej osoby nie widać. Ach...! Babcia umilkła, jakby ją zadławiło, i pani Krystyna zdenerwowała się natychmiast. - Co, ach? Co się stało? Niech mama mówi, co tam widać!

- Proszę teściowej, tylko spokój może nas uratować - powiedział do drugiej słuchawki wujek Andrzej. - Niech mama zdaje relację jak porządny korespondent wojenny. - E tam - powiedziała niecierpliwie babcia. - Oni łgali na potęgę, te czołgi im się mnożyły jak króliki. Mnie się nic nie mnoży, ta ciężarówka wróciła. Stoi obok, tak trochę przed twoim fiatem. - Mam nadzieję, że nie zamierzają ukraść mojego fiata - mruknął wujek Andrzej. - A nawet gdyby, mała strata - powiedziała ciotka Monika. - Jest ubezpieczony i kupimy coś nowego. - Raz, dwa, trzy, cztery... - policzyła babcia.

- Sześciu ludzi widzę! Kręcą się koło samochodów jak owsiki, wysiedli z tej ciężarówki. Strasznie wielka, istny potwór... Jezus Mario! - Mamo, na litość boską! --. krzyknęła pani Krystyna.

Ciotka Monika nie wytrzymała, porzuciła swoją bratową i wybiegła z holu. Popędziła do tego drugiego wyjścia, chwytając po drodze z wieszaka kurtkę pani Krystyny. Zmieniać butów nie miała czasu. Na zewnątrz działo się coś okropnego. Czterech ludzi chwyciło małego fiata Rafała i przestawiło go o dwa metry do tyłu. Następnie podbiegli do dużego fiata wujka Andrzeja, unieśli tył i przekręcili go do przodu, dzięki czemu wokół volkswagena pani Krystyny pojawiła się wolna przestrzeń. Jeden z owych ludzi zaczął manipulować kluczykiem przy zamku i natychmiast wybuchło przeraźliwe wycie. Człowiek z miejsca dał spokój kluczykowi. Tylna kłapa ogromnej ciężarówki opadła ze szcękaniem, na zewnątrz wyjechała pochylnia. Sześciu ludzi zaczęło wypychać na nią volkswagena, po kawałku, unosząc go, bo koła miały zablokowane ręcznym hamulcem, a do tego jeszcze pani Krystyna zostawiła go na biegu. Znajdował się już w połowie, kiedy nastąpiły dalsze wydarzenia. Z dwóch stron pojawiły się nagle dwa samochody. Jeden stanął w poprzek przed maską ciężarówki, drugi znalazł się z tyłu. Zastawiły jej drogę. Równocześnie jak spod ziemi wyrosli policjanci, błysnęły flesze, zaświecił potężny reflektor. Złodzieje na króciutki moment skamienieli, po czym dali spokój volkswagenowi, zepchnęli go na jezdnię, skoczyli do ciężarówki, dwóch do szoferki, reszta do pudła, pochylnia wjechała z powrotem, warknął silnik. Nie bacząc na przeszkodę w postaci granatowego volvo, olbrzymia ciężarówka ruszyła. Przedtem jednakże wkroczył do akcji Pawełek. Przepychanie na pochylnię volks wagena zaabsorbowało wszystkich, nawet kierowcę ciężarówki, do tego stopnia, że nikt nie zwracał uwagi na nic innego. W szoferce było pusto. Bez chwili namysłu Pawełek przemknął za przestawionym fiatem wujka Andrzeja i dopadł przednich kół ciężarówki. Spod kurtki wyrwał parasolkę Janeczki, zabraną z domu wyłącznie na wszelki wypadek. Dwa energiczne ruchy wystarczyły, para kół z sykiem zaczęła siadać, na co nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi. Pawełek zawahał się na ułamek sekundy, w kucki prześlizgnął się dalej, z drugiej, pary koło zewnętrzne nie stanowiło problemu, z wewnętrznym było trudniej. Zdołał w końcu wbić parasolkę poza protektorem, przy czym aż się spocił z wysiłku i emocji. Nie zwlekając, przemknął z powrotem i ukrył się za fiatem. W tym samym momencie porucznika dopadł Chaber. Porucznik był zajęty, miał dać sygnał do ataku, na jego znak miały zapalić się reflektory i błysnąć flesze, tymczasem pies najwyraźniej w świetle o czymś gwałtownie zawiadamiał i czegoś chciał. Przytulony do żywopłotu obok furtki porucznik zakłopotał się, trwało to dwie sekundy, po czym za psem zmaterializowała się Janeczka. - No, już! - wysyczała dzikim szeptem. - Niech pan idzie! On coś znalazł! Ważnego! Porucznik przestał się wahać, w nim również ugruntowała się wiara w nadprzyrodzoną mądrość psa. - Zapalać! - zakomenderował szeptem w radiotelefon i nie patrząc na rezultaty rozkazu, popędził za Chabrem. Za nim bezgłośnie, na gumowych zelówkach, popędziła Janeczka. Za żywopłotem została ciotka Monika, gubiąca w błocie ranne pantofle, wpatrzona równocześnie w volkswagena na pochylni i w jakiś ruch, który dostrzegła z drugiej strony. Zaświeciły reflektory, ciotka Monika przetarła oczy... Wielka ciężarówka przejechała zaledwie metr. Te prawe przednie koła jednakże były jej potrzebne, same obręcze nie nadawały się do jazdy. Całe olbrzymie pudło przechyliło się lekko na jedną stronę, przysiadło, zarzuciło i zamarło w bezruchu, o parę centymetrów od granatowego volvo. Zabrzmiały rozmaite okrzyki, ilość policjantów wzrosła zdumiewająco, złodzieje nie mieli szans.

Dobrowolnie zaczęli wyłazić z szoferki i pudła, jeden rzucił się do ucieczki, ale został natychmiast złapany. Najbliższy policjant poświecił do wnętrza pojazdu. - O kurza twarz! - wrzasnął z zachwytem. - Mamy dowód rzeczowy! BMW! Babcia na górze również wydawała rozmaite okrzyki, których słuchali z przejęciem pani Krystyna i wujek Andrzej przy dwóch różnych aparatach telefonicznych. W końcu, w wyniku nieopanowanych emocji, wyrwała wtyczkę z gniazdka. Nie bacząc na to, nadal relacjonowała wydarzenia, na szczęście jednak dziadek już był na górze i wetknął wtyczkę z powrotem, odbierając babci słuchawkę. - Zdumiewające - powiedział. - Taki nadzwyczajny przypadek jest wręcz niemożliwy. Mam wrażenie, że chcieli staranować to volvo i uciec, ale właśnie w tym momencie wysiadło im przednie koło. Oba, bo mają podwójne. W jedno jeszcze mógłbym uwierzyć, ale dwa...? Nie, więcej! Widzę, że środkowe też siedzi... Dwie pary kół...! Czy nasze dzieci nie rozrzuciły tam przypadkiem jakichś gwoździ...? Chaber doprowadził porucznika wraz z biegnącą za nim Janeczką aż za skrzyżowanie. Za ich plecami było już widno jak w dzień i rozkręcała się cała akcja. Przed nimi panował mrok, rozjaśniony gdzieś blaskiem latarni, i w tym mroku porucznik dostrzegł psa, wystawiającego jakiś samochód. Popędził ku niemu na wszelki wypadek, nie mając pojęcia, czy jest mu to do czegoś potrzebne. Był o pół metra, kiedy samochód nagle zaszumił silnikiem, odbił od krawężnika i wyprysnął do przodu. - WAW 1824 - powiedziała z tyłu Janeczka nieco zdyszonym głosem. - I mogę się z panem założyć o wycieczkę do Honolulu, że w tym samochodzie siedział przestępca. Jakiś od tamtych złodziei. Możliwe, że pilnował, albo sprawdzał, jak im wyjdzie, albo co. Wszystkiego nie mogę wiedzieć tak od razu. Porucznik najpierw zapisał numer, a potem popatrzył na nią. -Z czego wnioskuje? - spytał rzeczowo.

- Z Chabra. Bez powodu nas tu nie przyprowadził. Albo w tym samochodzie siedział jeden z tamtych i on to wywęszył, albo ten tutaj był przedtem w ciężarówce i on to też wywęszył. Pan sobie nawet nie może wyobrazić, jaki on ma węch. To jest myśliwski pies i podobno wyjątkowo uzdolniony. - Jestem skłonny wierzyć w to bez zastrzeżeń - mruknął porucznik.

- nic, mamy numer... - Fałszywy? - spytała grzecznie Janeczka.

-Nie wiem. Sprawdźmy. Muszę tam wracać... Niezwykły przypadek nagłego przedziurawienia czterech kół wzbudził ogólne zdumienie i wielką radość policji. Pawełek starannie włożył wszystkim w oczy już bez parasolki Janeczki, z pustymi rękami. Dodatkową przyjemność sprawiła całej ekipie kolejna akcja, mianowicie złodzieje zostali zmuszeni do poprzekładania kół tak, żeby ciężarówka mogła jednak odjechać do komendy. BMW z wnętrza zostało wydobyte i ruszyło za nią własnymi siłami. - Ukradziono je chyba dosłownie przed chwilą, bo jeszcze nie mamy zgłoszenia - powiedział porucznik, poczęstowany przez panią Krystynę winem, herbata i krewetkami. - Jeśli państwo pozwolą, zaraz się dowiem przez wydział komunikacji, do kogo należy. - Wydział komunikacji o tej porze chyba nie funkcjonuje? - zdziwił się wujek Andrzej. - W zasadzie nie, ale wobec tego nasilenia kradzieży mamy tam specjalny dyżur - odparł porucznik i podniósł słuchawkę. Zdecydowanie był to wieczór obfitujący w sensacje dla wielu osób. Właściciel BMW omal nie dostał zawału przy telefonie, dowiedziawszy się, że jego samochód został ukradziony. Był to lekarz, chirurg-ortopeda, który nazajutrz miał jechać do Płocka w celu wzięcia udziału w konsultacjach, a następnie dokonania skomplikowanej operacji. Bez samochodu spóźniłby się na wszystko, chyba że zamówiłby taksówkę. Chciał być jutro w pełni sił, położył się już zatem i właśnie zasypiał, kiedy porucznik uszczęśliwił go wiadomością o kradzieży. - To co mam teraz zrobić? - spytał bezradnie. - Spędzić noc na odbieraniu od panów samochodu i zeznaniach, czy wysłać żonę? Moja żona też pracuje. - Nie - powiedział porucznik. - Samochód zostanie panu podstawiony pod dom i jutro może pan jechać. Wszystkie formalności załatwimy później. Janeczka i Pawełek odłożyli słuchawkę w sypialni pani Krystyny. - No, no - powiedział Pawełek z uznaniem. - Ten nasz porucznik to jakiś przyzwoity facet, nie? - Owszem - przyświadczyła Janeczka łaskawie. - I uważam, że gdyby był psem, powinien dostać porządny kość z mięsem... -No więc tym razem akurat przydała się jej parasolka - powiedział Pawełek, postępując nieco przy odkręcaniu zamka. - Syczało, nie syczało, grunt, że zeszło od razu. Gdyby zwłóczyło dłużej, rozwaliliby im ten samochód, to volvo, bo widać było, że się patyczkować nie będą. Ale w innych wypadkach... -No

to przecież już jeden zrobiłem! - przerwał mu Bartek, głęboko rozżalony, że nie uczestniczył we wczorajszych wydarzeniach, tak bezgranicznie atrakcyjnych. - Długie, cienkie, z narzędziowej stali. I masz to jak w banku, ale pod warunkiem. -Dobra, wiem. Katarynka.

-Co?

- Katarynkę przecież chciałeś? - zdziwił się Pawełek, oglądając się na kumpla. Bartek z pogardą wzruszył ramionami.

-A tam, katarynka...! Wyrzekam się. Wolę te rzeczy.

- Rozumiem. Jakby co, dzwonię. Też masz jak w banku.

-Przecież mówiłeś, że nie macie w domu telefonu - zauważyła Janeczka, przysiadając na podmurówce i kładąc obok tornister, bo właśnie przed chwilą wróciła od Beaty. - To gdzie dzwonić? Zamieszkaż w warsztacie? - Mamy telefon, tylko akurat był parę dni zepsuty. Ale już działa. Opukaj, bo coś mi się widzi, że za dobrze przykręciliśmy... Janeczka przez chwilę w zamyśleniu przyglądała się wysiłkom brata. - Ja bym wolała, żeby to nie było przykręcane, tylko chowało się i wyłaziło samo - powiedziała z lekkim niezadowoleniem. - Nie ten zamek, tylko tamten dziób. Taki prztyk... i wyskakuje. I na drugi prztyk się chowa. Wkręcanie i wykręcanie może za długo potrwać. - Rzecz możliwa, ale to grubsza sprawa - odparł Bartek. - Sam nie zrobię, a ojciec będzie wolał nie. Na razie musimy wkręcać. -A co, ty też...?

- A jak?

- Cud zwyczajny, że ten zamek przykręciliśmy tylko z jednej strony! - westchnął Pawełek. - Jakby z dwóch, pół bramy trzeba by teraz zrujnować! A tak, proszę! Gotowe! Montaż nowego zamka poszedł sprawnie. Nie był on już tak staroświecki jak ten poprzedni, ale też dość skomplikowany. Istniały do niego dwa klucze, co wydawało się wystarczające. Janeczka z wielką troską obejrzała dziurkę od klucza.

- A co będzie, jak oni tam znów napchają...? Pawełek prychnął wzgardliwie i wzruszył ramionami. - Dowiemy się od policji, kto to był, nie? I sprawdzimy, gdzie mieszkają. I możesz być spokojna, że żaden nie wejdzie do domu, ani nie wyjdzie, zależy po której stronie akurat będzie przebywał. Ja też mam cristal cement. Niech im się nie zdaje, że to tak przejdzie ulgowo i zobaczymy, kto dłużej wytrzyma. I od razu mówię, żeby potem nie było, nie przyznam się! Wyprę się na mur oporowy, nie było mnie tam, w życiu czegoś takiego jak cristal cement na oczy nie widziałem, w ogóle mowy nie ma! Chaber mi pomoże. Janeczka zaaprobowała pomysł bez chwili wahania. Gniew i zaciętość rosły w jej duszy. - Pana Wolskiego załatwić - przypomniała złym głosem.

Panem Wolskim gwałtownie zainteresował się Bartek. Wysłuchał relacji z wczorajszych, nieco wcześniejszych wydarzeń i poczuł się zaintrygowany.

- Coś podobnego! - powiedział ze zdumieniem. - Do głowy by mi nie przyszło! Ale to tego... - Toteż właśnie - przyświadczyła Janeczka, doskonale wiedząc, co Bartek ma na myśli. - Mamy zamiar sprawdzić. I jeszcze coś więcej, ten samochód, który uciekł wczoraj wieczorem. Chaber nas do niego doprowadził, więc musi być podejrzanym. Numer pamiętam. Bartek zamknął porządnie pudełko z narzędziami, oddał Pawełkowi dwa klucze i zawahał się. - Ja bym trochę nad tym wszystkim pomyślał - rzekł w zadumie. - Dostyc dużo roboty się szykuje i możliwe, że nie damy rady. A jakby tak jeszcze kogo...? Janeczka i Pawełek wymienili spojrzenia. Akcja zapowiadała się okazale, ale byle kogo nie należało w nią wtajemniczać. Nie rozważyli jeszcze wszystkich związanych z nią spraw, widać już było jednak, że może zabraknąć i czasu, i pomocników. Kwestia sprzymierzeńców stawała się palącą. - Stefek - powiedział Pawełek po chwili zastanowienia. - Moim zdaniem, pójdzie na wszystko. - I jest taki Wiesio - powiedział Bartek. -W szóstej klasie. Wiem na pewno, że ma kota na tle samochodów. Możliwe, że też by się włączył. - Ale ostrożnie - ostrzegła Janeczka. - Wcale nie mamy zamiaru niczego, rozgłaszać, więc trzeba delikatnie. Najpierw trzeba się dowiedzieć, co on w ogóle na ten temat myśli. Dyplomatycznie. Do tej pory nikt nie wie o naszym szpikulcu i nikt nie musi wiedzieć. -Za głupiego mnie masz? - spytał Bartek z urazą i podjął decyzję. - Dobra, skoczę do Wiesia od razu, może będzie w domu. Chociaż nie, najpierw odwalę robotę w warsztacie, a do Wiesia wieczorkiem. Dawaj tę ciupagę, zrobię jej wystrój dodatkowy... - Chciałabym wiedzieć, kiedy oni nam coś powiedzą - wyraziła życzenie Janeczka, stojąc nieco później pod domem pana

Wolskiego i gapiąc się na oświetlone okno. - Połapali ich, bardzo dobrze, teraz powinien być dalszy ciąg. - I jak sobie ten dalszy ciąg wyobrażasz? - zainteresował się Pawełek. - Nie wiem. Powinni może przesłuchać świadków? Świadców to my. Pawełek zastanowił się i pokręcił głową.

-Nie zdaje mi się. Słyszałaś przecież, dzieci i młodzież z daleka. Przesłuchają tylko dorosłych. Wujka Andrzeja. Rafała, ostatecznie... - Też się obawiam. Ale mogliby chyba powiedzieć coś o przestępcach? Uważam, że powinni. Kim oni są i tak dalej. Pawełek ciągle kręcił głową z powątpiewaniem. Dotychczasowe doświadczenia życiowe mówiły mu, że sprawa nie będzie prosta. Personaliami przestępców policja zbyttno się nie szasta, z niewiadomych powodów ukrywa je starannie. - Też tak pomyślałem w pierwsze) chwili i z rozpędu - mruknął niechętnie. - Ale przypomniało mi się, jak to jest. O poszkodowanych to owszem, dowiemy się wszystkiego. A o przestępcach, też sobie przypomnij, zawsze piszą tylko inicjałami. W prasie na przykład. Niejaki L. O. wypruł flaki Waldemarowi Gronkowskiemu i oderwał ucho jego teściowej, Felicji Wybuch, zamieszkałej na Marszałkowskiej sto jedenaście mieszkania dziesięć. A w telewizji zasłaniają im gęby, żeby przypadkiem kto ich nie rozpoznał. Tych przestępców, znaczy. I teraz będzie to samo, jestem pewien, a mnie oni są potrzebni na wszelki wypadek. - No więc musimy się dowiedzieć jakoś inaczej - zdecydowała Janeczka z wielką stanowczością. - Przemocą albo podstępem. Długo tu będziemy stali? Pawełek oderwał wzrok od fiata ze zdemolowanym tyłem i popatrzył w okno pana Wolskiego. -Zdrowo mu ktoś przyłożył - ocenił z podziwem. - Nie wiem. Chaber mówi, że jest w domu. Poczekamy, aż wyjdzie? - A jak nie wyjdzie wcale? Nie musi wychodzić codziennie. -No to przecież nie pójdziemy go pytać, kiedy wychodzi na spacer! W ogóle kretynsko stoimy, ktoś powinien patrzeć z drugiej strony. Jedno z nas albo Chaber. - No dobrze, mogę ja. Przynajmniej poczekam na siedząco, bo tam leży dużo skrzynek. A Chaber będzie lakał między nami i zawiadomi o wszystkim. Na zapleczu pawilonów handlowych pokłóciły się dwie panie. Jedna miała pretensje do drugiej, druga ostro odpierała zarzuty, a przedmiotem sporu była para kozaczków ze specjalnym haftem. Miała istnieć jakoby tylko w jednym egzemplarzu, tymczasem okazało się, że jeszcze co najmniej dwie osoby posiadają takie samo obuwie, w dodatku kupione taniej w Alejach Jerozolimskich koło "Chinki" Z wielkim zainteresowaniem Janeczka wysłuchiwała całej awantury, po czym uwagę jej zwróciła na siebie nowa postać. Jakiś człowiek pojawił się na podwórzu, wychodząc z budynku przy Racławickiej, zatrzymał się na moment pod świecą lampą i popatrzył na zegarek. Rozejrzał się, cofnął w cień i stanął nieruchomo. Nie minęło nawet pół minuty, kiedy z tylnych drzwi budynku przy Olkuskiej wyszedł następny, rozejrzał się również i dostrzegł ruch w ciemnościach. Tamten pierwszy kiwał na niego ręką. Spotkali się akurat obok Janeczki, siedzącej na skrzynce pod ścianą szopy, w najciemniejszym miejscu całego podwórza. Nie mając na razie pojęcia, czego będzie świadkiem i co usłyszy, Janeczka z niepokojem wyobraziła sobie niezmiernie głupią sytuację. Właśnie w tej chwili pan Wolski wyjdzie z domu na tamtą stronę, a po nią przybiegnie Chaber. Ci dwaj zorientują się, że ona tu siedzi... Postanowiła nie pokazywać im się zbyt wyraźnie. Pies potrafi przemykać się w sposób niezauważalny, ona mu nie dorówna, ale spróbuje zerwać się gwałtownie i uciec biegiem, przygarbiona, prawie na czworakach, i nawet jeśli ją zobaczą, nie zdołają później rozpoznać. Nie zastanawiała się, po co jej to krycie się może być potrzebne, ale zdecydowała się na nie błyskawicznie. Na wszelki wypadek. -Co to było? - usłyszała obok siebie cichy głos, gniewny i zimny. - Pułapka - odparł drugi głos, wyraźnie przygnębiony. - Zgadli, czy co... -Dlaczego nie odjechali?

- Dwa koła siadły. Nie było sposobu...

- Same z siebie? Coście zrobili? Stare opony...?

- A skąd! Nie wiem. Mogli rozrzucić gwoździe.

-Lewek zawiadomiony?

- Od razu, jeszcze wczoraj. To BMW kładzie sprawę...

Słuchająca bez tchu i bez drgnięcia Janeczka poczuła na nodze dotknięcie psiego nosa. Chaber był przy niej, nie zauważyła go wcale, tajemniczym sposobem wiedział, że powinien być niewidzialny i przemknął ku niej przez podwórze niczym duch. Położyła mu rękę na głowie i trwała w bezruchu, wciąż starając się nie oddychać. - Co robimy? - spytał głos przygnębiony.

- Tutaj dać spokój - rozkazał gniewny. - Podchorążych dwanaście, będzie jutro parkował volkswagen. Drugi Bonifacego cztery, w podwórzu. - Miało być BMW...? - Jest. Żoliborz. Brodzińskiego sześć, w garażu. Poza tym szukać okazji. Chaber pod dłonią Janeczki poruszył się nagle. Spojrzała w dół, oczy już dawno przyzwyczały się jej do mroku, dostrzegła zarys psiego pyska, wyciągniętego w kierunku drzwi wyjściowych budynku przy Olkuskiej. Obok tych drzwi mignęła jej kolejna postać, ktoś wyszedł i jednym ruchem ukrył się w cieniu. Dzięki wskazówce psa Janeczka wiedziała, że jest to oczekiwany pan Wolski. "Musieli wszyscy razem", powiedziała do siebie w duchu, bardzo zdenerwowana. "Wstrętne capy!" Ostrożnie, powolutku, pochyliła się i przytknęła usta do psiego ucha. - Po Pawełka, Chaber - szepnęła najciszej, jak mogła. Prędko!

Przyrowadź Pawełka! I kryj się!

Dwaj ludzie nagle się rozstali. Jeden zawrócił w kierunku Raławickiej, drugi podążył do budynku przy Olkuskiej, akurat tam, gdzie schował się pan Wolski. Pan Wolski jakby nie istniał, wtopiony w cień. Przechodzący nie zauważył go, wszedł do wnętrza, prawdopodobnie w sieni natknął się na Pawełka. Janeczka nie miała teraz czasu rozważać, czy to dobrze, czy źle, oraz co z tego może wyniknąć. Szarpnęła nią rozterka. Powinna koniecznie pójść za pierwszym, który wzbudził w niej silne podejrzenia, a każdy ruch musiał na nią zwrócić uwagę pana Wolskiego. Przez krótki moment nie wiedziała, co zrobić, na szczęście pan Wolski sam rozstrzygnął sprawę. Ruszył ze swego ciemnego kąta, szybkim krokiem przemierzył podwórze i znikł w przejściu na Raławicką. Bez sekundy zwłoki Janeczka popędziła za nim, starannie unikając hałasu i kryjąc się w cieniu. Stała spokojnie na ulicy przed budynkiem, kiedy dogonił ją Pawełek i Chaber. - Pana Wolskiego Chaber już zna - powiedziała bez wstępów, zanim Pawełek zdążył otworzyć usta. - Tu się spotkali przestępcy od tych kradzieży samochodowych, i tej naszej też. Mam nowe adresy, gdzie teraz będą kraść. Czekaaj, niech zapiszę, bo mogę zapomnieć.

- A pan Wolski gdzie? - spytał z naganą Pawełek. - Znów się rozwiał w powietrzu?

- Niech się rozwiewa. Chaber go znajdzie. Zaraz... No dobrze, idziemy? Pan Wolski, piesku! Gdzie pan Wolski? Chaber ruszył przed siebie bez wahania.

Janeczka schowała notes i zrównała się z Pawełkiem. - Spotkałeś w korytarzu takiego jakiegoś? - spytała surowo. - Spotkałem. Bo co? Chaber się przed nim schował.

- Boże, jaki to mądry pies! Szkoda, że ty masz mniej rozumu niż on. Widział cię?

- Widzieć widział, ale mało mu z tego przyjdzie. Pod światło. Świeciło mi za plecami i może mnie rozpoznać tylko w jasnowidzeniu. Bo co? - A ty go obejrzałeś?

- No pewnie. Na wszelki wypadek. Bo co, pytam, i przestań mnie denerwować! Pan Wolski wyszedł na Puławską, skręcił w prawo i ruszył wolnym krokiem, oglądając po drodze wystawy. Stworzyło to chwilę spokoju i Janeczka zdołała przekazać bratu wszystko, czego była świadkiem, z kłótnią o kozaczki włącznie. - I ten samochód, do którego wsiadł i odjechał, to był ten sam co wczoraj - zakończyła.

- Tak podejrzewałam. I numer miał identyczny, pamiętam go, WAW 1824. I trzeba było na

przykład pojechać za nim, od razu mielibyśmy adres.

- Mógł iść w gości - utemperował ją Pawełek. - To po pierwsze, a po drugie, czym pojechać? Na wrotkach? - No więc właśnie, o tej porze roku na rowerze głupio...

- Spróbujemy namówić Rafała. Ciekawa rzecz, swoją drogą, że oni tak się spotkali, akurat tobie nad głową... - Tam było najciemniej. To jest bardzo dobre miejsce do spotkania. Każdy z innej strony i nikt ich razem nie widzi. Wcale nie wiem, czy pan Wolski nie dowiedział się o nich czegoś właśnie w ten sposób.

- Nie mogli przez telefon?

- Może się boją, że któryś ma podsłuch? Przecież ta policja nie może już tak kompletnie nic nie wiedzieć, jak tabaka w rogu! Może obaj są podejrzani? - A może któremu telefon wysiadł i nie łączy. Jest w ogóle mokro, a na mokro to wszystko źle działa, łączy ich z dyrekcją Żeglugi Wielkiej albo z Domem Mody i cześć. Milcz do mnie, niech pomyślę. Przez chwilę podążali za panem Wolskim, nic do siebie nie mówiąc. Racjonalna część umysłu Pawełka, rzadko dochodząca do głosu, protestowała przeciwko aż tak zdumiewającym przypadkom. Spotkać na

podwórzu jakichś zupełnie obcych przestępców, planujących na przykład włamanie do pawilonów handlowych, to jeszcze, owszem, możliwe, ale spotkać znajomych, to już przesada. Jak to się mogło stać.. ? Wyobraził sobie różne sytuacje i sam postawił się na ich miejscu. Nie są przecież kretynami, muszą znać te piekielne telefony, które działają zależnie od pogody, a także od jakichś innych czynników, nie do odgadnięcia i nie do przewidzenia. Muszą mieć jakieś ustalenia awaryjne na wypadek, gdyby nie mogli się do siebie dodzwonić. Spotkać się. Posiadanie samochodu ułatwia przybycie na dowolne miejsce, powiedzmy, że on sam... Nie chce się przyznać na przykład do znajomości z Bartkiem, nie życzy sobie, żeby ich ludzie razem widzieli... Jasne, wymyśli miejsce spotkania podobne do tego, każdy wchodzi z innej strony, mijają się w przelocie, w razie czego mogą się sobie nawet nie kłaniać. Jeszcze można spotykać się w domu, ale po pierwsze, w domach na ogół przeszkadza rodzina, a po drugie, nie życzy sobie, żeby wspólnik wiedział, gdzie mieszka. Tajemniczy szef, albo coś w tym rodzaju. W porządku, z tym się można pogodzić. Ale dlaczego akurat tu i dlaczego akurat w tym momencie...? - Wczoraj im się nie udało i to BMW musiało odjechać, nic nie wiedząc, co się stało - powiedziała Janeczka, najwyraźniej w świecie wiedzona telepatią. - Ten drugi mógł patrzeć z drugiej strony, ale potem musiał patrzeć dalej i nie miał kiedy tego pierwszego zawiadomić. A ten pierwszy nie pojechał prosto do domu, tylko pętał się gdzieś, bo się bał, że go ktoś śledzi i gdyby porucznik zdążył, pewnie miałyby rację... - Skąd wiesz, co ja myślę? - przerwał Pawełek prawie z urazą. - Wcale nie wiem, tylko myślę to samo. Też się zastanawiałam. Może telefon im nawalał, więc w końcu spotkali się tak, jak mieli umówione w razie czego. Jeśli się dobrze policzy, godzina wypadła akurat taka... Która to? Za dwadzieścia ósma. Ustalono mają raz na zawsze, że spotykają się o dziewiętnastej trzydzieści. - Tyle to już prawie zgadłem, ale dlaczego akurat tu?

- A gdzie? W parku? Przy takiej pogodzie? -Nie pada przecież... - Ale może padać. Do parku w czasie deszczu i w zimie to jeszcze głupiej niż na wrotkach. - Może być jeszcze na cmentarzu. Na dworcu. Na schodkach koło bazaru. W kolejce po wodę mineralną na tyłach Super Samu, jeden drugiemu pomaga wstawiać do bagażnika te wszystkie butelki... -I wszędzie ich ludzie zobaczą. A tu nikt.

-No rzeczywiście, tylko pan Wolski i ty...

- Ale nikt inny. I gdybym nie siedziała na tej skrzynce... Wcale ich widać nie było, nawet z bliska. Nie wiem, czy jest w Warszawie dużo takich doskonałych miejsc! - Nawet jeśli są, oni mogą ich nie znać. Dobra, niech będzie... Co on tam widzi na tej wystawie? Pan Wolski przeszedł aż za Odyńca i utkwiał przed wystawą jakiegoś sklepu. Stał i stał, wpatrując się w nią, jakby nigdy w życiu nie widział niczego bardziej interesującego, albo jakby uczył się jej na pamięć. Z konieczności zatrzymali się również, wyglądając zza narożnika domu. Chaber przysiadł u ich nóg. Nagle nadjechał autobus. Zatrzymał się na przystanku, prawie za plecami pana Wolskiego. Pan Wolski nadal wpatrywał się w wystawę, po czym, zniemacka, ruchem wręcz błyskawicznym, odwrócił się, uczynił trzy wielkie kroki i w ostatniej chwili wpadł w zamykające się już drzwi, nie dając tropicielom nawet cienia najmniejszej szansy. - No tak - powiedziała z irytacją Janeczka i wyszła zza narożnika. - Urządził nas. Co to był za autobus? - A skąd ja mam to wiedzieć? Z tyłu miał napisane "Prać, ale tylko w Pollenie 2000". I stary Kiemlicz, podrobiony na księcia Radziwiłła. - Zobaczmy chociaż, na co tak patrzył. Okazało się, że pan Wolski wpatrywał się w mały sklepik z butami. Westchnęli ciężko, przez chwilę spoglądali w głąb Puławskiej, gdzie zniknął już autobus z wytwornie odzianym starym Kiemliczem, po czym zawrócili. - Teraz już wyraźnie widać, że bez Rafała się nie obejdzie - zawyrokowała smętnie Janeczka. - Zaraz dzisiaj z nim załatwimy. Wierzbiński. - Zawraca głowę z tą swoją maturą - mruknął Pawełek i uświadomił sobie, co jego siostra powiedziała. - Co Wierzbiński? Kto to jest? - Porucznik. Nareszcie przypomniałam sobie, jak się nazywa. Słyszałam, jak się przedstawiał mamusi, podkomisarz Wierzbiński, powiedział. Musimy do niego zadzwonić w sprawie tych kradzieży, niech wszędzie pozostawia pułapki. - A jak się nie...

- To zwyczajnie do pogotowia policji. Albo gdziekolwiek do nich i niech mu przekazują. I to od razu, bo wcale nie wiem, czy nie zaczną kraść już dziś w nocy. - No dobra, zadzwonimy od Bartka - zaproponował po namyśle Pawełek. -



Primo, obiecałem mu, że już go nic nie ominie, a po drugie, zobaczymy przynajmniej, co zrobił. Inaczej ten wieczór będzie już całkiem zmarnowany! Zaczniemy od warsztatu, bo bliżej, a może on tam jeszcze jest... Bartek dokonał dzieła imponującego. Wszelkie roboty ślusarskie uwielbiał od najmłodszych dziecinstwa. Ojciec był zmuszony chronić przed nim swoje narzędzia, syn bowiem, w wieku lat czterech, usiłował wiercić dziury we wszystkich metalowych częściach-mieszkania, jakie mu były dostępne. W wieku lat sześciu nagwintował trzonki noży i widelców, co okazało się niezbyt wygodne dla posługujących się nimi osób. Kiedy doszedł do poważnego wieku lat ośmiu, ojciec zdecydował się raczej uczyć go zawodu, niż rozpaczliwie pilnować domu i warsztatu. Obecnie wykazywał nie tylko zapał, ale wyraźny talent, i pan Marczak, w gruncie rzeczy dumny z syna, pozwalał mu na wszystko, nie wnikając w przyczyny i cele dość osobliwych robót. Tym razem też wolał nie wiedzieć, po co jego potomkowi potrzebne jest osobliwe zakończenie zwyczajnej, cepeliowskiej ciupagi i nawet dopomógł trochę, bo pomysł wymagał wielkiej precyzji wykonania. Zaczął wprawdzie pytać: "Do czego ci...", ale czym prędzej ugryzł się w język i postanowił trwać w przekonaniu, iż żmudna praca stanowi rodzaj ćwiczenia zawodowego. Rezultat zachwycił bezgranicznie zarówno Pawełka. jak i Janeczkę. - To jest to! - wykrzyknął Pawełek z entuzjazmem, kiedy cienki jak igła szpikulec za przesunięciem guziczka wylazł z końca ciupagi. - Genialne! O to chodziło! - I wchodzi całkiem, dwa milimetry w środku skuwki -- pochwalił się Bartek. - Możesz się podpierać, ile chcesz, nic się nie stępi. - A ja? - powiedziała niecierpliwie Janeczka.

- Ja też chcę takie!

- Nie wygłupiaj się - zgromił ją Pawełek. - Na razie wystarczy ci parasolka. Sama widziałas, że nieźła. - Ale nie do wszystkiego się nadaje!

-No to co? Do tej pory nadawała się pierwszorzędnie. A następnym razem użyjemy tego, co akurat będzie lepsze. - Sobie też takie zrobię - oznajmił Bartek.

- Trochę potrwa, bo ten gotowy szpikulec zużyłem dla ciebie, drugiego takiego wichajstra nie mam, muszę wyprodukować. Dobrze, że jest materiał, bo z byle czego by nie wyszło. Tylko nie wiem w czym. Sam uchwyt zostawić...? Schylać się trzeba. Też ciupaga...? Zakłopotali się na chwilę. Nagła moda na ciupagi mogła się wydać podejrzana. - Laska do bani - rozważał Pawełek. - Musiałbyś mieć nogę w gipsie. Parasol głupio, kto chodzi z parasolem...? - Pan Wolski - przypomniała zjadliwie Janeczka.

- Stary piernik. Może sobie chodzić. Wędki...? W zimie chyba na nic...? Kijek do nart... Na nic, nie ma śniegu, na taką pogodę prędzej by się wiosło przydało...

- Chyba nogę od stołu - westchnął w końcu Bartek. - Już o niej myślałem, nada się, a zawsze mogę ją nieść do stolarza. - Jaka nogę od stołu?

Bartek pogrzebał za szafą i wyciągnął cienką, zdumiewająco lekką, zwężającą się z jednego końca nogę od jakiegoś ozdobnego stolika. Na górze miała jakby placek, przeznaczony niewątpliwie do przymocowania blatu. - Ten kawałek wyładzę i można na nim oprzeć rękę - objaśnił. - Nawet w papier owinę i nikomu nic nie przyjdzie do głowy. A jak się wykombinuje co lepszego, to zamienię. Pawełek zważył nogę ręką i pochwalił pomysł. Janeczka przypomniała sobie nagle, po co tu przyszli. Znajdowali się w warsztacie sami, ojciec Bartka wcześniej udał się do domu. - Dzwońmy do tego porucznika Wierzbnińskiego, bo się zrobi za późno. Macie tu książkę telefoniczną? -Mamy, ale stara.

- Nie szkodzi. W ostateczności zaczniemy od pogotowia policji... Porucznika Wierzbnińskiego osiągnięto metodą kolejnych przybliżeń. Znajdował się w domu i szczęśliwym trafem mieszkał na Mokotowie, dzięki czemu łączność telefoniczna z nim istniała. Tamten ktoś w komendzie nie chciał wprawdzie podać jego prywatnego numeru, ale Janeczka takie sprawy umiała załatwiać. - To niech pan sam do niego zadzwoni i spyta, czy interesuje go następna kradzież i następna pułapka - powiedziała energicznie. - Wczoraj zastawiał jedną i wyszła mu bardzo dobrze. A dzisiaj przypadkiem dowiedzieliśmy się, co będzie kradzione w pierwszej kolejności i mamy adresy. Ale powiemy tylko porucznikowi i nikomu więcej i jeśli chce, może do nas zadzwonić. Jesteśmy akurat pod numerem telefonu 40-12-24 i będziemy tu najwyżej pół godziny. A jeśli pan nic nie robi, spadnie na pana cała odpowiedzialność za te kradzieże i dopiero wtedy pan będzie miał! Groźba musiała zabrzmieć przerażająco, bo porucznik zadzwonił do nich po sześciu

minutach. Sprawa zainteresowała go w najwyższym stopniu. - Gdzie jesteście? - spytał gwałtownie. - Zaraz do was przyjadę i poproszę o wszelkie szczegóły. - U kolegi mojego brata, ale właśnie wychodzimy i wracamy do domu - odparła Janeczka. - W domu będziemy za piętnaście minut.

Odłożyła słuchawkę ku wielkiemu niezadowoleniu Pawełka.

- Zwariowałaś, trzeba było umówić się z nim tutaj! Niechby przyjechał i podrzucił nas do domu! - Sam zwariowałeś - rzekła zimno siostra. - Akurat mu trzeba pokazywać warsztat! Lepiej, żeby nic o nim nie wiedział. -No dobra, a ja co? - oburzył się Bartek.

- Znow mnie ominie?

- Zamknij wszystko i możesz iść z nami. Nie ma zakazu odprowadzania kolegi. Tylko tej nogi, broń Boże, nie bierz... Porucznik zdażył przyjechać akurat w chwili, kiedy podchodzili do własnej furtki. Janeczka nie pozwoliła mu wysiąść. Uświadomiła sobie, że pogawędkę na tematy kryminalne zdecydowanie lepiej jest odbyć bez udziału rodziny i zaproponowała zużytkować w tym celu jego samochód. Wsiadli wszyscy do fiata, porucznik zapalił lampkę, sprawdził, czy dobrze zapisał adresy zagrożonych samochodów i w skupieniu wysłuchiwał relacji o spotkaniu przestępców. Janeczka powtórzyła wszystko z jak największą dokładnością, po czym okazała niezadowolenie. - I teraz pan tu siedzi, a może oni już tam kradną - powiedziała z naganą. - Na Podchorążych ma być jutro, ale Bonifacego i Żoliborz...? - Podesłałem ludzi - przerwał porucznik. - Bardzo proszę, nie uważaj mnie za kretyna. Powiedzieli "Lewek"? - Lewek. Taki mały lew. Wiadomość musiała być ważna, bo porucznik na moment jakby znieruchomiał wewnątrz. Nie rzucał się, nie wzdrygał, nie wydawał okrzyków, ani nie okrywał się bladością, ale krótką chwilę napięcia dało się nie tyle może zauważyć, ile wyczuć. Janeczka popatrzyła na niego z uwagą, coś jej nagle błysnęło, wysiadła i otworzyła furtkę.

- Idź, piesku - powiedziała do Chabra. - Powiedz mamusi, że już jesteśmy. Wróciła do samochodu i usłyszała słowa brata.

- Bo to ważne, co? - mówił Pawełek. - Kto inny by pewnie łapał się za głowę, ale policja ma nic po sobie nie pokazywać. Specjalnie panów tego uczą? -Z czego wnioskujeś... - zaczął porucznik.

- To widać - włączyła się Janeczka, zdażywszy już wsiąść z powrotem. - Pan się przejął tym Lewkiem. I pan wie, kto to jest. - Domyślam się - wyznał porucznik. - I rzeczywiście wiadomość jest okropna. A co właściwie robiliście na tym podwórzu między domami? Między Olkuską i Raclawicką? - Przechodziliśmy - odparła Janeczka bez wahania. - I ja się zatrzymałam, bo czekałam na mojego brata, a on się gapił na warsztat samochodowy. I była tam cała awantura o buty, bardzo śmieszna, więc sobie posłuchałam. A przed tymi ludźmi, którzy się tam spotkali, schowałam się tylko na wszelki wypadek. Już pan wie, czyj to jest samochód, ten WAW 1824? - Numer fałszywy - odparł krótko porucznik.

- Co teraz będzie? - spytał Pawełek z lekkim zniecierpliwieniem. - Co pan zrobi? Pozostawia pan następne pułapki? I w ogóle co z tymi złapanymi wczoraj? Siedzą? - Siedzą. To znaczy, chciałem powiedzieć, zostali zatrzymani. Nie chcę przesądzać, ale... Porucznik urwał nagle i widać było, że ugryzł się w język. Zaczął widocznie z rozpędu wyjawiać jakąś tajemnicę służbową. - Ale pewnie zostaną wypuszczeni, zanim się zdaży okiem mrugnąć - dokończyła za niego Janeczka zimnym głosem. - I ten Lewek się o to postara. Tym razem porucznik nie zdołał ukryć wrażenia.

- Skąd wiesz?

-Znikąd nie wiem, tak się domyślam. Tyle było gadania, że ci złodzieje ciągle są wypuszczani, że i bałwan ze śniegu też by to odgadł. A ten Lewek musi mieć z tym coś wspólnego, bo inaczej nic by pana nie obchodził. - Lewek mógłby być, na przykład, paserem - spróbował dość beznadziejnie porucznik. - Cekał może z pieniędzmi na te samochody... - E tam - przerwał z kolei Pawełek. - TIR--em wieźli, pewnie od razu chcieli lecieć do granicy. Paser nie, odpada. Pewnie jakiś opiekun. Porucznikowi zrobiło się bardzo ciepło. Wewnętrzne komplikacje policji nie miały prawa docierać do osób postronnych, tymczasem te okropne dzieci najwyraźniej w świecie odgadywały za dużo. Pomoc okazały wielką i wręcz bezcenną, nieprzyzwoicie byłoby oszukiwać je, poza tym mogłyby stracić zaufanie do niego i zerwać współpracę... Milczał, nie mając pojęcia, co zrobić. -I w

dotadku on pewnie wcale nie nazywa się Lewek - dołożyła niemiłosiernie Janeczka. - To jest ksywa. - Grypsera rozmawiać nie będziemy! - powiedział porucznik stanowczo, szczęśliwy, że na coś może zareagować bez szkody dla wzajemnych stosunków. Po czym znalazł wyjście. - Teraz muszę natychmiast zacząć działać, więc dziękuję wam bardzo. Obiecuję dobrowolnie i bez nacisku, że powiem wam później, co z tego wynikło. Jestem pewien, że życycie mi powodzenia, więc dziękuję podwójnie... - No, no - powiedział Bartek, kiedy fiat porucznika zniknął za skrzyżowaniem. - Tak elegancko łąć, to ja bym nie potrafił. A dlaczego właściwie ukrywacie pana Wolskiego? - Wyłącznie na wszelki wypadek - odparła Janeczka. - Nic o nim nie wiemy, a podejrzany jest bardzo. Więc najpierw go rozwikłamy, a dopiero potem będziemy o nim gadać. - Zaraz sprawdzę w książce telefonicznej wszystkich na Lew" - zakomunikował z zaciętością Pawełek. - Też tylko na wszelki wypadek, bo on może mieć zastrzeżony telefon. Dobra, spróbuję odwalić te kretyńskie lekcje na pojutrze, chociaż późno, bo jutro bym popatrzył, jak im pójdzie przedstawienie. - Tylko mowy nie ma beze mnie - zastrzegł się Bartek. - Umówimy się w szkole, a przy okazji dopadnę Wiesia... - Zapomniałem cię wczoraj zapytać, dlaczego wysłałaś Chabra do domu - powiedział Pawełek, wchodząc do pokoju siostry. - O co biegało i po co miał zawiadamiać, że jesteście? Janeczka uniosła głowę znad atlasu, który porównywała z rozłożoną obok książką podróźniczą, i usiadła na tapczanie prosto. - Bo przyszło mi do głowy, że na wszelki wypadek nie możemy się nijak narażać - wyjaśniła. - Było późno i mamusia mogła się zdenerwować. Nie wiadomo, co jeszcze będzie, więc możliwe, że trzeba wykombinować coś więcej. Ty też, niech cię ręka boska broni nawalić z czymś w szkole! - O rany, dobra. Sam wiem. Co wykombinować? - Obiecaliśmy ojcu uroczyście, że będziemy upiornie grzeczni i będziemy dbać o matkę. Więc trzeba wykombinować więcej tego dbania. Wczoraj zadbałam, a poza tym nie przychodzi mi do głowy nic innego, tylko różne dania. - Jakie dania? - Spożywcze. Żeby matka wcale nie musiała gotować i żeby mieć dla ojca coś takiego, od czego mu oko zbieleje. - Chińska potrawa - zaproponował bez namysłu Pawełek. - Całkiem niezła była, tylko może tym razem bez powideł. - Zastanowię się i wypróbujemy. Co zobaczyłeś? Pawełek klapnął na krzesło przy biurku i okręcił je tyłem do przodu. - Skoczyliśmy z Bartkiem zaraz po szkole, miałem rozum z tymi lekcjami na jutro! Otóż na Podchorążych nic nie stało, żaden volkswagen, a ma tam dzisiaj parkować, nie? Tak mówiłaś. Więc może później. Na Bonifacego też chała. - Byli w pracy i wrócą dopiero wieczorem - uczyniła przypuszczenie Janeczka. - Wieczór dopiero będzie, jeszcze się nie zaczął. - Z Rafałem załatwiłaś? - Nie, nie było go. - Ale już jest. Idziemy...!

O wpół do ósmej wieczorem w okolicy domów na Podchorążych dwanaście parkowały aż trzy volkswageny. Możliwe, że przyjechali nimi jacyś goście, bo w jednym z mieszkań odbywało się przyjęcie. Okno od ulicy na pierwszym piętrze było uchylone i dobiegały przez nie odgłosy wesołej zabawy. Dawało się słyszeć śmiechy i rozmowy wielu osób, kulturalne, bez wrzasków i głośnej muzyki, ale jednak brzmiące jednoznacznie. Co najmniej jeden z tych volkswagenów musiał należeć do kogoś, czyja obecność na przyjęciu była pewna. Ten odcinek Podchorążych nie miał wylotu na Czerniakowską. Na końcu ulicy znajdowało się miejsce na parking. Rafał podjechał tam i zatrzymał swojego malucha. Całą aferą zainteresowany był od początku, a do wzięcia osobistego udziału w imprezie nakłoniła go ostatecznie Janeczka. - Takie ćwoki i tumany zdają tę maturę, że i ty powinienes załatwić to bez niczego - rzekła wzgardliwie i nieco gniewnie. - My mamy zamiar nie przejmować się wcale. A niemożliwe, żebyś był najgłupszy ze wszystkich ludzi na świecie! Rafał nie czuł się najgłupszy na świecie i słowa ciotecznej siostry ogromnie podniosły go na duchu. Pomyślał, że może i rzeczywiście uczestnictwo w antyzłodziejskiej akcji maturze zbytnio nie zaszkodzi i zdecydował się poświęcić ten jeden wieczór zajęciom zapewne mało naukowym, ale za to zdecydowanie atrakcyjnym. Zatrzymawszy się chwilowo na parkingu, zaczął teraz, wraz z Janeczką, Pawełkiem i Bartkiem, zastanawiać się, jakie miejsce najlepiej wybrać.. Teren wokół stwarzał liczne możliwości. Za budynkami znajdowało się wielkie podwórze ze śmietnikiem, do którego można było podjechać. Można było także zostać na parkingu. Można było wcisnąć się w jakiś

wolny kawałek trawnika pomiędzy drzewami, albo czatować po drugiej stronie ulicy, za stojącą tam furgonetką. Wybór był trudny, nikt bowiem nie wiedział, który z trzech volkswagenów ma zostać ukradziony.

- Tutaj to wszystko na nic - zawyrokował wreszcie Bartek. - Na Czerniakowską nie wyjadą, muszą tam! Na wszelki wypadek najlepiej u wylotu, bo jakby trzeba było pojechać za nimi, to stamtąd gotowy start! Wszyscy przyznali mu rację. Rafał podjechał kawałek z powrotem i ulokował malucha na samym wyjeździe z tego kawałka Podchorążych, stwarzając sobie możliwość obrania dowolnego kierunku. Wszyscy wysiedli. -Rozejdźmy się - zaproponowała Janeczka. - Każdy gdzie indziej, żeby wszystko było widać. Rafał rozejrzał się dookoła. - Masz rację, wszyscy w kupie to bez sensu. Ja tu zostaję, wsiadę i czekam wózku. Po to tu jestem, żeby w razie czego pojechać za podejrzanym. A wy, jak uważacie. - Dobra, to my - z Bartkiem pod tamten śmietnik - podjął decyzję Pawełek. - Ty masz parasolkę, a ja ciupagę i będziemy na dwóch końcach... - Glin nie widzę - zauważył niespokojnie Bartek.

- A coś ty chciał, żeby tu maszerowali środkiem ulicy? Skoro to ma być zasadzka, powinni być pochowani porządnie. - Gdzie Chaber? - spytał Rafał, wychylając się z samochodu. - Sam się schował od razu - odparła z wyższością Janeczka. - Wie, że trzeba. Nie mam pojęcia gdzie, ale znajdzie się we właściwej chwili. Idę-na ten parking, jeden volkswagen tam stoi i będę go miała przed nosem. - W porządku, rozchodzimy się... Za śmietnikiem było ciemno. Pawełek z Bartkiem znaleźli jakieś skrzynki, prawdopodobnie wyrzucone ze sklepu przy Gagarina, i usiedli na nich delikatnie, bo były w nie najlepszym stanie i wydawały się dość chwiejne. Śmietnik, na szczęście, został niedawno opróżniony, więc bijące z niego aromaty nie przeszkadzały w oddychaniu. - Nie wiem, czy nas nie jest za mało - rzekł Pawełek z troską. - Przydałby się jeszcze jakiś pomocnik. Gadałeś z Wiesiem? Bartek westchnął ciężko.

- No więc właśnie. Gadałem i coś mi nie klapuje.

-Jak to? Bo co?

- Myślę i myślę, już od trzeciej przerwy, bo złapałem go od razu, ale nic mi się nie udaje wymyślić. Jakiś taki on był dziwny. Zaciekało go najpierw, nie powiem, strasznie pytał, w co się gra, więc tak mu trochę naszkliłem. A on tak wyglądał, jakby go szarpnęło, najpierw w lewo, potem w prawo, i jak milczał, to już tak jakoś okropnie. Niby powiedział, że tak, owszem, on też chce, ale mnie nie grało i cześć. Usiłował spojrzeć na Pawełka, ale w ciemnościach nie widział wyraźnie jego twarzy.

Pawełek milczał mniej okropnie, ale za to z wyraźnym przejęciem. - Powinno się to powiedzieć psu - mruknął wreszcie. - Albo chociaż mojej siostrze. Podejrzane. - Toteż właśnie - przyświadczył Bartek z lekką ulgą, bo dotychczasowy ciężar rozdzielił się na dwie osoby i zaczął go mniej ugniatać. - Mnie się też tak wydawało. Podejrzane. Nie umiem ci wytłumaczyć, ale coś mi nie grało strasznie. -Mówiłeś mu o tych zasadzkach?

- No coś ty, za jełopa mnie masz? Najpierw ruszyłem sprawę dyplomatycznie, potem jakoś mi się nie spodobało, a potem nabrałem wody w gębę. Namąciłem i tyle. I teraz nie wiem, nada się ten Wiesio, czy nie? Pawełek spróbował się zastanowić. Sprawę Wiesia należałoby rozważyć, a z jego zachowania wyciągnąć jakieś wnioski. Usiłował uczynić to od razu, ale rozważania kulały. Zdecydowanie brakowało mu Janeczki, której straszliwa i nieubłagana logika umiała kroczyć do celu najprostszą drogą. Wiesio zaciekał się sprawą, to normalne. Bartkowi jednak coś nie grało i to już było nienormalne. - Oni mają jakieś kółka w rodzinie? - spytał niepewnie.

- Mają. Niby to ojca, ale używa jego starszy brat. Wiesia, znaczy, brat. - I co to jest?

- Toyota chyba, 1

- Toyoty mniej kradną. Tak w ogóle to ci się wydało, że on chce, czy że nie chce? Bartek z wysiłkiem uściślił swoje wrażenia.

- Jeszcze inaczej. Zaciekało go niemożliwie, ale jakby się wystraszył. A on strachliwy nie jest. I dlatego mi nie gra. Było zimno i wilgotno, chociaż na szczęście bezwietrznie. W Pawełku zaczęło się lęgnąć zniecierpliwienie. Czekać w domu, przy kolacji, w liczonym towarzystwie i przy interesującej rozmowie, to zupełnie co innego, niż czekać tutaj, na mokrym zimnie, w kompletnym bezruchu, w

dodatku z irytującym i niezrozumiałym Wiesiem na głowie. Ile można...? Popatrzył na zegarek, wysuwając rękę zza ścianki śmietnika i obracając tarczę do światła latarni. - O rany, dopiero dwadzieścia minut! A oni mogą przylecieć o północy... Janeczka powiedziała mu natychmiast, że o żadnej północy mowy nie ma. Volkswagen związany jest ściśle z przyjęciem, przyjęcie zaczęło się wcześniej i wcześniej się skończy, jutro jest dzień powszedni. Złodzieje muszą zdażyć w trakcie, nie mogą ryzykować, że gość z volkswagenem wyjdzie i odjedzie. Janeczka jednakże znajdowała się na drugim końcu zagrożonego terenu i porozumienie z nią nie wchodziło w rachubę. Bartek poruszył się nagle gwałtownie, puknął go łokciem i zleciał ze skrzynki. Pawełek oderwał się od rozmyślań i spojrział. Jakiś człowiek obiegał budynek dookoła, nie było wiadomo, skąd się wziął, ale chyba wyszedł z którychś drzwi, bo był-bez palta i bez kurtki, z gołą głową, w samym garniturze. Podbiegł do zaparkowanego volks-wagena, akurat tego, który stał najbliżej, i zaczął gmerać kluczykiem w zamku. Pawełek i Bartek gapili się na niego w milczeniu. Bartek ostrożnie przeniósł się na drugą skrzynkę. - To właściciel - zawyrokował szeptem. - Wyleciał z tego przyjęcia. Coś mi się widzi, że to właśnie jemu mieli ukraść... Kilka minut wcześniej siedząca na stosie płyt chodnikowych Janeczka zauważyła podjeżdżający i parkujący samochód.-Polonez. Dojechał do końca i zaczął zawracać. Miejsca na zaparkowanie nie miał, możliwe, że stwierdził to i postanowił poszukać innego. Przyglądała mu się właściwie wyłącznie z nudów, bo poza tym nic się nie działo. Polonez zawrócił wreszcie, zatrzymał się i wyskoczył z niego pasażer. Przebiegł kilkanaście kroków, spotkał się z jakimś człowiekiem tuż przy ścianie budynku, wrócił po paru sekundach. Janeczka ujrzała, że niesie w ramionach jakąś odzież, prawdopodobnie kurtkę albo palto. Wsiadł z tym paltem i polonez odjechał natychmiast. Jeszcze przez chwilę patrzyła za nim bezmyślnie, a potem nagle zrozumiała. Poderwało ją z miejsca. - Chaber! - wyszczała przenikliwym szeptem i cichutko gwizdnęła. Trzy sekundy nie ruszało się nic, w czwartej pies zmaterializował się nagle pod jej nogami. - Piesku, sprawdź! - wyszeptala Janeczka z przejęciem. - Złodziej! Człowiek! Samochód...! Wiedziała, o co jej chodzi, ale w zdenerwowaniu nie umiała tego wytłumaczyć psu. Dokładnie miało to być tak, że jeśli teraz ktoś zacznie się pchać do jakiegoś samochodu, należy sprawdzić, czy jest to właściciel. Chaber rozróżni po zapachu, samochód jest przesiąknięty wonią właściciela, ktoś obcy rzuci się psu nie tyle w oczy, ile w nos. Wyjaśnić mu jakoś porządniej... Z daleka dostrzegła nagle niewyraźny ruch przy samochodzie, zaparkowanym w rzadku innych wzdłuż krawężnika. Pamiętała, że tam właśnie stoi najbardziej od niej oddalony volkswagen, ten, w pobliżu którego czatują Bartek i Pawełek. Zrezygnowała z dokładnych instrukcji. - Chaber, do Rafała! - wyszeptala rozkazująco. - Sprawdź złodzieja i do Rafała! Nie wiadomo, ile pies zrozumiał z tej wypowiedzi, ale jak zwykle uczynił, co należało. Pomknął za rzędem samochodów, zdażył dopaść wsiadającego człowieka, zanim ten zatrzaskał drzwiczki, zatrzymał się przy nim zaledwie na ułamek sekundy. Człowiek gmerał chwilę pod tablicą rozdzielczą, zapewne wyłączył alarm, następnie zapalił silnik, ruszył, wykręcił... Siedzący w małym fiacie Rafał zamyślił się i na przejeżdżającego tam i z powrotem poloneza w ogóle nie zwrócił uwagi. Na kolejny wyjeżdżający samochód również by nie spojrział, gdyby nie to, że o szybę przy jego twarzy puknęły nagle pazury i rozległo się krótkie alarmujące piśnięcie. Rafał wyprostował się gwałtownie. Ujrzał tył skręcającego w kierunku Gagarina volkswagena, a za nim, prawie na środku jezdni, Chabra. Pies stał nieruchomo i wystawiał zwierzybę. Rafał nie zwlekał ani sekundy. Przekręcił kluczyk i z piskiem opon ruszył za znikającym samochodem. Na dwie sekundy przedtem Pawełek dostrzegł Chabra. Nie zdołał sprecyzować żadnej myśli, ale w głowie zapłonęła mu jakby błyskawica. Wystartował lepiej niż odpalona rakietka, pokonał trawnik, wypadł na jezdnię tuż przed nosem skręcającego Rafała. Rafał przyhamował. Pawełek przewinał się wokół maski, skulony wpadł do małego fiata, waląc się na rączkę biegów. Rafał nie odezwał się ani słowem, odepchnął go zaledwie na tyle, żeby rączką biegów móc manewrować i znów ruszył, temu kłębowskiemu obok pozostawiając troskę o zamknięcie drzwiczek. Przed znieruchomiałym z wrażenia Bartkiem pojawili się najpierw Chaber, a zaraz potem Janeczka. - Więc jednak zgadł - pochwaliła z uznaniem. - Nie patrz tak na mnie, nikt się nie spodziewał, że to złodziej, tylko Chaber wiedział i pokazał. Dobrze, że

choć oni obaj zdążyli. Uważam, że trzeba zawiadomić porucznika, niech tu nie sterczy niepotrzebnie. Bartek poruszył się wreszcie. Był wstrząśnięty. Gwałtownie wybuchła w nim uraza i pretensja. Pawełek zdążył, a on nie, znów go ominą jakieś najpiękniejsze wydarzenia!

-Do bani takie... - zaczął gniewnie, ale Janeczka z góry wiedziała, co usłyszy.

- I tak wątpię, czy Rafał go dogoni - przerwała - Chyba że będzie mu zimno i gdzieś tam odbierze swoją kurtkę. Nie wiem, czy ten volkswagen grzeje od razu.

-Od razu nie - odparł Bartek mimo woli. - Jak był zimny, to trochę potrwa, zanim zacznie. No i znów...

- A ty myślałeś, że oni wszystko będą robić dla naszej przyjemności, tak? Ciesz się, że Chaber go wypatrzył. Idziemy. Piesku, szukaj porucznika! Gdzie porucznik?

Chaber był psem mądrym w stopniu rzeczywiście nadprzyrodzonym. Porucznik Wierzbiński nie był pierwszym porucznikiem, z jakim kazano mu się zapoznać i potem go szukać. Mimo iż słowo brzmiało tak samo jak w innych wypadkach, miejscach i okolicznościach, wiedział, o którego porucznika chodzi jego pani i od początku doskonale się orientował, gdzie on się znajduje. Bez chwili wahania skierował się ku niepozornej furgonetce, zaparkowanej po drugiej stronie ulicy. Bartek przełamał w sobie śmiertelną urazę, ujrzał bowiem, iż jest świadkiem wydarzeń acz innego rodzaju, to jednak nie mniej atrakcyjnych. Ten pies wydał mu się wręcz niezemski! Nic już nie mówiąc, wylazł spod koła i udał się za Janeczką.

Janeczka po krótkim namyśle popukała w tylne drzwi furgonetki.

- Panie poruczniku! - zawołała półgłosem. - Ten złodziej już uciekł! Koniec pułapki! Drzwi uchyliły się, porucznik wyskoczył na jezdnię z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. - Skąd wiedziałaś... - zaczął złym głosem i urwał. - A, pies. Rozumiem. Skąd wiesz, że złodziej uciekł?

- Też od psa - odparła Janeczka smętnie. -

Ukradł tego volkswagena. Miał doskonały pomysł, żeby udawać właściciela, w samym ubraniu, bez palta, ale ja przypadkiem widziałam, jak to palto, czy tam kurtkę, akurat zdejmował. I Chaber sprawdził, że to wcale nie właściciel, tylko obcy człowiek.

Porucznik milczał chwilę, bo musiał się opanować.

- Widziałem, jak pies coś wystawiał - powiedział, już spokojnie. - I przypuszczam, że mój pracownik widział to zdejmowanie palta. Przyznaję, że pies ma właściwsze skojarzenia i umysłowo nie sięgamy mu do pięt, nie mówiąc o węchu. Ale radiotelefon mam ja... - A numer? - zaniepokoiła się Janeczka. Porucznik popatrzył na nią tak, że nie pytała już o nic więcej. Pomanipulował przy urządzeniu, wywołał funkcjonariusza umieszczonego przy Gagarina i jego odpowiedź powtórzył wszystkim. -Pojechali w kierunku miasta. Niedobrze. No nic, tam też są radiowozy... - Lepiej niech pan jedzie za nimi osobiście - poradziła Janeczka. - Możliwe, że on będzie miał jakąś awarię, ten złodziej, może mu koło nawali, albo co. I wtedy złapie go pan prawie na gorącym uczynku. - Wolałbym, żeby mu nic nie nawaliło - odparł porucznik szczerze. - Wolałbym go dopilotować do jakiejś jego meliny, bo głowę daję, że tam będzie przebijał numery, i dopiero wtedy zyskam dowód, że ukradł. Teraz może nam wmawiać, że chciał się przejechać dla przyjemności. - Gorzej - poprawiła bezlitośnie Janeczka. - Może mówić, że przed chwilą żona dzwoniła, że coś się stało, jego dom się pali, albo ktoś z rodziny dostał apopleksji. Więc wsiadł w cokolwiek, a ten volkswagen był akurat otwarty...

Wyraźnie było słyhać, jak porucznik zgrzytnął zębami. Znów ujął radiotelefon.

- Podjedź tu - powiedział. - Polecimy za nimi.

- Czy my możemy też? - spytała Janeczka, za co Bartek był gotów paść jej do nóg.

- W żadnym wypadku - odparł porucznik ostro. - Mówiłem wam... To nie są żarty, ci złodzieje strzelają. Nie będę się czepiał, że tu w ogóle jesteście, bo całą sprawę załatwił wasz pies i ja to doceniam. Ale gdybym wziął ze sobą osoby postronne, w dodatku nieletnie, jutro wylatuję z pracy. Karnie. Zależy wam na tym? W milczeniu przeczekali na chodniku jeszcze kilka chwil, po których furgonetki, porucznika i przybyłego na jego wezwanie poloneza nie było już widać. Bartek otworzył usta--No i oczywiście balona...

- Czy ja coś mówię? - przerwała mu znów Janeczka z zimną wściekłością. - Wszyscy wyglądamy jak nie powiem co. Czy Chaber coś mówi? A kto tu w końcu ma największe zasługi? I w dodatku do domu musimy się dostać na piechotę, bo Rafał też przepadł. Możemy autobusem, ale chyba na gapę, bo bilety akurat miał przy sobie Pawełek. I nawet nie wzięłam portmonetki.

- Mam trochę szmalu. Na taksówkę wystarczy.

-To bardzo dobrze. Ale ja bym jeszcze poczekała.

-- Na CO?

Janeczka opanowała już wściekłość. Coś jej przyszło do głowy. W zadumie spojrzała w dal, a Bartek przyjrzał się jej z nagłym zainteresowaniem. - Tu stoją jeszcze dwa volkswageny - powiedziała. - A pułapki już nie ma. Co nam szkodzi popatrzeć? Na wszelki wypadek... - No pozwól! - błagał żarliwie Bartek w pół godziny później. - Pozwól, że ja! Niech też coś z tego mam, chociaż ten jeden raz! Dwóch młodych ludzi przy jednym z pozostałych volkswagenów usiłowało wyłączyć alarm. Otworzyli samochód prawie bez trudu i teraz obaj gmerali pod tablicą rozdzielczą, samochód zaś był przeraźliwie. - No dobrze - zezwoliła Janeczka łaskawie i szlachetnym gestem podała mu parasolkę. - Tylko prędko, póki nic nie słyszą. Pełen szczęścia Bartek, nie kryjąc się wcale, przebiegł spod muru budynku ku tyłowi wyjącego volkswagena i z zapalem wsparł się na parasolce. Syk prawego koła zginął w wyciu. W dwie sekundy później oczekująca w cieniu Janeczka odzyskała swoją własność. - I do czego te alarmy są im w końcu potrzebne - powiedziała z niechęcią. - Sam popatrz, wyje i wyje, i żywej duszy to nie obchodzi. Gdzie właściciel? Głuchy, czy umarł?

- Bo się włączają od byle czego i ludzie już się przyzwyczaili - odparł Bartek, zachwycony sytuacją. - Niedobre one są, to już wiadomo...

Na drugim piętrze z brzęknięciem otworzyło się nagle okno.

- Długo tak możecie?! - ryknął z góry męski głos. - W prawo, mówiłem! Na samym końcu, za popielniczką! W prawo przesunąć?

Wycie wreszcie umilkło. Dwóch młodych ludzi wyjęło głowy z samochodu, jeden spojrział ku górze.

- Dobra, tato! - wrzasnął. - Nie mogliśmy namacać !

Koło przestawało właśnie syczeć i już siedziało na obręczy. Bartek gwałtownie odzyskał przytomność umysłu.

- Nawiewamy! - rozkazał szeptem. - Rany kota, to ich.

- Tylko nie biegiem - ostrzegła Janeczka. - Idziemy zwyczajnie na spacer z psem: Chaber... Przy nodze!

Dla Chabra te dwa słowa były rozkazem ścisłym i konkretnym. Nadbiegł i ruszył spokojnie, dotykając nosem kolana swojej pani. Mógł tak przejść kulę ziemską dookoła. Wszyscy razem

wolnym krokiem podążyli ku ulicy Gagarina. Na samym rogu Janeczka zatrzymała się nagle.

- Po pierwsze, źle zrobiliśmy - powiedziała zdecydowanie. - Już się zastanowiłam!. Trzeba było chociaż posłuchać, co mówią.

- Mogę ci mniej więcej powiedzieć, co mówili - zaoferował się Bartek. - Parę razy w życiu takie różne słowa słyszałem. - Nie chodzi o słowa, tylko o treść - zgromiła go surowo Janeczka. - Co im się, na przykład, wydaje, że dlaczego to koło wysiadło. Czy im w ogóle przyjdzie do głowy cokolwiek na temat złodziei, czy całkiem nic. A po drugie, to tam stoi jeszcze trzeci volkswagen, trzeba przynajmniej popatrzeć, w jakim wieku. Ile kilometrów ma przejechanych. Kradną nowe, ten zaplanowany im przepadł... - Nie przepadł, przecież go ukradli.

-Ale już chyba wiedzą, że pożytku z niego nie będzie. Za to mają oczy w głowie i widzieli następną okazję. Albo może ukradnie go kto inny. W każdym razie wróciłabym. Na wszelki wypadek. - Od tych wszelkich wypadków to można małego rozumu dostać - zawyrokował Bartek, ale posłusznie zawrócił. Trzeci volkswagen nie był stary, mógł mieć najwyżej dwa lata, ale użytkowano go dość intensywnie, bo na liczniku widniało przeszło sto tysięcy kilometrów. Ustawiony został w najdalszym kącie parkingu, tak że niemożliwe było podjechać do niego ciężarówką. Janeczka zastanawiała się nad nim co najmniej dwie minuty. - No nie wiem -

powiedziała w końcu trochę niepewnie. - Nie możemy tu stać i pilnować przez całą noc. Jest zimno i strata czasu okropna.

- Sto jedenście tysięcy dwieście osiem - zauważył Bartek z powątpiewaniem. - Na ich miejscu bym dał spokój, chyba że cofną licznik.

- W ogóle na ten licznik nie spojrzą. Włamią się, przejadą przez chodnik, albo do tyłu, i do widzenia. Zabezpieczyłabym go na wszelki wypadek, a ten właściciel niech się cieszy, że go w dalszym ciągu ma. Zmienić koło, to nic takiego...

Bartek bez słowa wyciągnął rękę. Janeczka podała mu parasolkę. Po bardzo krótkim wahaniu oparł się na dwóch kołach. Jedno mogliby zmienić także złodzieje, a właściciel nadal powinien się cieszyć, bo wymiana dwóch kół w obliczu utraty samochodu stanowiła samą przyjemność.

Upojnie piękna operacja, zachwycające przebijanie syczących kół, dokonywane w szlachetnym celu i z korzyścią dla wszystkich, było rozrywką tak niebiańska, że Bartek prawie przestał żałować

odjazdu Rafała i Pawełka bez niego. Został, niech będzie, stracił coś tam, ale I za to zyskał tu...

- Wracamy taryfą? - zdecydował po męsku. - Taki cyrk to trzeba uczcić?

-Proszę bardzo - zgodziła się Janeczka

niecو uszczypliwie. - Szczególnie tego właściciela. Ciekawa jestem, co oni opowiedzą, Pawełek i Rafał, i co im się udało. Jak chcesz, możesz u nas poczekać, bo może wróca o jakiejś ludzkiej godzinie.

Mały fiat nie miał wielkich szans w konkurencji z nowym volkswagenem, ale na szczęście czerwone światła działały. - Pierwszy raz w życiu podoba mi się ta kretyńska sygnalizacja - powiedział Rafał z satysfakcją. - Żadnych zielonych fal, na hulajnodze można dogonić ferrari... - Za nim, albo obok! - syczał dziko Pawełek, ściskając w rękę swoją ciupagę. - Ja zdążę, jak Boga kocham...! - tona rzecz, że przy Bartyckiej zaczęli... Co zdążysz? Pawełek otworzył usta i zamknął je tak, że przygryzł sobie język. Nagle jasno pojał kłopotliwość sytuacji. Naganność metody, jaką obrali w walce ze złodziejami, uderzyła go niczym obuchem. Nie mógł tego przecież wyjawiać Rafałowi, nie wolno było przyznać się absolutnie nikomu, tymczasem tutaj był zmuszony dokonać wykroczenia w jego oczach! I jak, nic nie mówiąc, skłonić go do ustawienia malucha we właściwej pozycji...? Trudności wydawały się tak imponujące, że Pawełek poczuł się niemal dumny. To było coś, nie każdemu udaje się wrąbać w takie kłębowisko! W dodatku brakowało czasu na długie rozważania, działać należało błyskawicznie. Volkswagen pozwolił się dogonić, bo przy Bartyckiej jego kierowca zatrzymał się na moment i odebrał kurtkę z rąk czekającego współnika, potem przyhamowały go czerwone światła przy Łazienkowskiej, potem przy wjeździe na most Poniatowskiego. Gdzieś jednak może mieć odrobinę szczęścia, przeskoczyć na żółtych i wtedy już wszystko przypadnie... - Co cię obchodzi? - powiedział do Rafała przez zaciśnięte zęby. - Kochasz ich? -Kogo?! - zdumiał się Rafał

- Tych złodziei.

-Zwariowałaś? I tak z miłości ich ganiam...?!

-No to nie potrzebujesz wiedzieć... Znaczą, jak słowo piśniesz komu, w życiu się do ciebie nie odezwiemy! Ja to zaraz załatwię i co cię obchodzi jak! Celuj za nim, ale na pasie obok, i nie ma obawy, ja zdążę! Rafał nagle zrozumiał.

Zamierzone przedsięwzięcie wydało mu się nie naganne, a wielce interesujące. - Bym wolał, żebyś zdążył dwa - wyrwało mu się. - Oba tylne, będą mieli równo, a przy jednym może ich zarzucić. Szkoda wozu... -Nie wiem, czy dam radę...

Wymarzona okazja pojawiła się przy moście Syreny. Rafał puścił przed sobą mercedesa-tak-sówkę i zatrzymał się tuż za volkswagenem, na sąsiednim pasie.

Jego drzwiczki znajdowały się akurat obok tylnych kół ściganego pojazdu. Pawełek wyprysnął na zewnątrz skulony, prawie w kucki, i energicznie podparł się ciupagą. Chciał przemknąć na drugą stronę, ale już nadjeżdżał i oświetlał go następny samochód, światła zaś zmieniły się na zielone. Volkswagen ruszył, Pawełek padł na fotel obok Rafała. -No, to teraz już daleko nie zajadą -



mruknął, dając ujście jadowitej satysfakcji. Rafał kiwnął głową i też ruszył, z największym możliwym przyśpieszeniem, ale już znacznie spokojniej.

- Zastanowiłem się - powiedział. - Lepiej, że nie zdażyłeś drugiego. Jedno można uznać za przypadek, dwa byłyby podejrzanym. Co ona ma, ta ciupaga? - Jak to, co ma? - zdziwił się Pawełek. - Nic nie ma, skuwkę do podpierania i tyle. - To jak to zrobiłeś?

- Trzeba było patrzeć. Ja w ogóle nic nie zrobiłem. Chciałem wysiąść może, ale zmieniłem zamiar. Bo co? -Bo nic. Nie patrzyłem i nic nie widziałem, kręcisz mi się tu cały czas jak łajno w przeręblu, a ja zajęty jestem. Afera mnie ciekawi, ale z pytaniami poczekam, aż przyschnie Ciekawe, gdzie ich dogonimy... Nastąpiło to przy wyjeździe na Żoliborz.

- Cudo po prostu - opowiadał Pawełek już w domu, gdzie niecierpliwie czekali na wiadomości Janeczka i Bartek. - Pecha mieli, lewe koło im wysiadło. Na lewym pasie już byli i tam ich gliny dopadły. Myśmy stali za nimi, Rafał udawał, że się tak zaplatał i z grzeczności czeka, aż ruszą, ale o żadnym ruszaniu już mowy nie było. Więc nawet udawał, że im bardzo współczuje. Zaczęli to koło zmieniać i wtedy się porucznik przyplatał, nawet się zdziwiłem, skąd się wziął... - Miał przecucie - wyjaśniła uprzejmie Janeczka. - Takie jasnowidzenie, że coś im może nawalić, koło na przykład. Ale nie był zadowolony. - Nie był? - zdziwił się Pawełek. - Bo co?

- Bo mówił, że wolałby dojechać za nimi aż do meliny. Tego złodzieja będą musieli jutro wypuścić, bo on się udał tylko na przejażdżkę. - Skąd wiesz?

- Tak mówił. To znaczy, porucznik miał przecucie, że on tak będzie mówił. Tak się chciał przejechać, dla przyjemności, albo okropnie się śpieszył, bo dostał pilną wiadomość i złapał byle co, pierwsze, co mu pod rękę wpadło. -Coś takiego...! Fakt, właśnie tak mówił. Podobno sąsiad zadzwonił tam, gdzie on akurat był, i powiedział, że jego żonę, strasznie pijaną, jakiś obcy facet przyprowadził do domu. Więc się zdenerwował do niemożliwości i sam już nie wiedział, co robi... Pod uchylonymi drzwiami kuchni, gdzie Pawełek spożywał kolację, pani Krystyna i ciotka Monika popatrzyły na siebie. Z zapartym tchem podsłuchiwały bezwstydnie od samego początku, ale teraz im się urwało, bo na schodach ukazał się schodzący z góry Rafał. -Podobno deser jest u was... - zaczął. W tym momencie zadzwonił telefon. Pani Krystyna dla zachowania pozorów weszła do kuchni, ciotka Monika cofnęła się i podniosła słuchawkę. -Hej, proszę wszystkich! - zawołała gromko. - Porucznik Wierzbiński pyta, czy jeszcze nie śpimy i czy można wpaść na chwilę! Zaprosiłam go, ale w kuchni się chyba nie zmieści, więc może najważniejsze osoby przejdą do pokoju? - Woda się przed chwilą gotowała - powiedziała Janeczka, złażąc ze stołka. - Oni obaj niech jedzą ten deser do końca, bo inaczej nie będzie z nich żadnego pożytku. Wszyscy pójdziemy do pokoju i na pewno on się napije herbaty. Lepiej mu dać. -Nie mam nic przeciwko częstowaniu gości herbatą, ale dlaczego uważasz, że lepiej? - zainteresowała się pani Krystyna. Janeczka miała chwilowy przypływ lekkomyślności, z którego zbyt późno zdała sobie sprawę. - Bo wtedy zrobi się towarzyska atmosfera i głupio mu będzie kogoś z nas aresztować - wyjaśniła - A gdyby nie chciał pić, to będzie znaczyło, że jesteśmy podejrzeni. Więc w każdym wypadku dobrze, bo się coś wyjaśni. Pani Krystyna powstrzymała cisnące się jej na usta pytanie, dlaczego ktokolwiek z rodziny miałby być podejrzanym i aresztowanym, uświadomiła sobie bowiem, że chyba zna odpowiedź. Udało jej się opanować nerwowe drgnięcie wewnątrz. Porucznik bardzo chętnie przyjął zaproszenie na herbatę, z czego wynikało, że rodzina państwa Chabrowiczów nie jest źle widziana w oczach prawa. Co najmniej trzy pełnoletnie, odrobinę zaniepokojone osoby doznały dużej ulgi.

- Trochę za wcześnie to koło mu wysiadło - powiedział w przestrzeń, siadając przy stole. - Dla złodzieja wypadło szczęśliwie.

- A dla panów nie? - zmartwił się Pawełek.

-Dla nas wręcz przeciwnie.

-Już zrozumieliśmy, jak to jest z tym łapaniem na gorącym uczynku - wtrąciła się Janeczka. - I wiemy, o co chodzi z tą ich meliną.

Ona pewnie znajduje się na Żoliborzu. Może następnym razem jakoś do niej dojadą?

Porucznik przestał oglądać przestrzeń, rozciągającą się na etażerze z kwiatami w salonie państwa Chabrowiczów, i przeniósł wzrok na idealnie grzeczną, niebieskooką, jasnowłosą dziewczynkę, wpatrzoną w niego doskonale niewinnym i pełnym współczucia spojrzeniem. Na jego twarzy mignęło coś w rodzaju podziwu, a pani Krystynie, matce dziewczynki, zrobiło się jakby odrobinę niedobrze. Pawełek odchrząknął z lekkim zakłopotaniem.

- Te inne adresy - przypomniał zachęcająco. - Te Co to panowie od nas mają. Jeden na Żoliborzu pilnujemy i prawie modlimy się, żeby dojechał szczęśliwie.

- Aż żałuję, że to koło mu wysiadło. - Zmartwił się Pawełek. właśnie... Tak - odparł uprzejmie porucznik.

Jakiegoś pecha mają ostatnio do kół.

No, nie wszyscy...

- A kto nie? - spytał podejrzliwie Rafał.

- Ten polonez na przykład, z którego wysiadał wcześniej współnik, opiekujący się odzieżą. Stał przy Bartyckiej i okazuje się, że też był kradziony. Było szczęśliwie. Zgłoszenie sprzed dwóch dni. Również nie miał pecha, bo szans na odzyskanie nie widzimy żadnych i nie wiemy, gdzie garażuje. Nikt za nim nie pojechał, nasz błąd, ale naprawdę mamy za mało ludzi.

Siedzący w kącie, w najgłębszym milczeniu, Bartek aż się otrząsnął. Pomyślał, że te ich wszystkie zamiary mają wielki sens. Rozszerzyć zakres działania, dokooptować współników, zorganizować całą akcję... Gdyby w ogóle zdążył skoczyć za Pawełkiem, gdyby też z nimi pojechał, mógłby ewentualnie zająć się polonezem... Z drugiej jednakże strony nie dysponował jeszcze odpowiednim narzędziem, a piechotą za sprawnym samochodem przecież by nie leciał... Postanowił rzetelnie przycisnąć Wiesia i cały jutrzejszy dzień poświęcić nodze od stołu...

- Oni naprawdę strzelają? - spytała nagle pani Krystyna. Cała rodzina drgnęła silnie i utkwiała w niej wzrok, w którym pojawiła się rozmaita ilość zgrozy. Porucznik zachował spokój. - Owszem - potwierdził - Niekiedy zdarza się, że kradzieże są połączone z rozbojem. Bywa czasem tak, że właściciel samochodu zostaje wywleczony przemocą i samochód odjeżdża, albo kierowca wysiada dobrowolnie, bo złodzieje grożą pistoletem - Ruska mafia - podsunął Rafał. Porucznik znów się zgodził - Owszem. Duża ilość przestępców wjechała w nasze granice. Na szczęście rozbój z bronią w rękę, a także nielegalne posiadanie broni są traktowane odrobinę sensowniej niż przejażdżki samochodem i tych przestępców JUŻ się tak łatwo nie wypuszcza. Za to stanowią większe zagrożenie i powodują, że ten proceder staje się coraz bardziej niebezpieczny. Janeczka nagle zrozumiała. Zgadła, dlaczego porucznik opowiada to wszystko przy tak licznych świadkach. Ma nadzieję, że własna rodzina powstrzyma dzieci od ryzykownych wybryków. Można powiedzieć, że podstępnie usiłuje związać im ręce i nogi - Tym bardziej potrzebna jest panu pomoc społeczeństwa - zwróciła mu uwagę potępiająco i z wielką naganą - W ogóle nie wiem, co by pan zrobił dzisiaj bez naszego psa. Porucznik obejrzał się na zwiniętego w kłębek Chabra, śpiącego na dywanie pod telewizorem. Z żalem pomyślał, że trzech takich pomocników bardzo ułatwiłoby całą robotę. Niestety, nie było szans na używanie psa bez jego pani i pana - To się zgadza - przyświadczył wzdychając - Wyświadczył nam wielką przysługę, bo ci złodzieje w ogóle nie zorientowali się, że była pułapka. Już po dzisiejszym wieczorze powinien dostać medal, albo kilo kiełbasy. Gdyby jeszcze potrafił wyjaśnić mi tę zagadkę - Jaka zagadkę? - zaciekawiła się ciotka Monika. - Zagadkę tych kół. Trzeci raz złodziejom nie udaje się kradzież, bo nagle wysiadły koła. W ciągu ostatnich trzech dni. Interesuje mnie to ogromnie. Popatrzył na wszystkich dookoła pytająco i z wyraźną nadzieją. Siedząca wokół stołu rodzina, ta dorosła, milczała, przyglądając mu się wzajemnie z wielkim zaciekawieniem. Janeczka i Pawełek zadumany wzrokiem wpatrywali się w okno, Rafał w szalonym skupieniu wylawiał jakiś paproch z herbaty. Bartek w kącie zrobił się prawie niewidoczny. Cisza panowała przytłaczająca. Porucznik westchnął ciężko.

- Jest to zjawisko równie, w gruncie rzeczy, użyteczne, jak niezrozumiałe - odezwał się wreszcie - Sprawdzaliśmy jezdnie, niczym szkodliwym nie były wysypane. Naprawdę nie mógłbym się tutaj dowiedzieć czegoś na ten temat.

Rafał pozwolił sobie na wzruszenie ramionami. Dziadek pyknął z fajki. Pania Krystynę korciło straszliwie, żeby popatrzeć na dzieci, ale nie odważyła się, na wszelki wypadek. Odpowiedział w końcu wujek Andrzej. - Kiedyś na odcinku dwustu metrów na pustej szosie przebiłem sobie trzy koła - oznajmił. - Dwa, rzecz jasna, klejone. Też patrzyłem i nic nie było. Przypadki zdarzają się najdziwniejsze na świecie. Na waszym miejscu byłbym po prostu bardzo zadowolony. - My bywamy nawet uszczęśliwieni, niemniej jednak osobiście wolałbym to wyjaśnić. Bo możliwe, że takim znakomitym przypadkiem w odpowiednich sytuacjach można by było dopomagać...? Pawełek poczuł jakby dziabnięcie ostrogą. Utrzymywane w straszliwym sekrecie wykroczenie zyskało nagle szansę przeistoczenia się w czyn słuszny i godziwy! Już otworzył usta, żeby gorąco przyświadczyć, ale powstrzymało go gwałtowne kopnięcie w kostkę. Janeczka odgadła, że porucznik stosuje tu perfidny podstęp. - Jeżeli pan sobie życzy, spróbujemy się tym zająć - zaproponowała uczynnie, co spowodowało nerwowe wzdrygnięcie się co najmniej trzech osób. Porucznik zaniepokoił się wyraźnie. - Nie nie, broń Boże! - zaprotestował z zakłopotaniem. - Mówiłem przecież i powtarzam, że macie się w to nie wdawać! Myślałem tylko...myślałem, że ktoś z państwa przypadkiem coś wie... No nic, zastosujemy inne metody. Jest późno, przepraszam za tę wizytę... -Wygłupiłam się i teraz to już wyraźnie widzę - powiedziała Janeczka ponurym szeptem. - Podejrzenia porucznika to jest nic i można je pod tramwaj podłożyć, ale z matką nie będzie dobrze. - Fakt - przyświadczył Pawełek szeptem niespokojnym. - Zacznie nas trzymać przy sobie, o rany. Albo znów coś każe obiecać. Myślisz, że naprawdę mogła zgadnąć? - Nie wiem. Boję się, że tak. - To co robimy? - Już mówiłam. Musi z nas wyjść jakaś taka okropna anielskość, żeby ich aż zemdliło. Przypomnij sobie, co ojciec najwięcej lubił, jak jeszcze był w domu. - No jak to? Nie pamiętasz? To takie coś, czego matka nie chciała robić, bo mówiła, że od tego można zwariować i ona nie ma tyle czasu... -A...! Już wiem. Różne mięso i kawałki kaczki, i utarte jarzyny, i ser, i coś tam jeszcze i wszystko razem zwinięte w coś. Jakby pyzy. Prawie pierogi, ale o wiele bardziej skomplikowane. To też chińska potrawa. Bardzo dobrze, nauczymy się robić tę chińską potrawę. Niech będzie nawet kilka chińskich potraw. W porządku, to już wiem, mamy z głowy. - Fajnie! - ucieszył się Pawełek, ciągle szeptem, i przestawił myśl na inne kwestie. - Ciekaw jestem, jak oni sobie dadzą radę bez nas na Żoliborzu i na Bonifacego. - Nie zajmuj się teraz Żoliborzem i Bonifacym, bo tu jest gorsza sprawa - zgromiła go siostra. - Ten pan Wolski do grobu mnie wpędzi. Albo się dowiem, co on robi, albo będę ciężko chora. Czekali pod domem pana Wolskiego, wśród zakamarków podwórza, ukryci w najciemniejszym miejscu. Od strony ulicy pilnował Chaber. Pana Wolskiego znał już doskonale, bardzo długo bowiem węszył pod jego drzwiami i zapamiętywał woń. Wiadomo było, że przybiegnie natychmiast, kiedy tylko pan Wolski opuści mieszkanie. A tu, na tym podwórzu, znów mogli się spotkać złoczyńcy i należało obejrzeć ich, i podsłuchać osobiście. Niewidoczni w głębokim mroku, na wszelki wypadek rozmawiali szeptem. -Bo pora roku jest niedobra - zaopiniował Pawełek. - W lecie, albo niechby na wiosnę, można na rowerze, można na wrotkach... Nikt mi nie powie, że nie dogonię autobusu, szczególnie w godzinach szczytu. - Już się skończyły godziny szczytu. - Poza tym, jest zima. Całe miasto by zwróciło uwagę. Czyste błogosławieństwo, ten pies, wiemy, że siedzi w domu, ale może tak siedzieć aż do jutra... - Jest! - przerwała mu gwałtownym szeptem Janeczka i zerwała się ze skrzynki. - Tamtędy wyszedł! W drzwiach budynku dostrzegła psa. Chaber niepojętym sposobem wiedział, że jego pani już go widzi, ukazał się tylko na chwilę, zakręcił i skoczył z powrotem do sieni. Popędzili za nim. Pan Wolski już się zbliżał do Puławskiej. Szedł spokojnie z tym swoim parasolem w rękę i znów skręcił w prawo. Nie oglądał wystaw, za to wszedł do parku Dreszera. - Co za okropny człowiek! - zirytowała się Janeczka. - Ciągłe robi nie to, czego się po nim można spodziewać! Przy takiej pogodzie poszedł na spacer? -Może tylko przechodzi na durch...? Pan Wolski nagle usiadł na jednej z ławek, słabo widocznej w cieniu drzewa. Siedział nieruchomo, pilnowany przez psa. Janeczka i Pawełek pozostali na ulicy. Zajęli się oglądaniem ze wszystkich stron kiosku Ruchu i mogliby już niemal zrobić

remanent, kiedy dopadł ich Chaber. - No! - sapnął Pawełek. - Ruszyło go. A już myślałem, że tak doczeka zapalenia płuc... Pan Wolski zrobił to samo, co poprzednim razem. Zatrzymał się obok przystanku i zaczął oglądać sklep z butami. Pośpiesznie uzgodnili sposoby działania.

- Wsiądziesz za nim, może zdążysz - zarządziła Janeczka. - Wsiądziesz tam, gdzie i on, a my przyjedziemy następnym autobusem. Potem Chaber go znajdzie.

- A dlaczego nie możemy wsiadać z nim wszyscy?

- Bo zauważy. Dwie osoby z psem to zupełnie co innego niż jedna bez psa. I potem już będzie się pilnował do nieprzytomności.

-Najgorsze, że nie wiemy, jaki to będzie autobus...

- Idź tam od razu i udawaj, że też coś oglądasz. A ja mogę spacerować oddzielnie. Wsiadę, jeśli zdążę, jako obca osoba... Pan Wolski wsiadł do autobusu tak nagle, że Pawełka omal drzwi nie przytrzasnęły. Janeczka, przechadzająca się w pewnym oddaleniu, nawet nie zdołała się odwrócić. O odjeździe brata zawiadomił ją pies.

- Doskonale - powiedziała do Chabra. -

Kochany, dobry piesek. Możemy już czekać na następny autobus normalnie, na przystanku, jak ludzie...

Pawełek znalazł się aż przy Wałbrzyskiej. Znów

wiedział o nim Chaber, bo Janeczka nie dostrzegła brata, ukrytego w cieniu, za stojącą tam budką. Powiadomiona przez psa, wysiadła bez problemów. - No i czego się chowasz? - spytała z

wyrzutem. - Żeby nie Chaber...

- W nałóg mi weszło - odparł Pawełek ponuro. - Tu wysiadł i wsiadł w sto czterdzieści jeden. W tamtą stronę. Popatrzył na mnie, znaczy, wcale nie popatrzył, tylko tak jakoś zawadził o mnie oczami. Więc na wszelki wypadek stałem jak pień i widać było wyraźnie, że w nic nie wsiadę co najmniej do końca życia. Niech sobie nie myśli. A potem, na wszelki wypadek, wołałem, żeby mnie widać nie było, a wiedziałem, że on mnie wywęszy. Chaber, znaczy.

-No dobrze - zgodziła się Janeczka. -

Wsiadamy też i wysiadamy na każdym przystanku.

-Może chociaż pierwszy możemy sobie darować?

- W żadnym wypadku! Właśnie mógł przejechać tylko jeden przystanek, specjalnie, dla niepoznaki. A jeśli cię podejrzewał i chciał zmacić, mógł wsiąść w ogóle w co innego, niż mu potrzebne, i zaraz się przesiadać.

- No to od razu mogę ci powiedzieć, że powysiadamy tak przez dwa dni. To sto czterdzieści jeden rzadko jeździ. -

Wszystko rzadko jeździ. Będziemy wsiadali

w cokolwiek, byle w odpowiednią stronę...

Przepowiednia Pawełka nie sprawdziła się, cała podróż potrwała zaledwie godzinę i dwadzieścia minut. Chaber był psem inteligentnym, o nieobecności pana Wolskiego na kolejnych przystankach informował od razu i można było łapać następny autobus. Wreszcie pojawiło się miejsce, gdzie pan Wolski był.

-Nareszcie! - wykrzyknęła Janeczka triumfująco, aczkolwiek głosem przytłumionym na wszelki wypadek. - Tu wysiadł! Dalej polazł piechotą. Gdzie jesteście? Zajęci penetracją przystanków, nie zwracali dotychczas uwagi na przemierzaną trasę i dopiero teraz się rozejrzeli. Pawełek gwizdnał znacząco. -Ejże! Bonifacego...!

Chaber zdecydowanie prowadził w dalszy ciąg ulicy, od Sobieskiego ku Wiśle.

Janeczka poczuła piknięcie emocji. Tu właśnie miał stać kolejny samochód, wytypowany do kradzieży, i w tę stronę kierował się tajemniczy pan Wolski ze swoim specjalnie spreparowanym parasolem. Niemożliwe, żeby nie miało to ze sobą jakiegoś związku! Dokąd udał się poprzednim razem, nie było wiadomo, ruszył w tym samym kierunku, ale to nie świadczyło o niczym, w połowie drogi mógł zmienić trasę. Może za każdym razem udaje się na miejsce przestępstwa i może na przykład wczoraj krył się gdzieś w okolicy Podchorążych...? - Okropnie podejrzane - wymamrotała nieufnie pod nosem.

- Co mówisz? - nie dosłyszał Pawełek.

- Mówię, że to podejrzane. Mówię, że przychodzi mi do głowy, że on może pilnuje... Należy do szajki, a ten parasol ma... to znaczy, używa go... do zatrzymania pościgu...

- Ale w poprzednich miejscach go nie było!

I nie zatrzymał Rafała, a to myśmy byli pościg! I pod naszym domem też go nie było! - Skąd wiesz? Nie pytaliśmy Chabra. Ale ja się wcale nie upieram, tylko tak mi się płacze po głowie... -Dobra, zobaczymy, co tutaj będzie... Chaber prowadził pewnie i szybko, bez wahania skręcił wkrótce na jakieś podwórze za jakimś budynkiem. Przejazd był tam ciasny. Brama wprowadzie miała normalne rozmiary, ale zaraz za nią leżały potężne rury, ułożone tak, że zagraadzały drogę. Pawełek odsapnął i przyjrzał się temu z uwagą. - TIR-em nie wjadą - ocenił. - Choćby pękli. Chyba żeby rozwalili ten drugi słup. Przed sobą, w głębi podwórza, usłyszeli jakieś głosy. Zupełnie ciemno nie było, bo miasto zawsze świeci, blask padał z okien i lamp nad drzwiami, ale jasne plamy układały się nierównomiernie, a pomiędzy nimi panował mrok. Chaber wiedział już wszystko i nie musiał iść wprost po śladach. Przemknął okrężną drogą, kryjąc się w cieniu, aż doprowadził dokładnie tam, gdzie trzech ludzi awanturowało się i pomstowało, zmieniając koło w samochodzie. Nie podchodzili do nich, cofnęli się ku budynkowi i zatrzymali w ciemności za wielkim świerkiem, rosnącym prawie przed drzwiami wyjściowymi. -Primo, pan Wolski tu był - sprecyzowała sytuację Janeczka. - Po drugie, nic nie rozumiem.

Patrz, volkswagen stoi normalnie, a koło zmieniają w tym obok. Co to jest? - Na moje oko, audi - odparł Pawełek.

- No więc właśnie. Mowa była o volkswa-genie i zgadza się, jest. Tymczasem audi ma załatwione... ile? Dwa czy trzy? - Na moje oko, trzy.

- No więc owszem, nikt nie ukradnie volks-wagena, jeżeli obok kotłuje się cały tłum przy tym audi, ale wcale nie wiem, czy audi nie goniłoby ukradzionego volkswagena. Rozumiesz, to, co mi przyszło do głowy, unieszkodliwił pościg. - Całkiem wydaje mi się to możliwe - przyznał Pawełek. - Poza tym, nikt się tu nie będzie barłóżył przez całą noc, jeszcze może zdażą zawieźć dzisiaj dwa do wulkanizacji, ale trzecie dopiero jutro. W nocy pójda spać. - Toteż właśnie. Pawełek zastanawiał się przez chwilę.

- O nie, tego to ja tak nie zostawię - rzekł stanowczo. - Volkswagen też łatwo nie odjedzie...

- Ale tu gdzieś powinna być policja -- przerwała Janeczka z lekkim niepokojem. - Dopiero teraz mi się przypomniało. Możliwe, że nas widzieli. - No i bardzo dobrze.

- Jakie dobrze? Masz źle w głowie.

-Jeśli nas widzą, już wiedzą, że jak te koła siadały, nas nie było. Przyszliśmy dopiero teraz, już po wszystkim. Znaczy, te koła, to nie my; Co, nie składa się dobrze? Janeczka kiwnęła głową.

- No owszem, rzeczywiście. Po trzecie, pana Wolskiego już nie ma. Chaber mówi, że poszedł dalej. Zaraz, piesku, chwileczkę, zaraz tam pójdziemy... Ale wobec tego musisz się postarać o volkswagena tak, żeby tego nikt nie zobaczył - Za głupiego mnie masz? - obraził się Pawełek. - Ale przednie - dodał z nagłym niepokojem. - Tylnych nie dam rady. Czekaaj, oba przednie, niech mają równo. Bardzo liczę na to, że to powietrze zejdzie im, zanim się zdażą dobrze rozpędzić, bo katastrof to ja na razie nie mam w planach. Oderwał się nagle od boku Janeczki i znikł w mroku. Przez chwilę Janeczka widziała go obok zmieniających koło ludzi, przyglądał się im ciekawie, po czym znikł jej z oczu i po pół minucie znów zmaterializował się obok. -No...?

- No to teraz nawiewamy. Cud świata ta ciupaga, weszła jak w margarynę i nic, nawet szmeru. Już nas nie ma. - Prowadź, piesku - powiedziała Janeczka, znalazłszy się na ulicy. Chaber poprowadził kawałek dalej, przebiegł na drugą stronę jezdni i zakończył zabawę na przystanku autobusowym. - -Sto siedemdziesiąt dwa tędy jeździ - przeczytał Pawełek.- No to jesteśmy w domu wyszedł Odwalił robotę, wsiadł i spokojnie wrócił.

- Wobec tego też wsiadamy i sprawdzimy, czy wrócił. Przez całą drogę Janeczka toczyła rozważania.

- Właściwie nie wiem, co się okaże, bo myślałam, że teraz powinien pojechać na Żoliborz. Chociaż ten na Żoliborzu stoi w garażu i muszą tan zrobić

włamanie, więc to jest co innego. Nie wie, że my wiemy, bo by wiedział, że wie policja. Ciekawe, czy go tam widzieli i czy porucznik ma jakieś podejrzenia. I w ogóle dziwię się, że komuś zmieniali koła tam, a nie gdzieś na drodze, bo Bartek mówił, że pan Wolski ma w parasolu takie cieńsze. Nic mu nie syczy... skręcił - Owszem, zaczęli odjeżdżać - przerwał Pawełek. - Przecież widziałas, jak on stał. Wcale nie zaparkowany, tylko cofnięty niezły kawałek, więc widocznie ruszyli i od razu poczuli, że jest w nim coś nie tak. Obejrzeli te koła... Możliwe, że próbowali pompować.

- NO dobrze, więc to się zgadza. I teraz nie wiem, co zrobić. Chcę wiedzieć, co sobie myśli policja i chcę wiedzieć, co robi pan Wolski. Jak to załatwić, żeby się do niego przyczepić jak pijawka, bo całą dobę na okrągło, to nie da rady... Kłopoty z panem Wolskim wcale nie uległy zakończeniu. Wsiadł z autobusu, wszedł do swojego domu, przeszedł przez sieni i natychmiast wyszedł drugą stroną. Zawiadomił o tym Chaber. Pobiegli za nim, przedostali się przez podwórze i przez następny budynek wybiegli na Racławicką. Chaber popędził ku Puławskiej. Kiedy w galopie dotarli do rogu ulicy, pan Wolski zniknął JUŻ, oddalając się w kierunku północnym. - Rany, co za facet - sapnęła gniewnie Pawełek - Lata Jak z pieprzem. Jeżeli znów w coś wsiądzie - I dużo byśmy wiedzieli bez psa - odsapnęła Janeczka.

Pan Wolski tym razem nie posługiwał się komunikacją miejską. Krokiem tak szybkim, że prawie zmusił ich do ciągłego biegu, podążył aż za skwer Morskie Oko, przed Dworską nagle skręcił i przy ostatnim budynku nad skarpią znikł w głębi dziedzińca. Nie odnaleźliby go bez pomocy Chabra, ale pies nie miał najmniejszych wątpliwości. Kryjąc się za budynkiem, dostrzegli w mroku sylwetkę przeciwnika. Pan Wolski całkowicie przestał się spieszyć, powoli spacerował wzdłuż zaparkowanych samochodów, zatrzymywał się, przechodził pomiędzy nimi, po czym nagle zrezygnował z tego spaceru, wyszedł na ulicę Dworską i podążył ku Puławskiej - To Jest Jakiś taki, przez którego można zwariować - stwierdził z gniewem Pawełek - Całą noc tak będzie latał? Dziewięta dochodzi i matka nas zabije. Janeczka milczała, skupiona i czujna. Pan Wolski zachowywał się zagadkowo i tę zagadkę musiała rozwiązać. Inaczej, czuła to wyraźnie, groziło jej pęknięcie, albo inna ciężka dolegliwość. Mnóstwo pomysłów przychodziło Jej do głowy. Pan Wolski uspokoił się wreszcie, zakończył swoje osobliwe przechadzki i wrócił do domu. Pawełek również chciał wracać do domu, ale Janeczka uparła się przemierzyć ponownie całą przebytą przed chwilą trasę. Do domu wysłała Chabra - Idź, piesku, do mamusi - poleciała. - Powiedz, że zaraz wracamy. - Skąd wiesz, że nie będzie nam potrzebny? - zaprotestował niepewnie Pawełek. - Mamy oczy w głowie i musimy tylko obejrzeć te samochody, przy których on się plątał. Nic więcej. I też wracamy, a w razie gdyby trzeba było śledzić go w nocy, załatwimy to dyplomatycznie. - Jak dyplomatycznie?

- Wyjdziemy oknem i przez dziurę, jak już wszyscy pójdą spać.. Kiedy natknęli się wreszcie na samochód, którego wszystkie cztery koła wyraźnie zaczynały mięknąć, Janeczka wydała z siebie triumfujące pufnięcie, a Pawełek popatrzył na siostrę ze zdecydowanym podziwem. Mógł sobie pozwolić, bo w mroku nie było widać jego wyrazu twarzy. - No...? - spytał z zainteresowaniem. Janeczka energicznym krokiem ruszyła w stronę domu.

- Przede wszystkim zapisałam numer i rób sobie, co chcesz, ale musimy się dowiedzieć, kto jest właścicielem. Naprawdę, a nie na niby. Tak podejrzewałam w ogóle. Ten pan Wolski coś robi.. - Nawet widać co - mruknął Pawełek. - Maniacko przebija opony. - I uważasz, że dlaczego? Bo ma takie hobby? Ja chcę wiedzieć, o co mu chodzi. Już myślałam, że prawie wiem, ale okazuje się, że nie całkiem. No dobrze, lecimy do domu, a potem będziemy myśleć. Pani Krystyna zaczynała już być zdenerwowana nieobecnością dzieci, kiedy pojawił się pies Machał ogonem i okazywał wyraźne rozradowanie, wiedziała zatem, że przysłali go jako forpoczty, żeby wcześniej zawiadomić o swoim powrocie. Poczekwała spokojnie. - Dzieci, nie chcę się czepiać... - zaczęła, kiedy szczęknęły drzwi i jej dzieci wtargnęły do holu. - Wiemy - przerwała od razu Janeczka. - Dlatego przysłaliśmy Chabra. Staraliśmy się z całej siły nie wracać późno wieczorem, ale czasem się może zdarzyć. - I już nawet nie wstąpiliśmy do Bartka - dodał Pawełek z wyrzutem. - Czy wizyta u Bartka jest obowiązkowa? - spytała pani Krystyna, odrobinę zdezorientowana.

- problemy Mamy z nim rozmaite. w ogóle sama wiesz - że spoczywają na nas dodatkowe obowiązki - podjęła Janeczka - żeby nie my, JUŻ byś nie miała samochodu.

- Wasz ojciec wcale by się tym nie przejął. OJCiec kupił nowy samochód - wyznała

- Właśnie - dostałam list Volvo

- Volvo? - zastanowił się Pawełek zdejmując buty - Volvo nie kradną.

- No, może - Nie - zgodziła się Jego matka - Tak To znaczy, nie wiem Ale istotnie, wolałabym, żeby go nie ukradli. Janeczka zdjęła kurtkę i uporała się wreszcie z jej wieszaniem - I co-? - zainteresowała się - Zostanie z tym volvem w Algierii Jeszcze prawie przez półtora roku? Przecież sam mówił, że bez sensu Jest mieć tam porządny samochód, bo pył pustynny wszystko zniszczy -Nie -- odparła pani Krystyna - Ojciec wraca wcześniej, Arabowie zrywają kontrakty Ale Płacą odszkodowanie, a w ogóle OJCIEC przyjeżdża na święta Przyprowadzi to volvo i zostawi, a potem wróci w marcu na zawsze.

- Z odszkodowaniem? - upewnił się Pawełek

- Podobno tak Myślałam przedtem, że pojedziemy do niego i razem wrócimy przez Europę, ale w tej sytuacji to nie ma sensu W każdym razie nowe volvo stanowi czysty zysk Janeczka zatrzymała się w drzwiach kuchni i popatrzyła na matkę z głęboką naganą - I ty byś chciała, żeby Je od razu ukradli? - spytała potępiająco - Jeszcze fiata, jeszcze używanego volkswagena, ale nowe volvo? Nasze własne"? Pani Krystyna wydawała się nieco stropiona

- A czy muszą je od razu ukraść? Już się czają? I w ogóle uważasz, że co możemy zrobić? - Zlikwidować szajkę złodziei samochodowych - odpowiedział Pawełek energicznie i przepchnął się do kuchni - Głodny jestem Czy to coś w garnku jest do jedzenia? - Nie, to na jutrzejszy obiad - odparła pani Krystyna, również wchodząc do kuchni - Dzieci, na litość boską, może jednak tę szajkę likwidowałaby raczej policja ? Słusznie zaczęłam mieć obawy Kategorycznie zabraniam wam mieszać się w takie rzeczy Orientuję się, że zdobywacie skądś różne przedziwne wiadomości i proszę bardzo, tymi wiadomościami policję możecie uszczęśliwić. Ale na tym koniec

Janeczka wypatrzyła produkty kolacyjne, kanapki z wędliną i sałatkę z cykorii. Ustawiła to na stole. Zdenerwowana pani Krystyna zapaliła gaz pod czajnikiem. Pawełek rozłożył serwetki śniadaniowe. - Z talerzami nie będziemy się wygłupiać - oznajmił stanowczo. - Za dużo potem tego zmywania. Janeczka zdołała odzyskać zachwianą na chwilę równowagę. Wyraźny zakaz matki bruździł straszliwie i okropnie im wchodził w paradę. Należało jakoś zmiękczyć to twarde stawianie sprawy. -My im tylko troszeczkę pomagamy - powiedziała uspokajająco. - Zresztą wcale nie my, tylko Chaber. Wywęszy co trzeba, powiemy o tym policji i oni już resztę zrobią, a my się trzymamy z daleka. Nikt nas nie widzi i w ogóle sama wiesz, że na żadne niebezpieczeństwo nie zamierzamy się narażać. -I o jednym takim podejrzanym też już coś wiemy - wyrwało się Pawełkowi trochę niewyraźnie, bo nie zwlekał z jedzeniem. - Doniesiemy glinom. Janeczka nie zdołała go kopnąć, ponieważ ulokowała się po drugiej stronie długiego stołu i nie sięgała nogą tak daleko. Była zdania, że pan Wolski należy do nich i nie powinno się jeszcze o nim opowiadać. Skoro jednak Pawełek zaczął, musiała ratować sytuację. - Taki jeden pan - powiedziała, zanim pani Krystyna zdążyła zadać pytanie. - Płacze się koło tych kradzionych samochodów, widzieliśmy go na własne oczy i Chaber go rozpoznał. Jeszcze nie wiemy, czy należy do szajki, ale na wszelki wypadek... - Tak - przerwała jej matka stanowczo. - Na wszelki wypadek wszystkie spostrzeżenia macie zgłaszać porucznikowi. Zostawił swój prywatny numer telefonu, bardzo o to prosił i ja się zgadzam na wasz udział w tej okropnej aferze, ale pod warunkiem, że tak właśnie będzie wyglądał. Nic nie zrobicie sami, tylko zawiadomicie go o wszystkim. Macie mi to obiecać uroczyście. Jej dzieci przez chwilę jadły tak, jakby od miesiąca nie miały nic w ustach. Takiej obietnicy nie wolno było składać bezmyślnie w żadnym wypadku. Musiała zostać jakoś złagodzona, albo sformułowana bardziej dyplomatycznie, tak, żeby został margines pewnej swobody. Już i tak podjęte wcześniej zobowiązania i obietnice, złożone ojcu, w jakimś stopniu zatruwały im życie i rzucały kłody pod nogi na pięknej drodze rozmachu; jeśli teraz poprzysięgną matce nic nie robić sami, egzystencja przeistoczy się w najprawdziwszą niewolę... Pani Krystyna ze straszną wyrazistością widziała, że jej dzieci coś knują, całej prawdy

jednakże odgadnąć nie zdołała. Pomyślała, że bez kompromisu tu się nie obejdzie i złagodziła swoje żądania.

- Wycofuję - powiedziała sucho - Wystarczy mi obietnica, że powstrzymacie się od bezpośredniego kontaktu z sżaką złodziei i nie będziecie próbowali nikogo łapać oraz wszelkie informacje Przekazywać porucznikowi

Janeczka zastanowiła się JUŻ w trakcie wyPowiedzi matki Owszem, to mogli obiecać najuroczyścieJ w świecie, żadnych bezpośrednich kontaktów ze złodziejami nie mieli w planach zamierzony i JUŻ stosowany kontakt był wątpliwie pośredni, a łapanie jakiś bandziorów gołymi rękami w ogóle nie wchodziło w rachubę Zasadniczego punktu programu matka, na szczęście, nie dotknęła Pan Wolski wprowadzie wymykał się z rąk, ale tylko częściowo Nawet stu poruczników nie zdołałoby zastąpić Chabra - W porządku - powiedziała, przełknawszy wielki kęs kanapki - To możemy obiecać. Zatrzymała się uczciwie czekaJąc na Pawełka, bo matka znała ich metody i wiedziała co oznaczało milczenie Pawełek kiwnął głową -Dobra, obiecujemy - mruknął niechętnie

-Porucznikowi powiemy wszystko - podjęła

Janeczka - Ale czy on nam też coś powie? Chcemy wiedzieć. - powie powie - zapewniła pani Krystyna, która przez ten czas uświadomiła sobie Jak cenna w tej całej sprawie może być dla niej Pomoc policJi - co chcecie wiedzieć - - chcemy wiedzieć, ukradli, czy nie I tak dalej.

Mnóstwo rzeczy. Nie mogę ci wszystkiego wyliczać przy Jedzeniu Na ten temat uzyskacie napewno. Pani Krystyna spojrzała na zegar kuchenny - Może dziś JUŻ jest trochę za późno, za kwadrans dziesiąta - ale mówił, że mogę do niego zadzwonić -Przed dziesiątą.

- To jeszcze wcześniej - sprostowała Janeczka - Dzwonimy. - zaraz Zerwała się od stołu, wybiegła do holu i wzieua słuchawkę telefoniczną. Numer porucznika był na leżącym obok telefonu notesie, zaczęła go wykręcać. Pani Krystyna jej nie Powstrzymywała. Porucznik wyraził się, że w nagłych wypadkach można dzwonić aż do północy. matka, z dwojga złego wolała znęcać się nad porucznikiem niż narażać własne dzieci. słysząc, że siostra zyskała połączenie, Pawełek poderwał się od kuchni z ostatnią kamapką w rękę.

-I co? - spytała Janeczka. - Co tam było, na Bonifacego?

- Chyba wiecie? - usłyszała dość cierpką odpowiedź. - Byliście tam przecież? - I widzieliśmy tylko, że jacyś ludzie zmieniali koło w audi, a volkswagen spokojnie stał obok. I nie wiemy, co dalej. - Co dalej, to ja też nie wiem - odparł porucznik. - Na volkswagena mają całą noc. Ludzie czekają, ale wątpię, czy ma to sens, bo z kołami volkswagena też jest coś nie w porządku. Ktoś pilnuje, żeby te samochody nie nadawały się do jazdy i muszą przyznać, że podejrzewałem was. Ale w tym wypadku odpadacie, przyjechaliście już po wszystkim, więc bardzo przepraszam za podejrzenia... Janeczka odwróciła się i porozumiewawczo pokiwała głową do Pawełka. Pawełek omal się nie udławił resztką kanapki. -Na Żoliborzu jest zasadzka, rezultaty poznam jutro - mówił dalej porucznik. - Jak widzisz, informuję porządnie o wszystkim. Chciałbym teraz usłyszeć jakieś wiadomości od was... - Zaraz - powiedziała Janeczka. - Czy może pan nam powiedzieć, do kogo należy samochód WIO 2412? BMW, wygląda jak nowe. - A o co chodzi? - zainteresował się porucznik z nie skrywaną zachłannością. - Też zostało ukradzione? -Nie, ale przypadkiem wiemy, że też ma kłopoty z kołami. Stoi przy trzecim domu od Puławskiej, w stronę skarpy, pomiędzy Morskim Okiem a Dworkową. Widzieliśmy je po drodze. Porucznik milczał przez chwilę. - Jutro - powiedział wreszcie. - Jutro się dowiem i zapewne będę mógł wam powiedzieć CzekaJ, niech zapiszę. BMW. WIO 7417 Kto ie załatwił? - Nie my - zapewniła Janeczka lodowatym głosem. - Oglądaliśmy tam samochody wyłącznie na wszelki wypadek, jak wracaliśmy do domu I JUŻ było z głowy... - Ten pan Wolski to jest moja ciężka zgryzota - powiedziała Janeczka nazajutrz późnym popołudniem. odkładając tornister na stółek w warsztacie Bartka. - Wiedziałam, że was tu znajdę... Powinno się go śledzić bez przerwy a tymczasem proszę, chociażby dzisiaj! Chyba przestanę na razie chodzić do Beaty, bo w dodatku nigdzie tam niczego nie ukradli. Specjalnie patrzyłam.

- Dobra, to ja mogę - zaofiarował się Bartek

- Chociaż on mnie zna... Ale ostatecznie w oczy mu włożyć nie potrzebuje! -Nie dasz rady! - westchnął z żalem Pawełek. - Nam się to udaje wyłącznie dzięki PSU.



Potworny facet, lata jak z propelerem, wyłazi z domu wszystkimi stronami ni z tego, owego Tylko Chaber...

- A co z Wiesiem- - spytała Janeczka

Bartek wzruszył ramionami i skrzywił się niechętnie --Mnie się zdaje, że odpada Podejrzany Sam

zaczął o samochodach i tak wypytywał, jakby chciał flaki ze mnie wypruć I wił się jak cała kolonia zaskrońców I wtedy mi się przypomniało że o tym jego bracie coś chyba słyszałem, wdał się w jakieś takie podobno Nie pracuje, a szmałem się mocno szasta, to z powietrza go nie ma, nie?

- On jest całkiem dorosły.

-Dwadzieścia dwa lata Dobra, powiem. Zaczęło mi chodzić po głowie, czy on przypadkiem nie ma czegoś wspólnego z tymi kradzieżami Bez powodu Wiesiem nie szarpnęło Więc JUŻ bym się od niego trzymał z daleka Popatrzył pytajaco Janeczka i Pawełek zgodnie kiwnęli głowami Janeczka przysiadła na stole i zapatrzyła się w okno

-Nie jest dobrze - zawyrokowała - Strasznie dużo rzeczy nie zostało jeszcze załatwione Wiesio do niczego, Stefek chory - Już mu lepiej - wtrącił Pawełek.

- Trzeba w jakiś sposób Wiem Pan Zajrzał

-Co pan Zajrzał

-Z panem Zajrzałem trzeba nawiązać współpracę Mówił o tych kluczykach, które złodzieje dostają gdzieś tam.. Niech się dowie dokładnie No dobrze, jeszcze raz pójde do Beaty Na chwilę zapanowało milczenie Zadumana Janeczka patrzyła w okno - Ty a jakby tak ten brat Wiesia faktycznie był w szajce i jakby go tak namówić, żeby przeszedł na naszą stronę - zaproponował niepewnie Pawełek - Wtyczka? - zainteresował się Bartek i potrząsnął głową. - Nie zgodzi się. Dla forsy i ze strachu

-Frajer Prędzej czy później pójdzie do więzienia

Janeczka drgnęła nagle i zeskoczyła ze stołu.

- Pan Wolski - wysyczała dzikim szeptem. Pawełek i Bartek poderwali się z miejsca. - Gdzie O, niech ja kichnę, to jest okazja...!

-Idziemy - zarządził Bartek, niezmiernie przejęty - Psa macie przy sobie Obejrzał się, chwycił z półeczki klucze. - A między ludźmi może się dowiadywać, co kto kupił - mamrotała Janeczka do siebie, dążąc JUŻ ku drzwiom - I gdzie to trzyma

-Co tam szemrzesz- - spytał niecierpliwie Pawełek, przepychając ją na zewnątrz - Puść Chabra za nim. Co kto gdzie trzyma - -Potem wam powiem Piesku

Pan Wolski szedł spokojnym krokiem w stronę ulicy Puławskiej Puścili go do przodu, bo wiadomo było, że Chaber jego tropu nie straci. Należało tylko mieć go w zasięgu wzroku, żeby

wiedzieć, w co wsiądzie, w razie gdyby zdecydował się jechać komunikacją miejską. Pan Wolski tym razem wsiadł do tramwaju.

Tramwaj miał czerwone światło i stał na przystanku dostatecznie długo, żeby zdążyli wsiąść również, z tym że do następnego wagonu. Ulokowali się w przodzie, co przyszło im bez trudu, był to bowiem czwarty kolejny tramwaj i jechał prawie pusty.

-Teraz tylko patrzeć gdzie wysiądzie! - polecił Pawełek. - My to nic. Jest z nami pies. Znajdzie go nawet w- piekle.

Pan Wolski dojechał aż do Świętokrzyskiej. Tam dopiero wysiadł i uczynił to jakoś tak okropnie, że ledwo za nim zdążyli. Tylko Chaber Miał właściwe przecucie, poruszył się i wyskoczył pierwszy.

- Pan Wolski! - wyszeptała mu Janeczka do ucha, właściwie niepotrzebnie, bo i tak była pewna, że to nadludzko mądre zwierzę doskonale wie, kogo ma pilnować.

Pan Wolski szybkim krokiem podążał z powrotem, ku Chmielnej. Na Chmielnej, przed kinem Atlantic, nagle przestał się śpieszyć.

Pooglądał wystawy, przespacerował się pomiędzy

zaparkowanymi samochodami, kulał nawet odrobinę i podpierał się parasolem, po czym powoli udał się w kierunku Zgody.

-Dwie osoby idą za nim - rozkazała Janeczka - Ja tu jeszcze popatrzę razem z Chabrem, a potem was dogonimy. Pawełek i Bartek nie protestowali. Janeczka naiwyraźniej w świecie miała jakąś myśl, na dyskusje brakowało czasu Pawełek wywijał ciupagą, Bartek niósł na ramieniu ozdobną nogę od stolika Ruszyli za

panem Wolskim również wolno, udając zainteresowanie sklepami Janeczka znów pochyliła się do ucha psa

- Chaber, pieseczku, moje złoto - wyszeptwała czule - Pokaż, co pan Wolski robił i Pokaż pana Wolskiego Chaber był przyzwyczajony do tego rodzaju poleceń i doskonale wiedział, jak ma je spełniać Z nosem przy ziemi poszedł dokładnie trasą pana Wolskiego, przemknął między samochodami i utkwiał nagle przy jednym kole Janeczka rozejrzała się szybko, stwierdziła, że nikt Jej się nie przygląda i skrupulatnie sprawdziła owo koło. Pawełka i Bartka dogoniła przy Szpitalnej Szli w kierunku Nowego Świata - Przedziabiał forda - oznajmiła z satysfakcją - Dwa koła mu załatwił Zapisałam numer Więc Jednak on chyba nie należy do szajki Właściwie robi to samo co my, tylko jakoś trochę inaczej - Uczciwie mówiąc, my robimy to samo co on ~ sprostował Pawełek - W końcu on zaczął I możliwe, że wie więcej.

- przez to swoje podwórze - ciągnęła Janeczka, nie sprzecząc się o kwestię pierwszeństwa - Podśłuchuje złoczyńców, możliwe, że oni się tam spotykają codziennie, albo prawie codziennie Jedzie gdzie trzeba i załatwia ten samochód, przeznaczony do ukradzenia Ale ja uważam, że źle robi -Dlaczego źle? - zdziwił się Bartek - Mnie się wydaje, że bardzo dobrze - Nie Ja to JUŻ zrozumiałam i porucznik ma rację Niech kradną i niech jadą do tych swoich melin, i niech się ich tam łapie, i te meliny im się likwiduje Ile tego w końcu może być? A dziabac należy wtedy, kiedy się nie da inaczej. - Znaczą, gliny powinny wiedzieć - zaopiniował Pawełek - Znaczą, on z mmi nie współdziała Znaczą, tego... Nie wiem co -Dobra, popatrzmy, co zrobi dalej - zaproponował Bartek

Pan Wolski kontynuował swoje podróże po mieście Na Nowym Świecie poczekał na autobus, wsiadł w sto szesnaście i dojechał aż do Bonifacego Udało im się wsiąść za nim bez zwracania na siebie uwagi

-To jest jego ulubiona ulica - mruknął Pawełek z rozgoryczeniem, wysiadając w ostatniej chwili, bo pan Wolski, jak zwykle, wyskoczył z autobusu z nienacką, stosując tempo błyskawiczne. W podobnym tempie przeniósł się na drugą stronę ulicy, wsiadł w pierwszy nadjeżdżający autobus i wrócił do ulicy Gołkowskiej Tam wykończyła go komunikacja Ciągłe jeszcze czekałna przystanku, kiedy następnym autobusem zdążyli go dopaść - To niemożliwe, żeby tylko jeździł tam i z powrotem - powiedział stanowczo Bartek - Chyba że jest pomyłony kompletnie Na co on czeka!

- Zaraz się dowiemy - uspokoiła go Ja-neczka - I nie wiem, co zrobić, ale wsiadłabym w to samo co on, bo tu wszystko rzadko jeździ On chyba nie ma oczu w plecach. Spróbujemy zdążyć za nim -Ty, słuchaj - powiedział Bartek JUŻ w autobusie sto pięćdziesiąt dziewięć. - Ten wasz pies przypadkiem nie jest jasnovidzący? Bo, jak Boga kocham, wcześniej się ruszył niż pan Wolski. Ledwo się ten autobus pokazał, on JUŻ wiedział, że trzeba wsiadać Skąd mu się to bierze? - Przeczuwa - odparła Janeczka z wyższością - Pan Wolski się nastawił na wsiadanie i Chaber to wyczuł w tym samym momencie Jak ci mówię, że ten pies to jest perła i brylant - Perła i brylant to w ogóle świństwo w porównaniu z nim - zawyrokował Bartek z głębokim przekonaniem i Janeczka spojrzała na niego zdecydowanie przychylniej Pan Wolski dojechał do pętli, a potem uczynił coś, przez co omal nie przestali wierzyć własnym oczom Pozwolili mu się oddalić, udając, że sami idą w przeciwnym kierunku, niewidoczni w ciemnościach zawrócili i podążyli za. psem. Następnie ujrzeli z daleka widok niewiarygodny do tego stopnia, że do końca prawie podejrzewali Jakaś pomyłkę, źle widzą w mroku, albo mają halucynacje Pan Wolski przełazi przez ogrodzenie bardzo eleganckiej, ukrytej w zieleni willi, coś robił na Jej terenie, po czym przełazi z powrotem na zewnątrz Następnie spokojnym krokiem udał się do przystanku autobusowego naprzeciwko elektrociepłowni.

-Niech mnie struś kopnie cztery razy - szepnął Pawełek z mieszaniną zdumienia i podziwu - Co to ma być? Takiego wapniaka jeszcze w życiu nie widziałem -No to JUŻ teraz wiem na pewno - odszepnął Bartek uroczyście - On udaje chorowitego starego pryka Jak on jest chorowity, to Ja też. Co on tam robił, po co wiązki Ranv wszystkie pieniądze świata, żeby się dowiedzieć - Zaraz się dowiesz za darmo - zapewniła go Janeczka - Chaber, chodź, piesku -Ona się z nim najlepiej dogada - poinformował Pawełek kumpla, podsadzając siostrę - No, przełaż Trudno,

trzeba się z tym pogodzić, że ona, a nie my -Właściwie nawet dobrze, że jest taka pora roku i wcześniej robi się ciemno - westchnął wysoko filozoficznie. - w dzień by tak nie było. Janeczka objawiła się z powrotem po trzech minutach. Pochyliła się, podstawiła plecy, Chaber skoczył bez trudu. Następnie zręcznie wspięła się

na siatkę przy słupku, przewinęła wierzchem i zjechała na podtrzymujących ją dwóch dżentelmenów.

- Nadzwyczajne - powiedziała z podziwem. - Mercedes tam stoi. Jeszcze z pół godziny i będzie stał na samych obręczach.

Dażąc do przystanku śladami pana Wolskiego, omawiali zdumiewającą sprawę. Podejrzenia Pawełka, jakoby pan Wolski dziurawił opony samochodowe hobbystycznie, z samego maniactwa, z jednej strony nabierały rumieńców, z drugiej bladły. Pod wpływem czystego i nieskalanego maniactwa dziurawiłby cokolwiek, co by mu wpadło pod rękę; dalekie podróże i staranny wybór kazały mniemać, że w tym szaleństwie istnieje jakaś metoda. Janeczka, rzecz oczywista, zapisała numer pokrzywdzonego mercedesa.

-Ten nasz porucznik obłądu dostanie od samego dowiadywania się o właścicieli - rzekła z przekonaniem. - Powinniśnny może powiedzieć mu o panu Wolskim, ale ja nie chcę.

-Dlaczego? - zaciekawił się Bartek.

- Bo chcę sama dojść. Zawsze tak jest, że jak sam nie dojdiesz, potem ci nic nie powiedzą. Albo najwyżej połowę, i też to jest do niczego.

A ten pan Wolski.

- Gryzie ją - wyjaśnił zwięźle Pawełek.-

Wracamy do domu i dzwonimy do porucznika. Szczególnie że iuz powinien wiedzieć wszystko o Bonifacym i o Żoliborzu

- Niemożliwe - powiedział Rafał niedowierzająco - Nie przeczę, owszem, słyszałem takie różne rzeczy o tych dostojnikach, pożał się Boże, państwowych, ale żeby do tego stopnia - Dwie osoby o nich mówią - zwrócił mu uwagę Pawełek z wielkim naciskiem - Chaber i porucznik Jeszcze porucznik może się mylić, ale Chaber wykluczone

Siedzieli w pokoju Rafała, który bez przesadnych protestów oderwał się od nauki Nie było na razie wiadomo, jak wykorzystać te dwa elementy, Rafała i jego samochód, ale na wszelki wypadek należało zabezpieczyć sobie możliwości Rafała, w każdym razie, musiał być nastawiony i dysponować odrobiną luzu - Robimy wszystko metodycznie - oznajmiła Janeczka i otworzyła zeszyt w kratkę - Zapisywanie bardzo pomaga Proszę, pierwsze Ten samochód za Siekierkami, ten mercedes w ogródku Andrzej Lipka, wiceminister w Ministerstwie Finansów Pan Wolski go przedziabał i chyba nie bez powodu

-Może nie lubi go osobiście - mruknął Rafał

-Możliwe - zgodziła się zimno Janeczka - Drugi, którego nie lubi osobiście, to prokurator Wiśniewski Kazimierz. Przedziabał go na Chmielnej

- To był ford - wtrącił Pawełek - Fordy mniej kradną

- Trzeci Przedziabał go koło Morskiego Oka Własność jakiegoś Tadeusza Purchla Jeszcze nie wiemy, kto to jest ten Purchel, ale wiemy, że mieszka na Sadybie, w takim jednorodzinny domku, przystawionym do innych - Slums - powiedział Rafał smutnie

-Co

- Slums Jeden mój kumpel mówi, że dokładnie tak samo wyglądają najgorsze slumsy w Kanadzie Takie dla najbiedniejszych obcokrajowców Z krajów nisko rozwiniętych

-No dobrze, mieszka w slumsie na Sadybie Nie wiemy, co robi, więc powinno się to sprawdzić Wyjdzie z domu na przykład, wsiądzie i odjedzie samochodem I co Rafał milczał przez chwilę, mężnie znosząc natrętnie pytające spojrzenia - I wtedy ja mam za nim jechać, tak Fajnie Ale zwracam wam uwagę, że mnie jednak zależy na zdaniu tej matury Wiem, że jeszcze jest pierwsze półrocze, ale chcę się dostać na studia -Jest o tym gadanie od początku świata - przerwała mu Janeczka

- bardzo dobrze wiemy, że musisz być w pierwszej trójce - Co najmniej

- Dobrze, co najmniej Żeby się dostać. I nikt ci nie każe stróżować przed jego domem. Dowiemy się najpierw, jak on w ogóle postępuje, czy na przykład wraca do domu na obiad, czy wychodzi wieczorem i tak dalej I już będzie wiadomo, kiedy

się na niego zacząć. Więc najwyżej zmarnujesz dwa popołudnia. Po namyśle Rafał kiwnął głową. - Dobra, dwa popołudnia może być. Ostatecznie nawet trzy. Mnie też się nie podoba to rozpanoszone złodziejstwo, tylko wypraszam sobie... Jak by tu powiedzieć... Nie życzę sobie być świadkiem... Nic w ogóle nie wiem o tych waszych ciupagach, i czym tam jeszcze, i nic nie chcę wiedzieć! - W razie potrzeby zawsze możesz popatrzeć w inną stronę - pouczyła Janeczka. - A żeby się tak jeszcze zacząć na te TIR-y na szosie! - wyrwało się Pawełkowi marząco. - Na te z kradzionymi samochodami. Gdzieś się przecież czasem zatrzymują... Rafał przesunął krzesło nieco dalej od biurka, przechylił je do tyłu i oparł o ścianę. Był to jego ulubiony sposób siedzenia, dzięki czemu ciotka Monika JUŻ dwa razy zmieniała całe komplety krzeseł. - A skąd będziesz wiedział, które jada z kradzionymi samochodami? - spytał krytycznie. - Wszystkie załatwisz? Jak cię złapia, nogi ci wyrwą z tyłka! - Akurat mnie złapia! - prychnął wzgardliwie Pawełek. - Ale fakt, które z samochodami, nie wiadomo...

- One jada tranzytem - wtrąciła Janeczka. - Od niemieckiej granicy do ruskiej. Tak słyszałam od pana Zajrzała. Powinno się mieć umówionego celnika, który dałby znać... - I w ogóle powinna to załatwić policja, a nie wy - przerwał Rafał. - Ale pomysł sam w sobie nie jest zły. Mówiliście im o tym? - Jeszcze nie. I nie wiedzą o panu Wolskim.

-Może tylko ukrywają, że wiedzą?

- Nie - powiedziała Janeczka stanowczo. - Gdyby wiedzieli, to te samochody, podziabane przez pana Wolskiego, byłyby dla nich znajome i całkiem inaczej by z nami rozmawiali. Porucznik zwyczajnie powiedział, do kogo należą i chciał wiedzieć, po co nam to, ale nie czepiał się za bardzo. Zlekceważył. Więc nie wie. -No to trzeba mu powiedzieć.

- Powiemy - zapewnił uspokajająco Pawełek. - Tylko przedtem jeszcze chcemy tego Purchla. -Dobra, na Purchla się piszę - zgodził się Rafał. - Trzy popołudnia, nie więcej! Puknął w podłogę przednimi nogami krzesła i przysunął je do biurka.

-On wcale nie przez maturę ma tak mało czasu - powiedziała konspiracyjnie Janeczka, schodząc ze schodów. - On ma narzeczoną. Pawełek ze zdziwienia aż się potknął na stopniu.

- No to co? narzeczonych Już miał przecież tysiące

- Ale teraz ma taką wyjątkową Widziałam go z nią raz, jak poszłam do sklepu Przywiózł ją, wysiadła przed fryzjerem i trzeba było zobaczyć Jak on na nią patrzył Jakby zgłupiał kompletnie Bardzo ładna Pawełek się zatroskał

-Niedobrze Matura i narzeczona razem to może być za dużo Może się postarać, żeby go porzuciła? " - Zwariowałaś, jakby go porzuciła, byłby w ogóle do niczego A ty sam, jakby Karolina w sobotę nie przyjechała, to co byś zrobił?- Pawełek zaczerwienił się okropnie i zaczął bąkać coś niewyraźnego Janeczka nie oczekiwała jasnej odpowiedzi, wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi pokoju brata - Może akurat nie będzie z nią umówiony Poza tym, ona też zdaje maturę w tym roku tylko chodzi do innej szkoły Do tej na Dolnej - Skąd wiesz?

-Z Chabrem byłam w tym sklepie Pawełek nie dociekał dalej, obecność psa i odrobina czasu jego siostry wystarczyły żeby wiedzieć wszystko Nie wnikał w szczegóły Po umyśle błąkały musieć dwa cudowne obrazy przemieszane ze sobą Wielkie, siadające z sykiem opony TIR-ów i czarne, roześmiane oczy Karoliny Sam JUŻ nie wiedział, co wydaje mu się piękniejsze Z wysiłkiem wrócił do tematu, na co zdecydowany wpływ miał ton jego siostry - Przestań teraz głupio myśleć, tylko się zastanów nad tym, co mówię Jak sprawdzamy tego Purchla? Purchel dostarczył emocji olbrzymich

- Tu mam wszystko zapisane - powiedział Bartek - Bo to się potem zapomina Wyjął z kieszeni kilka pogniecionych karteczek i rozprostował je na tapczanie Janeczki W zebraniu produkcyjnym wziął udział także Rafał - Jazda - zażądał energicznie - Niech ja się dowiem, co on robi Sam zadecyduję, gdzie i kiedy chatować A propos, zapomniałem was zapytać, jak to tam w końcu było z tymi wózkami, które mieli rąbać Podobno wiecie - Wiemy - potwierdziła Janeczka - Na Bonifacego wcale nie ukradli, a na Żoliborzu owszem Ale dopiero przedwczoraj w nocy I wczoraj porucznik dopadł tej meliny, na którą tak chatował, i bardzo się cieszy Zamknął pięciu różnych i już ich ma Gdzie była melina, nie chciał powiedzieć Rafał ucieszył się również

- Bardzo dobrze, zawsze to jakiś sukces No to JUŻ, jedziemy po Purchlu Kto zaczyna? - Mogę ja, bo byłem pierwszy - odparł Pawełek i również wyjął z kieszeni świstek papieru. - Też mam zapisane Wrócił na obiad o szesnastej dwadzieścia mniej więcej To znaczy uważam że to był obiad, bo niby po co by wracał. Wyleciał potem o szóstej bardzo się śpieszył wsiadł do samochodu i JUŻ go nie było Wrócił o dziewiątej piętnaście Do dziesiątej nie wyszedł a co dalej, to nie wiem -Środa to była - podjął Bartek - w czwartek na obiad wrócił, zgadza się Potem zrobiło się coś dziwnego Pokazał się pan Wolski położył trochę i poszedł. Zaraz potem, piętnaście PO szóstej to było, wyleciał Purchel, wsiadł do samochodu, odjechał i nie minęło dziesięć minut, jak wrócił Na piechotę Poszedł do domu za piętnaście minut przyjechała taksówka, tą taksówką odjechał Do wpół do jedenastej go nie było a dalej nie wiem. bo ojciec powiedział, że przed jedenastą mam być w domu Teraz do akcji wkroczyła Janeczka -W piątek na obiad przyjechał o czwartej dwadzieścia Swoim samochodem, nie taksówką Potem wyszedł piętnaście po piątej i wrócił o wpół do ósmej, Jeżeli wyszedł o północy to ja już tego nie widziałam. Za to widziałam co innego. Zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na wszystkich wzrokiem pełnym triumfu - No - popędził ją niecierpliwie Bartek prawie dam głowę Prawie, bo było ciemno To jest ten sam, którego widziałam na podwórzu

Z wyraźną podejrzliwością, wsiadł i ruszył. Zaraz za nim ruszył mały fiat, ogromnie zatłoczony Przygnieciona Chabrem Janeczka czuła się szczęśliwa Prawie rozchorowała się, kiedy poprzednim razem ten okropny Purchel znikł, jej z oczu, odjeżdżając samochodem Teraz wreszcie mogła udać się za nim, patrzeć na niego cały czas, dowiedzieć się, dokąd jedzie i co zrobi Bez względu na pożytek, jaki wyniknie z tej, wiedzy Dodatkową błogością napełniały ją ostatnie osiągnięcia. Porucznik okazał się człowiekiem rzeczywiście przyzwoitym i przekazał im szczegóły akcji na Żoliborzu Złapano dwóch facetów, którzy włamywali się do garażu. Specjalnie odczekano, aż włamali się do końca, uruchomili samochód i odjechali. Pojechano za nimi Nie wiedzieli, że są pilnowani i dojechali do owej tajemniczej meliny, gdzie już czekało trzech następnych Do kosmetyki samochodu przystąpili od razu i wtedy porucznik wkroczył, szczęśliwy i zachwycony, że wreszcie ma sytuację jednoznaczną i pozbawioną jakichkolwiek wątpliwości Z garażu zdjęto odciski palców, w melinie złapano ich na gorącym uczynku, zgarnął wszystkich pięciu i mowy JUŻ nie było o wypuszczeniu po czterdziestu ośmiu godzinach Samochód z Bonifacego natomiast nie został wcale ukradziony, właściciel bowiem zwulkanizował koła, ulokował go na strzeżonym parkingu za panem Wolskim. Od razu mi się wydał jakiś znajomy i jestem pewna, że to był on. No dobrze, prawie pewna. Informacja wydała się ogromnie ważna i przez chwilę nie było wiadomo, co z nią zrobić. -Ha - wrzasnął Pawełek. - Z tą taksówką! Pan Wolski! Przedziabiał mu! Po tym okrzyku nastąpiło ogólne poruszenie. Bartek nie mógł się nadziwić samemu sobie. -Nawet mi do głowy nie przyszło! - za-przysięgał się. - Niby człowiek wie, ale słowo daję, tak sobie zwyczajnie przeszedł spacerkiem i nic! A miał ten parasol... Patrzyłem cały czas i nic! -Zdolny facet - pochwalił Rafał.

- To teraz już jestem zupełnie pewna - oznajmiła z satysfakcją Janeczka. - Pan Wolski go pilnuje. No nie wiem, ale chyba trzeba z nim będzie w końcu porozmawiać. - W każdym razie wiadomo, że trzeba czatować - przerwał jej Rafał i podniósł się z tapczanu. - I już wiadomo, kiedy. Mogę jutro, o wpół do piątej, chyba wystarczy? Niech będzie przez trzy dni. Psa bierzemy? - No pewnie - odparł Pawełek. - On w ogóle ważniejszy niż my wszyscy razem wzięci... Nazajutrz rozpoczęło się polowanie, tak owocne, że przeszło najśmielsze nadzieje. Pan Purchel wyszedł z domu o wpół do szóstej. Opony już zwulkanizował i samochód miał na parkingu. Obszedł go dookoła, przyjrzał mu się i nie dał się namówić, żeby pozostawić go złodziejom na wabia. Teraz istniała szansa na kolejny sukces. Pan Purchel nie jechał szybko i mały fiat nadażył za nim bez trudu. Nie jechał także daleko, dotarł na Mokotów i zatrzymał się na Asfaltowej. Wsiadł, starannie zamknął samochód i wszedł do budynku. Rafał JUŻ wcześniej zwolnił, tak że zatrzymał się za nim dopiero, kiedy pan Purchel znikł wewnątrz. -I co te.. - zaczął, ale nie dokończył pytania. Pawełek bez słowa wyprysnął z malucha i znikł

w tym samym wejściu. -Może mu się uda zobaczyć, na które piętro poszedł i w ogóle do kogo - powiedziała z nadzieją Janeczka. - Jak nie, puścimy Chabra. Już go zapoznałam z tym podejrzanym bałwanem, jak czatowaliśmy razem pod jego domem. - Wsiadamy? - spytał Bartek

Janeczka zawahała się. Odpowiedzi udzielił Pawełek. Wypadł z budynku jak z procy i runął do samochodu. - Gazu! - wrzasnął zdyszczym głosem do Rafała. - On wraca i leci jak z pieprzem! Pojedźcie dalej! Ostatnie słowa wymówił JUŻ w trakcie jazdy, bo Rafał nie zwlekał. Ledwie zdążył objechać forda, z wyjścia szybkim krokiem wyłonił się pan Purchel i również ruszył. Wyprzedził małego fiata przy Rakowieckiej.

-I co tam było? - spytała Janeczka. Pawełek złożył relację - Tam są wejścia od tyłu. Druga klatka, wlałem za nim, na drugie piętro poleciał, połapałem się, że mieszkania siedem i zdążyłem spojrzeć na listę lokatorów I jak ci powiem, kto tam mieszka, niech ja się skicham, słowo daję, że pęknie - Ktoś znajomy - odgadła sucho Janeczka. - Pewnie któryś z tych przedziabanych, od pana Wolskiego Który? Pawełek nie bawił się dalej w zagadki, zaczynał JUŻ przywykać do bystrości własnej siostry - Wiśniewski Kazimierz - oznajmił. - Prokurator Bartek nie zdołał powstrzymać zachwyconego prychnięcia Otworzył usta, ale wlał mu do nich koniec ogona Chabra, więc nic nie powiedział. -I co - spytał Rafał - I mało słyszałem przez te dwa piętra no, jedno, bo wlałem wyżej, ale wyszło mi, że nie ma go w domu Pojechał go szukać. "Tam go złapię", powiedział. Pan Purchel pchał się do Śródmieścia Rafał trzymał się go bez wielkich problemów Dojechali tak aż do Alej Jerozolimskich, pan Purchel skręcił w prawo, potem znów w prawo, znalazł kawałek miejsca na Emilii Plater, zaparkował lewymi kołami na chodniku i wysiadł

- Do licha - syknął Rafał, przepuszczając przed sobą hotelową taksówkę. - Ja wysiadę, a ty nie wiem co - powiedział szybko Pawełek Wyskoczył, zaledwie Rafał zwolnił, i poszedł za panem Purchlem Pan Purchel wszedł do hotelu Bez chwili namysłu Pawełek wszedł za nim, w ułamku sekundy przygotowując sobie wyjaśnienie, że w tym hotelu mieszka jego WUJ, który przyjechał ze Stanów Zjednoczonych Nim doszedł do środka holu, wiedział JUŻ, że ten WUJ jest Murzynem, a wujem został przez poślubienie jego ciotki Kiedy błysnęło mu, co by na to powiedziała ciotka Monika, omal nie zachichotał głośno Dalszy ciąg snuł się sam, po następnych dwóch krokach okazywało się, że ten WUJ mieszka nie w Mariocie, tylko w Metropolu, pomylił hotele Pan Purchel nie wybierał się gdzieś wysoko, bo zlekceważył windy Poszedł po schodach, wiodących na drugie piętro Pawełek szedł pół piętra za nim. Ujrzał, że pan Purchel skręca w prawo, przyśpieszył i zdążył jeszcze zobaczyć, gdzie wchodzi Rafał miał ślepe szczęście, samochód zaparkowany prawie na rogu Nowogrodzkiej odjechał tuż przed nim i zwolnił miejsce Rafał wepchnął się tam czym prędzej, zaparkował podobnie jak pan Purchel, częściowo na chodniku, i zgasił silnik

- Co teraz? - spytał niepewnie.

-Zaraz się dowiemy - powiedziała odwrócona do tyłu Janeczka. - Obaj weszli do hotelu widziałam. Pawełek zaraz wróci i powie. Pawełek pojawił się po paru minutach. Otworzył drzwiczki, ale nie wsiadał, wetknął tylko głowę. - Całkiem krewa - rzekł z zakłopotaniem - Wlał do kasyna. Tam wpuszczają od osiemnastu lat. Nie ma siły. musisz iść za nim i zobaczyć co zrobi. Rafał zawahał się, bo wizyta w kasynie kojarzyła mu się przede wszystkim ze stratami materialnymi. - A jak tam się coś płaci...?

-Podzielimy na trzy części - zdecydowała natychmiast Janeczka. - Zapłacisz tylko jedną trzecią. Trudno, to są koszty handlowe. - Na cztery - zgłosił się szlachetnie Bartek.

- Ja też należę.

-Jakie handlowe, zgłupieliście? - zaprotestował Rafał, ale zaczął wysiadać z samochodu - Szczęście swoją drogą, że osiemnaście lat skończyłem miesiąc temu. Dobra, poczekajcie tu a jakby wam było zimno, możecie polatać po Nowogrodzkiej. Zamknięta dla ruchu. Załedwie znikł w obrotowych drzwiach, Janeczce coś przyszło do głowy - Ale do hotelu wpuszczają nieletnich też? - spytała Pawełka.

- Nikt się do mnie nie przyczepił - odparł Pawełek, sadowiac się w fotelu. - W ogóle nikt nie zwrócił uwagi i w dodatku widziałem tam jakieś dwa bachory. - A gdzie to kasyno?

- Na drugim piętrze, chociaż nie wiem, może pierwsze, ale chyba drugie. Po schodach na prawo i napis wisi. - I dopiero przez ten napis nie wpuszczają?  
-Dopiero przez.

- W takim razie ja też tam pójde. Aż do napisu.

-Po co?

-Nie wiem. Na wszelki wypadek...

-Z psem?

- A był tam jakiś zakaz?

- Nie, żadnego nie widziałem.

- No to z psem. W razie czego odeślę go do was.

Pawełek i Bartek nie protestowali. Konieczność przekazania inicjatywy Rafałowi nie podobała im się okropnie i myśl, że Janeczka znajdzie się w pobliżu, była mocno pocieszająca. Pawełek przeczekał przejeżdżające samochody, wysiadł, wypuścił siostrę i psa i już po chwili obydwoje znikli w obrotowych drzwiach. Janeczka schody ujrzała od razu i skierowała się na nie bez namysłu. Chaber zachowywał się tak elegancko, że nikt nie miał prawa przyczepić się do niego. Szedł przy nodze, spokojny, cichy i prawie niezauważalny. Razem dotarli na drugie piętro i dostrzegli wejście do kasyna. Rafał znalazł się tam odpowiednio wcześniej. Doznał ulgi, że nie musi nic płacić, podpisał się pod oświadczeniem, że jest pełnoletni, oddał kurtkę w szatni, rozejrzał się i nagle uprzytomnił sobie, że nie bardzo wie, jak ten cały Purchel wygląda. Widział go, owszem, trzy razy, najpierw pod jego domem, potem na Asfaltowej i wreszcie tutaj, jak wysiadał, ale wszędzie było dość ciemno i widział go niewyraźnie. A tu w ogóle wyłącznie od tyłu. Zdoła go rozpoznać...? Może metodą eliminacji? Nie gruby, nie brodaty, nie patykowate wysoki, bez okularów, nie rudy i nie łysy. Już po krótkiej chwili zorientował się, że wybór pozostaje mu niewielki. Przeszło połowa klientów kasyna składała się z południowców, łatwych do odróżnienia. Przy stołach ruletki panował wprawdzie tłok, ale ten tłok trwał niejako w miejscu, nie kłębił się, i oglądając spokojnie każdy stół po kolei, można było przyjrzyć się głowom i twarzom graczy. Sięgnawszy po rozum do głowy, Rafał zawyrokował, że ten Purchel siedzieć nie może, przyszedł przed chwilą, a tłok wydaje się długotrwały, musi zatem stać. Należy, wobec tego, w pierwszej kolejności obejrzieć gości stojących. I nagle zobaczył go. Przy najbliższym stole jeden osobnik stojący pochylał się nad drugim, siedzącym. Rafałowi wpadła w oko sylwetka, identycznie pochylał się przy otwieraniu samochodu. Przyjrzał się twarzy, widocznej z profilu, obszedł stół i popatrzył na nią od frontu. Owszem, pasowało. To właśnie tego faceta widział trzy razy w ciągu ostatniej godziny. Na wszelki wypadek obrzucił szybko wzrokiem pozostałych, ale nikt więcej się nie nadawał. A zatem ten stojący i pochylający się to musiał być Purchel. Przyjechał tu szukać Wiśniewskiego, wobec czego siedzący jest Wiśniewskim! Dokonawszy najważniejszego spostrzeżenia, Rafał rozejrzał się dookoła trochę spokojniej. Znalazł się w kasynie pierwszy raz w życiu i zaciekawiło go, jak to tutaj wygląda. Owszem, zgadzało się mniej więcej z tym, co znał z lektury i z filmów. Hałas panował średni, krupierzy tylko mówili po angielsku, a nie po francusku. Nie robiło mu to żadnej różnicy, grać i tak nie zamierzał, przyszedł, można powiedzieć, służbowo. Zbliżył się do stołu, gdzie siedział Wiśniewski i stał Purchel, i zatrzymał się tuż za ich plecami. Wiśniewski siedział tylko teoretycznie. Ustawicznie zrywał się z krzesła i stawiał swoje żetony w szalonych ilościach, pozbywając się ich prawie do samego końca. Potem siadał na chwilę, potem znów się zrywał. Purchel najwyraźniej w świetle usiłował coś mu powiedzieć do ucha, ale było to niemożliwe, Wiśniewski zajęty był grą do szaleństwa i do nieprzytomności. Kilka słów Rafałowi udało się dosłyszeć.

- ..mówię do ciebie - syczał złym głosem Purchel. - Załatwisz i siedz do rana...! - Dzisiaj? - niechętnie i z roztargnieniem spytał Wiśniewski, opadając na krzesło. Purchel pomamrotał mu do ucha. -...od wczoraj. - usłyszał znów Rafał. - Mogą kłapać pyskiem. Trzeba natychmiast... - Cholera, obok!

Przeskoczyła! - powiedział ze złością Wiśniewski. Wyrwał z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel i rzucił na stół pieniądze. Rafał policzył je wzrokiem. Sześć milionów. W osłupieniu patrzył, jak Wiśniewski chwyta podsunięte mu żetony i stawia stosami na różnych numerach. Nie zostawił sobie ani jednego, padł na krzesło i wbił wzrok w kręcące się koło ruletki. Purchel milczał, stojąc mu nad

głową. - Trzydzieści cztery czerwone - powiedziała po angielsku krupierka. Z wielkim zainteresowaniem Rafał spojrział na kwadrat, oznaczony liczbą trzydzieści cztery. Nie stało na nim nic, ani jeden żeton. Wiśniewski jakby się zachłysnął, znieruchomiał na moment, a potem zerwał się z krzesła. - Pożycz dyche! - wyszeptał gwałtownie do Purchla.

Był blady, miał obłęd w oczach i krople potu na czole. Chwycił Purchla za klapę od marynarki. Purchel odsunął się nieco. - Możesz mieć na własność - mruknął zimno. -- Ale przedtem załatwisz sprawę tych paru...

Wiśniewski jakby odrobinę ochłonał i spróbował się opanować. Rafał wyteżył słuch, tkwiąc tuż obok i udając, że intensywnie wpatruje się w białą kulkę na wirującym kole. Wiśniewski puścił klapę marynarki Purchla. - Dobra, niech cię szlag trafi. Jazda, idziemy!

- Ale zaraz...?

- Zaraz, zaraz...

Szybkim krokiem obaj skierowali się do szatni. Rafał poszedł ku wyjściu nieco wolniej, szatnię ominął, pomyślał, że po kurtkę przyjedzie tu ponownie, a ogrzewanie w jego fiacie działa doskonale. Zarazem zakłopotał się, niepewny, dokąd pójdą ci dwaj. Wiedział, gdzie stoi samochód Purchla, ale nie miał pojęcia, gdzie może znajdować się samochód Wiśniewskiego, o ile przyjechał tu samochodem... Nie zdoła równocześnie iść za nimi i sam przygotować się do jazdy! Pierwszą osobą, jaką zobaczył, była Janeczka. Siedziała grzecznie na fotelu prawie naprzeciwko schodów, a u jej nóg leżał Chaber. Rafał uczynił tylko nieznaczny gest głową i Janeczka już była przy nim. - Zaraz stąd wyjdą Purchel z Wiśniewskim - powiedział szeptem. - Nie wiem, dokąd pójdą, ja lecę do wozu. Sprawdź i przyjdź tam zaraz! Wypełnienie polecenia przebiegło z największą łatwością, a dalszych informacji udzielił Chaber. Przybiegł do Rafała, zakręcił się i popędził z powrotem. Rafał pojechał za nim, ujrzał Janeczkę, wszyscy razem spotkali się wreszcie w samochodzie. - Wsiadli do samochodu Wiśniewskiego - powiedziała Janeczka. - I muszą wykręcić w prawo, bo nie da rady inaczej. O, jeszcze ich widać! Rafał przyśpieszył i znów miał przeciwnika przed sobą. - Więc to wariat - ciągnął opowieść o pobycie w kasynie. - Sześć milionów przegrał jednym kopem, w dwie minuty, i usiłował przegrać więcej, ale zdaje się, że mu forsy zabrakło. Obłęd z niego buchał jak z pieca, zgroza ogarnia. próbował od tego Purchla pożyczyć, ale Purchel mu obiecał w prezencie. Podśledzałem i coś mi się widzi... - Powtórz bardzo dokładnie wszystko, co usłyszałeś! - zażądała Janeczka. Rafał powtórzył każde słowo porządnie i dokładnie. Janeczka cały czas kiwała głową. - Zgadza się - rzekła wreszcie z zadowoleniem. - Wiem, czego on chciał, wyciągnąć z więzienia tych wszystkich, których porucznik połapał. Tych z garażu i z meliny. Boi się, że za dużo powiedzą. - Oni nie siedzą w więzieniu, tylko w areszcie - zwrócił jej uwagę "bartek.

- Nie szkodzi, grunt, że siedzi. A on pewnie na coś zrobić, żeby nikt ich o nic nie pytał, żeby nic nie powiedzieli, albo w ogóle jakoś tak robi, wby ich uwolnić. A te dziesięć czegoś, pewnie milionów, bo na co mu dziesięć tysięcy, to jest łapówka. I on ją weźmie, i robi wszystko, co ten Purchel wymyśli, bo zwariował od gry. Musi grać dalej i wydaje mu się, że wygra. Nienormalny. Teraz na Rafała przysłała kolej kiwania głową.

- Tak jest, to właśnie chciałem powiedzieć. Małpiego rozumu dostał. Na każdą kombinację pójdzie i wynika mi z tego, że ta mafia trzyma go w garści. Więcej do tego kasyna nie pójdę... no nie, pójdę, w dodatku jeszcze dzisiaj. Moja kurtka została w szatni, gdybym odbierał, już bym za nimi nie zdążył. - Możesz iść byle kiedy - powiedziała Janeczka. - Tam jest czynne całą dobę. Przeczytałam wszystkie napisy... Poniechali wymiany poglądów, kiedy Wiśniewski z Purchlem dojechali na miejsce. Purchel został w samochodzie, Wiśniewski wysiadł. W milczeniu przyglądali się z daleka doskonale znanej budowli, w której złożył tę wieczorną wizytę, i nikt się nie dziwił, że nie załatwiał (sprawy przez telefon...

- Co ty robisz? - zainteresował się Pawełek, wszedłszy do kuchni po powrocie ze szkoły.

- Pierogi - odparła jego siostra. - Postanowiłam zrobić pierogi, żeby mieć, żeby były do tej potrawy dla ojca. Pawełek obejrzał - Chyba umiesz? - rzekł



niepewnie. - Wszystko wydaje mi się jak trzeba. Tyle że surowe. -Potem będę gotować. Teraz już umiem, ale przedtem nie. Ciasto zrobiła babcia, przyglądałam się i wszystko pamiętam, a to mięso osobiście kręciłam przez maszynkę. To są zwyczajne pierogi, ale później będziemy robić po chińsku i teraz wiem, co trzeba. Jeszcze tylko babcia się wtrąci do gotowania. No i co? Pawełek wzruszył ramionami i usiadł na stoliku.

- Znaczący co, obiad będzie dopiero, jak to ugotujesz? Głodny jestem. -No coś ty? Obiad jest od wczoraj. Już wszystko przygrzałam, ale będziemy jeść później, jak już to wszystko skończę kleić. Ugotuję potem. Pawełek z powątpiewaniem przyjrzał się ilości ciasta i farszu. Wahał się przez chwilę, po czym westchnął. -Dobra, pomogę ci. Będzie prędzej. Ręce przed chwilą umyłem. Przysunął bliżej stół i sięgnął po wywałkowany krążek. -Tak się robi...? Tu włożyć... I zalepić? -Weź sobie drugą łyżkę, albo widelec. Tak, a zalepiać porządnie, można różnie, . grunt, żeby było trochę zagięte. Takie zawinięte, o... Lepiej się trzyma. No i co, pytam!

Pawełek z zaciśniętymi z wysiłku zębami zaklejał pierwszego pieroga. Trochę farszu wylazło mu drugą stroną.

-Może za dużo wzięłam... No nic. No więc wszystko się zgadza.

- To już od wczoraj wiem, że wszystko się zgadza. Pan Wolski przebijają opony członkom tej szajki samochodowej. Purchel tym rządzi, prokurator Wiśniewski za łapówki uwalnia złodziei i tylko jeszcze nie wiem dokładnie, co robi ten Andrzej Lipka. Wiceminister w Ministerstwie Finansów. Do czego im się może przydać"? Nie kradnie przecież osobiście!

- A kto go tam wie - odparł z lekkim roztargnieniem Pawełek i w skupieniu uklepał farsz na drugim placku z ciasta. - Ale Mietek mówi, że on może narajać jakieś transakcje. Mętnie mówi, bo nic go do tej pory nie obchodziło, co robi jego wujek, ale popytał trochę w rodzinie. Dlatego się spóźniłem, gadał ze swoim ojcem przez telefon, bo musi, tak zebrał, referat do szkoły napisać. I jego ojciec powiedział, że tak to może być, te ministerstwa robią, co im się podoba, taki jeden czy drugi wykombinuje sobie na przykład transport samochodów z Niemiec, a Ministerstwo Finansów za to zapłaci. A potem złodzieje to ukradną i ten jakiś dostanie pieniądze najpierw od złodziei, a potem z ubezpieczenia. Zagranicznego najlepiej. Zagraniczne ubezpieczenia wiedzą, że ruska mafia kradnie i wcale się nie dziwią, tylko każą płacić wyższą składkę. A co im zależy, zapłacą, bo i tak mają potem podwójnie. Ty, popatrz, jak mi fajnie wyszło...! Już trzy zrobiłem... Z tym że to wszystko razem ja sobie sam wydedukowałem, bo Mietek gadał tak jakoś kawałkami, a jego ojciec złodziejstwa całkiem ominął. Janeczka powałkowała do końca ostatnie kawałki ciasta.

-Bardzo dobrze - pochwaliła brata. - Wszystko dla ojca będziemy robić razem. Wymyśliłam te pierogi, bo w ogóle ojciec lubi pierogi, a tę chińską mieszaninę w coś trzeba zawinąć. Pizza może wyjść nie bardzo dobrze. A matka ma coraz mniej czasu, mówi, że będzie wielka rewia mody, więc akurat mamy okazję. I będziemy mówili, że tak bezinteresownie robimy mu przyjemność, żeby coś miał po tych siroccach i trzęsieniach ziemi. Więc po panu Wolskim widać, że masz rację. - Tylko nie wiem, co on ma z tego - zastanowił się Pawełek, starannie zaklejając czwartego pieroga. - Przebijają im, oni sobie zwulkanizują i po krzyku. Nie przestaną przecież przez to kraść Chce na nich zwrócić uwagę, czy jak? Też na nic, bo oni tego wcale nie rozgłaszają. Janeczka pokręciła głową.

- Nie, mnie się wydaje, że on im utrudnia. przypomnij sobie Purchla. Bartek mówi, że po tym podziurawieniu strasznie zdenerwowany latał. Taksówką pojechał, a może się spóźnił? A tym innym przebijają może wtedy, kiedy im się bardzo śpieszy? Są poumawiani na przykład? Nie jestem pewna, ale tak mi chodzi po głowie. - To jeszcze musiałyby wiedzieć, kiedy i jak są poumawiani. W ogóle wszystko musiałyby o nich wiedzieć. - Może wie?

- Jakim sposobem? Jest wtyczką w szajce? Ale jako wtyczka nic by nie dziurawił, tylko donosił policji! - Nie, ja wiem... Może nie wtyczka. Może ma jakiś sposób... Pawełek przez chwilę rozważał sprawę, ściskając palcami ciasto piątego pieroga. - Kto to w ogóle jest, ten pan Wolski? Bo mógłby być na przykład telefoniarzem. Podłączył się gdzieś i ma osobisty podsłuch na ich wszystkich telefonach. Albo... Czy ja wiem... Założył pluskwę... Takie małe, szpiegowskie, w którymś ich samochodzie... Albo co... - Chyba że albo co, bo ja wątpię, czy

tak strasznie dużo gadają w samochodach - skrzytkowała Janeczka. - No dobrze, zapal gaz pod garnkiem z zupą. To pieczarkowa. Ciągle mi się płacze po głowie to jego podwórze. Niemożliwe, żeby spotkali się tam tylko jeden raz i akurat ja na to trafiłam. Uważam, że muszą się tam spotykać częściej i pan Wolski na nich czatuje. - Węszy, czy jak? - skrzywił się Pawełek, ustawiając porządnie garnek na palniku. - Przecież ma okno od drugiej strony! - Toteż właśnie. Chociaż jednego z nich może widzieć... Jak nadchodzi. No nie wiem, ale jeszcze bym tam poszła. Nawet parę razy. Na wszelki wypadek. Rozważania musiały zostać przerwane, bo przyszła babcia dowiedzieć się, co z pierogami. Postawiła wodę na gazie i osoliła. Zanim się woda zagotowała, Janeczka zdążyła zjeść zupę. Przed kotлетem z odsmażanymi kartoflami i sałatką z pomidorów z uwagą przyjrzała się, jak babcia do gotującej się wody wrzuca pierogi. Stała trochę nad garnkiem i przystąpiła do nakładania na talerze drugiego dania. - Musisz ich pilnować, bo zaczną kipieć - powiedziała babcia. - Wtedy trzeba przykręcić gaz. Ugotowane będą, jak wypłyną. I wyjmujecie te z wierzchu. Została w kuchni i przypilnowała osobiście. W połowie kotleta i kartofli Janeczka zerwała się od stołu, odebrała babci durszłakową łyżkę i z wielką uwagą powymyślała pierogi z wierzchu. Woda gotowała się cały czas. -I co? Teraz się wrzuca następne?

- Tak, teraz się wrzuca następne - powiedziała babcia. - Nie za dużo na raz, bo będą przywierać do dna. Trzeba delikatnie zamieszać. Pawełek zażądał degustacji. Dostał jednego pieroga bez okras. Janeczka wzięła sobie drugiego. Zaciekawiona babcia wzięła trzeciego. - Bardzo dobre - pochwaliła. - Jeżeli wszystko pamiętasz, sama będziesz umiała ugotować na drugi raz. O ile uda ci się ciasto... -Co się ma nie udać... - mruknął Pawełek.

-Doskonale, będą na kolację - zarządziła Janeczka. - Matka też lubi pierogi. Co do ciasta, w razie czego przyjdę do ciebie. - Chcę jeszcze jednego - rzekł stanowczo Pawełek. - Nie złapałem smaku. - Proszę bardzo, zeżryj jeszcze jednego. Na deser jest szarlotka, może już ci się nie zmieści. Pawełkowi zmieściła się zarówno szarlotka, jak i jeszcze kolejne dwa pierogi. Babcia poczekała aż do ostatniej porcji, po czym, uspokojona, opuściła kuchnię i wróciła do siebie na górę. Janeczka w trakcie gotowania którymś fragmentem umysłu oceniła sytuację. - Więc ja bym poszła tam i poczatowała przez parę wieczorów - oznajmiła, stawiając przed sobą szklanekę z herbatą. - Od popołudnia. Tylko lekcje i jazda, pierogów codziennie robić nie muszę. -Niezły pomysł - zgodził się Pawełek. - Pan Wolski panem Wolskim, ale może znów co usłyszymy. Nie mówię, że od razu, a poza tym możemy się rozdzielić i czatować pojedynczo. - Zacznę już dziś - rzekła jego siostra, w zadumie wpatrzona w okno. - Tak mnie coś korci. Ty możesz zabrać Bartka i popłatać się po mieście. -Z kim Chaber? -Ze mną. Mówię ci przecież, że mnie coś korci.

Pawełek kiwnięciem głową wyraził zgodę.

- Co mnie martwi, to to, że przeważnie kradną w nocy - rzekł smętnie. - Nie da rady czatować całymi nocami. Żeby nie szkoła... Janeczka westchnęła. Pawełek westchnął również. Szkoła przeszkadzała okropnie. Trzeba było chodzić do niej od rana i nie spać na lekcjach, potem należało odrabiać rozmaite zadania i to zabierało bezcenny czas. Gdyby nie te obowiązki, noce by można spędzać na pilnowaniu złodziei, a odsypiać swoje w dzień... - Ale już sam widziałeś, że szkoła się jednak czasem przydaje - przypomniała Janeczka. - Trudno, z tym się musimy pogodzić i w nocy niech pilnuje policja. - Albo możemy się podzielić - zaproponował z nagłym ożywieniem Pawełek. - Jedną noc jakoś się przetrzyma, i szkołę na drugi dzień też. Jest nas trzy sztuki... Ale! Byłbym zapomniał! Stefek też chce. - Już wyzdrowiał?-Wydrowiał...! Rzucił się na mnie z pazurami, że dlaczego dopiero teraz mówię, a nie wcześniej. Głupi, czy jaki, przecież leżał na tę swoją grypę! Prawie się na mnie śmiertelnie obraził i powiada, że jego brat, Zbinio znaczy, coś tam wie o bracie Wiesia. - Przecież brat Wiesia jest o wiele starszy!

- Nie tak znowu o wiele, ze cztery lata. Zapóźniony w rozwoju i skończył szkołę przemocą dopiero w zeszłym roku, ledwo o rok wyżej niż Zbinio. Bartkowi już o Stefku mówiłem i też mu zrobi narzędzie. Szwedkę. -Co?

- Szwedkę. Stefek ma, bo jego ojciec kiedyś złamał nogę. Będzie udawał, że kuleje. -Da radę? - zatroskała się Janeczka.

- A dlaczego nie? W dodatku nikt go nie posadzi, że szybko uciekł. - Bardzo dobry pomysł - pochwaliła Janeczka po zastanowieniu. - Kiedy mu zrobi? - Zaraz jutro zacznie. Stefek ma przynieść Szwedkę do szkoły. Na wszelki wypadek tak się umówiłem, bo nie wiedziałem, co dzisiaj będzie. - Same komplikacje! - westchnęła Janeczka po kolejnym namyśle. - Wszystko musimy robić na wszelki wypadek... Ja robiłam pierogi i podgrzewałam obiad, więc teraz ty pozmywasz. - Ja grzałem zupę! - zaprotestował Pawełek, ale przystąpił do zmywania od razu. - Dobra, tylko żadnego wycierania, samo wyschnie na suszarce. Chcesz, to idź, razem z Chabrem Odwalę zadanie z matematyki i też pójde. Historii nauczę się wieczorem... Na podwórzu za domem pana Wolskiego Janeczka zatrzymała się i spróbowała pomyśleć. Coś ją korciło rzeczywiście, i to z wielką mocą, ale nie umiała tego sprecyzować. Rozejrzała się. W ciemnościach, rozjaśnionych tylko padającym z okien blaskiem, niewiele mogła zobaczyć. Podwórze było okropnie zagracone, zaplecza pawilonów handlowych dostarczały pudeł, skrzynek i jakichś innych opakowań, rozmaite szopy, budki i komórki zajmowały miejsce, dwa śmietniki wznosiły się na dwóch krańcach, przy jednym wrosła w ziemię przerdzewiała karoseria samochodowa, odpadki z warsztatu samochodowego elektryka przelewały się przez ogrodzenie i plątały pod nogami. Cały ten bałagan coś jej mówił, w żaden sposób jednakże nie mogła odgadnąć, co.

Po dziesięciu minutach rozmyślań zdecydowała się na rozwiązanie najprostsze. Wezwała do siebie psa.

- Chaber, pieseczku - powiedziała szeptem, obejmując go za szyję. - Pan Wolski. Pokaż tutaj pana Wolskiego. Gdzie był pan Wolski? Myśl, że pan Wolski musiał jakoś podsłuchiwać złoczyńców, nie dawała jej spokoju. Skoro podsłuchiwał, gdzie się znajdował. Miał jakieś swoje miejsce. Nie wybiegał przecież z domu, wiedziony wyłącznie przecuciem! Coś tu, być może, robił, gdzieś się lokował w tym śmietniku, a nikt nie potrafił odnaleźć jego śladów lepiej niż genialny pies. Chaber łagodnie wyjął łeb z ramion ukochanej pani i zaczął węszyć. Pana Wolskiego znał, jego wonią przesiąknięty był dom i część podwórza. Inne wonie nie interesowały go na razie: pani życzyła sobie pana Wolskiego, więc jego śladem podążył. Z szalonym zainteresowaniem Janeczka towarzyszyła psu. Chaber pokazał najpierw zakamarek tuż za drzwiami, gdzie ludzka postać mogła trwać w mroku kompletnie niewidoczna, potem zaś poszedł w kąt pomiędzy drewnianą budą a murowaną komórką. Janeczka przypomniała sobie, że tu właśnie siedziała na skrzynce i tu rozmawiali tamci dwaj, Purchel z jakimś drugim, podsłuchani przez, nią samą. Chaber węszył gorliwie, pan Wolski musiał tu również często przebywać. Siedział w kucki, ukryty w ciemnościach...? Ta komórka należała może do niego...? Wpatrzona w niewyraźnie majaczącego psa wzrokiem pełnym napięcia, Janeczka ujrzała nagle, że Chaber wspina się na tylne nogi i obwachuje coś pod samym wystającym daszkiem szopy. Wachał i wachał w skupieniu, po czym opadł na cztery łapy i wystawił zwierzynek. Janeczka rozumiała go doskonale. To właśnie było miejsce, które pan Wolski odwiedzał najczęściej, tutaj także spotykali się złoczyńcy. Najciemniejszy kawałek podwórza, a przy tym łatwo dostępny, niczym nie zagrodzony... Pan Wolski zostawił tu coś swojego...? W każdym razie, zdaniem Chabra, był to najważniejszy kawałek terenu... - Kochany, dobry piesek - szepnęła z przejęciem. - Czekaj, niech popatrzę... Rozejrzała się z uwagą. Podwórze było zupełnie puste, nikt się po nim akurat nie plątał. Odważyła się zatem zapalić reflektorek.. "Pawełek z Bartkiem przypomnieli sobie opowieść jakiegoś znajomego, który opisywał nieszczęście drugiego znajomego. Temu drugiemu znajomemu ukradziono samochód w ciągu trzech minut, spędzonych najzwyczajniej w świecie w sklepie. Wyszedł ze sklepu i okazało się, że samochodu już nie ma. Nie wiedzieli wprawdzie, ani jaki to był samochód, ani w jakiej dzielnicy wypadek nastąpił, ale sama opowieść, jako taka, natchnęła ich wielką nadzieją. Skoro przed zwyczajnym sklepem ukradziono jednemu, można było równie dobrze ukraść drugiemu i trzeciemu przed jakimkolwiek innym sklepem. Przed restauracją, przed fryzjerem, przed szewcem... Tamtej kradzieży dokonano w biały dzień, teraz był także dzień, ale już nie biały, bo w grudniu wcześniej robi się ciemno, był zatem czarny dzień, a to nawet lepiej. W ciemnościach łatwiej się kradnie. W dodatku zbliżał się już wieczór. Ograniczyli się do terenu Mokotowa, bo Mokotów stanowił zupełnie niezłą dzielnicę. Ursynów był jeszcze lepszy, kradzieże samochodów leciały tam jedna za drugą, ale na razie

postanowili popatrzeć, zdając się na los szczęścia tutaj, bliżej własnego miejsca zamieszkania. Spodobała się im ulica Wmowa, za którą na długim odcinku ciągnęła się ulica Chocimska, za nią Słoneczna, samochody parkowały tam gęsto i były to samochody wysokiej klasy. Na Słonecznej część poukrywana była w garażach, ale przecież nie wszystkie... Alarmowe wycie usłyszeli z daleka. Pośpieszyli w tym kierunku. Wyło BMW, ustawione na Chocimskiej pomiędzy Wmowa a szpitalem, pod tablicą rozdzielczą grzebał jakiś człowiek. Nie zdołali mu się przyjrzeć, bo widoczne były tylko jego nogi, reszta niknęła we wnętrzu samochodu. - No - powiedział Bartek z nadzieją. - Złodziej czy głupkowaty właściciel? - A kto go tam wie - odparł z lekką irytacją Pawełek. - Bym popatrzył, ale na wszelki wypadek... Jeszcze nie skończył tego mówić, kiedy Bartek ochoczo podskoczył do tylnych kół. Noga stołowa zniknęła z jego ramienia, po czym pojawiła się na nowo. Dwóch chłopców stało spokojnie na brzegu chodnika, o trzy metry od wyjącego samochodu.

-Miałem na myśli, że na wszelki wypadek bym się przygotował - powiedział Pawełek z lekkim zakłopotaniem. - No trudno, przepadło... Wycie wreszcie umilkło. Człowiek wydał z siebie sapnięcie, słyszalne z daleka, usiadł za kierownicą i zjechał z chodnika do tyłu. Na środku jezdni zatrzymał się, ruszył do przodu i skręcił w Wmowa. Przeszli do rogu i patrzyli za nim. Gdzieś w środku Wmowej chybnął się jakoś, zjechał do lewego krawężnika i zatrzymał samochód. Wysiadł, obejrzał go. Bartek i Pawełek nie musieli się zbliżać, doskonale wiedzieli, co zobaczy. Lewe tylne koło siedziało. - A teraz - powiedział Bartek mężnie - jeżeli zacznie zmieniać, znaczy właściciel, jeżeli nie... Człowiek podrapał się po głowie, postać chwilę, otworzył bagażnik i wyciągnął klucz do kół i lewarek. - Chyba wyszło nie najlepiej - mruknął Pawełek z powątpiewaniem. - Ale znów z drugiej strony niech oni nauczą się wyłączać własne alarmy, bo od tego można niczego. Bartek zgodził się z jego zdaniem gorliwie. Nie zapobiegli może tym razem kradzieży, ale przeprowadzili akcję dydaktyczną. Puczyli półgłówka, że powinien wiedzieć, co robi. - No nic. przejdźmy się - zaproponował Pawełek obojętnym tonem, ruszając w górę Chocimskiej. - Co nam zależy, na wszelki wypadek... Przed samotnym budynkiem na początku Słonecznej stał między innymi mercedes, swoją nowością rzucający się w oczy. Pawełek i Bartek zorientowali się nagle, że mają towarzystwo. Od drugiej strony podeszło do mercedesa dwóch młodych osobników. Jeden oparł się o maskę i zaczął zapalać papierosa, drugi obszedł samochód dookoła, pokręcił się między pozostałymi, rozejrzał się i wrócił do kumpla. Przez chwilę obaj stali przy drzwiczkach, potem nagle okazało się, że drzwiczki są otwarte. Pawełka tknęło. Zatrzymał się na moment, po czym ruszył dalej. - Teraz - powiedział przez zaciśnięte zęby. Na ułamek sekundy odezwało się wycie mercedesa i od razu zamilkło. Bartek przyśpieszył kroku. - Czyli, znaczy, z tego wynika, że złodziejom wychodzi to lepiej niż legalnym właścicielom - pomamrotał półgłosem tonem pełnym napięcia. - Jazda, co...? - I to już! - pogonił Pawełek.

Jeden z facetów siedział przy kierownicy i dłubał w stacyjce, drugi otworzył drzwiczki pasażera. Bartek wyprzedził Pawełka, posuwistym krokiem zbliżył się do bagażnika mercedesa, noga stołowa znów zniknęła z jego ramienia. Przeszedł za samochodem jakoś dziwnie, jakby lekko utykając, po czym znikł za parkującą przy schodach furgonetką. Pawełek wycofał się na Chocimską i noga za nogą powlókł się dalej, z głową wykręconą do tyłu, podpierając się niekiedy ciupagą. Mercedes ruszył, najpierw do tyłu, potem do przodu, następnie skręcił w Chocimską. Przejechał jeszcze może z dziesięć metrów, został zatrzymany na środku ulicy, dwaj faceci wyskoczyli, obejrzelili tylne koła i w kilka sekund później zniknęli z pola widzenia. - Teraz będzie piekło, bo stoi na środku i nikt nie przejedzie - powiedział Pawełek do Bartka, który zniemacka pojawił się obok niego. - Ale właśnie o to chodziło. Niech pękne trzysta razy, jeśli to nie byli złodzieje! Bartek tylko kiwnął głową. Z przejęcia, dumy, satysfakcji i upojenia nie był w stanie wydać z siebie głosu. Ta noga stołowa to było wprost cudo! I w dodatku sam ją sobie własnoręcznie wykonał...!

Poczekali chwilę, bo za mercedesem zatrzymała

się taksówka i zaczęła trąbić. Za taksówką ujrzeni szpitalną karetkę. -Zaraz się zrobi polka nie z tej ziemi - wyprorokował Pawełek. -- Ten właściciel chyba gdzieś tu jest? Za blokującym drogę mercedesem stały już trzy samochody, trąbiące przeraźliwie, a dookoła kręciło się pięć osób, kiedy Pawełek poczuł nagle, że coś dotknęło jego nogi. Oderwał wzrok od jezdni, spojrzął w dół. Przy nim znajdował się Chaber. -O rany, co...? - zaczął z niepokojem i ujrzał Janeczkę. Dopadła ich właśnie, lekko zdyszana. - Musicie iść ze mną - powiedziała stanowczo, nie zwracając uwagi na przedstawienie, które wyraźnie nabierało rozpędu, bo pojawiło się jeszcze kilka osób, a wśród nich właściciel mercedesa. - Chaber znalazł dziwną rzecz u pana Wolskiego. Musicie to zobaczyć natychmiast! Przez krótką chwilę Pawełek czuł się wyraźnie rozdzierany na dwie połowy. Jedna chciała koniecznie oglądać dalszy ciąg sztuki ulicznej, ciekawa reakcji właściciela, druga zainteresowała się gwałtownie znaleziskiem u pana Wolskiego. Janeczka wydawała się bardzo przejęta i niepewna. - Nie wiem, co to jest - odpowiedziała na pytania. - Właśnie dlatego musicie zobaczyć i mam nadzieję, że tego nie zabrał. Mnie nie widział, chociaż wyszedł, bo Chaber uprzedził, że idzie. Ale może jest podstępny i na przykład patrzył przedtem z cudzego okna. Albo z dachu. Ale jest to przyrząd. - Jaki przyrząd? - spytał rzeczowo Bartek. - Podejrzany i tajemniczy - odparła sucho Janeczka. - Nie będę się wygłupiać, bo się na tym nie znam i może się mylę, ale mam swoje poglądy. Idziemy! Pawełek ostatnim spojrzeniem pożegnał jeszcze przepychanego na bok mercedesa i zrezygnował z reszty widowiska. - Jak nas znalazłaś? - zaciekawił się po drodze. - Nie ja. Chaber. -Przecież pojechaliśmy autobusem! - No to co? Też wsiadłam do autobusu i zaczęłam sprawdzać na przystankach. Wywęszył was na trzecim i już nie było sprawy. Pośpiech wydawał się wskazany, większość trasy przebyli zatem tramwajem, który akurat nadjechał. Wsiadli przy Odyńca, wrócili kawałek. Na podwórze pana Wolskiego na wszelki wypadek weszli od strony Raclawickiej, przodem wysyłając psa. Od razu zasygnalizował, że wszystko w porządku i nie grozi im niczyja niepożądana obecność. - To - powiedziała cichutkim szeptem Janeczka i poświeciła reflektorkiem. Przez kilka chwil Pawełek i Bartek w milczeniu oglądali coś małego, okrągłego, uczeponego ściany murowanej budy tuż pod samym daszkiem. Równocześnie zrozumieli, co to Jest i aż ich podrzuciło. "Ha...!!!", zamierzał wrzasnąć Pawełek. Nie wrzasnął jednak. Zaledwie otworzył usta, siostra gwałtownym ruchem zatkała mu je ręką. Druga usiłowała zatkać usta Bartkowi, ale przeszkodził jej w tym reflektorek. Bartek wykonał błyskawiczny unik i ocalił czaszkę przed ciosem. zarazem jednak zdołał zrozumieć, że wydawanie z siebie dźwięków jest niewskazane. Odsunął się na bezpieczną odległość. Janeczka pociągnęła brata za rękaw aż za zwałowisko opakowań sklepowych. -Zaraz wam pokażę takie drugie i trzecie - oznajmiła szeptem - Wszystkie znalazł Chaber. Zapomniałam wam wcześniej powiedzieć... To znaczy, wcale nie zapominałam, tylko nie chciałam się wygłupić, ale uważam, że na wszelki wypadek lepiej nic nie mówić. Więc nie otwieraj gęby, z gadaniem możesz poczekać. Pawełek również zrozumiał wszystko i nie miał pretensji. - Dobra, aby cicho - szepnął z przejęciem. - Gdzie...? Obejrawszy jeszcze dwa takie same krążki, w najgłębszym milczeniu i prawie bez oddechu przemieścili się znów na Raclawicką - Mikrofony - powiedział z wielką stanowczością Bartek, ciągle szeptem. - Raz w życiu widziałem coś takiego podobnego i uważam, że to jest szpiegowska pluskwa, tylko trochę większa. - wobec tego Już wiemy, skąd pan Wolski wszystko wie - dodał triumfująco Pawełek półgłosem. - Wcale nie musi czatować godzinami, siedzi spokojnie w domu i słucha. - nawet słuchać nie musi, bo może sobie nagrywać - uzupełniła Janeczka z ogromną ulgą. - Wreszcie to rozumiem! Tak mi się właśnie wydawało od razu, ale nie byłam pewna. W każdym razie Haber powiedział, że pan Wolski najwięcej się placze dookoła tych rzeczy. Pewnie sprawdza, czy są dobrze przyczepione, albo może to się zużywa i musi wymieniać na nowe. - Iz tego wynika, że oni się tu spotykają co jakiś czas, a możliwe, że codziennie - podjął znów Bartek głosem już prawie normalnym. - Gdzieś się muszą spotykać, a to miejsce jest ekstra klasa. Czyli co...? -Czyli leż powinniśmy ich podsłuchać- zdecydował bez dalszych namysłów

Pawełek. - Czekajcie, zaraz, niech spojrzę... Porzucił towarzystwo i znikł w wejściu, prowadzącym na podwórze. Janeczka i Bartek popatrzyli za nim. Kręcący się pod ich nogami Chaber nagle pisnął cichutko. Gdyby nie to piśnięcie, nie zwróciliby żadnej uwagi na samochód, wjeżdżający od Puławskiej. Janeczka pochyliła się szybko. - Chaber, do Pawełka! - rozkazała i w ciągu sekundy pies znikł - Co ma być : - zainteresował się Bartek. - Nie wiem. Ale Chaber wie, co robi. Niech i Pawełek wie. Chodźmy w tamtą stronę... Samochód przejechał jeszcze kawałek i zatrzymał się pod sklepem. Kierowca wysiadł i wszedł do sklepu. W chwili kiedy padło na niego światło nad drzwiami, poznali go obydwójce. -Purchel! - syknęła Janeczka. - Chaber wiedział od razu! Purchel zabawił w sklepie krótko, wyszedł i skierował się z powrotem, samochód pozostawiając pod drzewem na poboczu. Janeczka i Bartek, którzy zdążyli już skrócić w Bałuckiego, zaczekali, aż znikł im z oczu, i natychmiast wrócili do narożnika. Ujrzeni go jeszcze z daleka, jak wchodził do budynku. - No i teraz sam widzisz - wytknęła Janeczka z triumfem. - Co by było bez tego psa? Dobrze, że Pawełek tam poszedł. Chaber go ostrzeże i może mu się uda co podsłuchać. Bo jestem pewna, że poszedł na spotkanie! Bartkowi ostrym galopem wbiegły do głowy rozmaite pomysły. - Gliny o nim wiedzą? - spytał gwałtownie. - Nie wiem. Myśmy im jeszcze nie mówili. - Ja bym powiedział. I żeby nie było, że gołosłowne i tak dalej, niech go zobaczą na własne oczy Trzeba zadzwonić, ale już! - W takim razie Jedno koło nie wystarczy, muszą być dwa - Zawyrokowała z zimną krwią Janeczka, która bez trudu odgadła do końca myśl Bartka. - Załatw sprawę, a ja poszukam telefonu. Z byle kim rozmawiać nie będę, tylko z porucznikiem. Telefoniczne bóstwa były widocznie przeciwne złoczyńcom i stały po stronie praworządności, bo Janeczce udało się zrealizować zamiar ze zdumiewającą łatwością. Nie szukała automatu, weszła po prostu do jednego z pawilonów handlowych i grzecznie spytała, czy mogłaby skorzystać z telefonu. Uczyniła na właścicielce wrażenie tak doskonale, że uzyskanie pozwolenia nie stanowiło żadnego problemu. Porucznik Wierzbński był jeszcze w pracy.

- Właśnie miałem wychodzić - powiedział. - Zawróciłem od drzwi. Co się stało? - Spotkał się jeden taki z drugim - odparła pośpiesznie Janeczka. - My wiemy, kto to jest, ten jeden, ale uważamy, że powinien pan sam zobaczyć. On tu jeszcze trochę zostanie, bo zdaje się, że ma kłopoty z samochodem. Drugiego zobaczy mój brat. I pies. Raclawicka, między Puławską i Bałuckiego. Informacja może nie była idealnie jasna, ale porucznik nie miał przesadnych wymagań. Milczał przez chwilę.

- Dobrze, dziękuję ci bardzo - powiedział wreszcie i odłożył słuchawkę.

- Bardzo krótko rozmawiałaś - pochwaliła właścicielka pawilonu. - Zdążyłaś w ostatniej chwili, bo już zamykam. Ależ dziecko, daj spokój, nie chcę żadnych pieniędzy, zwracanie głowy, nie ciągnę przecież zysków z telefonu... Bartek czekał w sąsiednim wejściu do budynku. doskonale ukryty.

-Już wylazł - oznajmił, kiedy Janeczka podeszła. - Chodź, popatrzmy, jak będzie ruszał. Od Puławskiej wjechał w Raclawicką radiowóz. przejechał powoli, podążył ku Kazimierzowskiej. Spod sklepu ruszył w tę samą stronę samochód Purchla. Przejechał zaledwie kilka metrów, zarzucił jakoś dziwnie, zjechał znów na pobocze i zatrzymał się. Purchel wysiadł i obejrzał tylne koła. Oba właśnie mocno klęśły. - Każde po dwa razy - zawiadomił Janeczkę Bartek. - Bałem się, że za daleko odjedzie... - Niekoniecznie musimy stać tak okropnie na widoku - zwróciła uwagę Janeczka. - Lepiej trochę wróćmy. Pawełek powinien zaraz... O, już są! Najpierw podbiegł do nich pies, a zaraz za nim ukazał się Pawełek. Był zemocjonowany w najwyższym stopniu. - Nie wiem, czy pan Wolski jest w domu, nie miałem czasu pytać psa - powiedział pośpiesznie. - Ale jeśli jest, powinien wylecieć z rekordowym odrzutem. Na cztery samochody się czają, w tym jeden już dziś, z Poznania jedzie i mają do niego kluczyki. Mieszka na Żoliborzu. - Pana Wolskiego nie ma, na własne oczy widziałam, jak wychodził - przypomniała Janeczka. - Ale teraz już jestem pewna, że on to sobie nagrywa. Wróci, posłucha i możliwe, że coś zrobi. I będzie to w nocy. Chora jestem od tych nocy!

- A pewnie - przyświadczył Bartek z rozgoryczeniem. - Długo już jedzie z tego Poznania? - Według tego, co gadali, wyjechał dopiero co. Znaczący, zdążyli potem podzwonić i tu przylecieć. Z godzinę może, albo mniej. Bartek podszedł bliżej latarni i popatrzył na zegarek.

-Pięć po siódmej. Trzy godziny, albo cztery, zależy jak jedzie. Po dziesiątej tu będzie, albo po jedenastej. To nie tak późno... - Na nic - utemperowała go Janeczka. - O tej porze akurat musimy być w domu i każdy by zauważył, że nas nie ma. Druga w nocy to owszem. Jeszcze się nad tym zastanowimy. Gdzie siedziałeś? - zwróciła się nagle do brata. Pawełek zrozumiał pytanie. - Tamten od tamtej strony już był. Chaber mnie podprowadził i podkradłem się od tyłu do tej szopy. Sklep zamykali, brzęczało żelastwem i nie było mnie słychać. Gadali mi prawie nad głową, akurat przy tej pluskwie pana Wolskiego. Bo co? - Bo tak się zastanawiam, czy nas nie było

słychać, ale wychodzi mi, że nie. Za każdym razem siedzieliśmy tam pojedynczo, a do Chabra mówiłam szeptem. Pan Wolski o nas nie wie. - A nawet jakby wiedział, to co? Janeczka zmarszczyła brwi, wzruszyła ramionami i pokręciła głową. - Wszystko. Mam na myśli, że wszystko jest możliwe. Mogłoby o nas nagadać. Mogłoby mu się nie spodobać, że wiemy, że tu przychodzimy i tak dalej, i napuściłby na nas kogo popadnie. Policję, szkołę, rodzinę... Rodzina najgorsza. Ale nie, na całe szczęście nie zdążyłeś zaryczeć, więc uważam, że nie wie. Obserwujący uważnie sytuację na ulicy Bartek puknął Pawełka w łokieć.

- No, już go mają. Popatrzcie! Obok zmieniającego koło Purchla zatrzymał się radiowóz. Dwóch funkcjonariuszy wysiadło i zaczęło z nim rozmawiać. Wyglądało to na przyjacielską pogawędkę, robili nawet wrażenie, jakby gotowi byli mu pomóc. Obejrżeli wprawdzie jego dokumenty, ale z daleka widać w tym było życzliwość i współczucie. Obok, z jednej strony, zatrzymał się właściciel samochodu zaparkowanego o dwa drzewa dalej, z drugiej zbliżał się pan z pieskiem, skądś pojawił się jeszcze jakiś trzeci osobnik. - Ty, patrz! - syknął Pawełek. - Porucznik! - Bardzo szybko przyjechał - pochwaliła Janeczka. - Chyba go wiozła straż pożarna. Powinniśmy powiedzieć mu coś więcej, chociażby o tym samochodzie z Poznania. Stój! Gdzie lecisz, zwariowałeś?! Nie możemy się pokazywać w jego towarzystwie! Ten Purchel ma chyba oczy w głowie, a w dodatku ten drugi też się może gapić. - Wyszedł na tamtą stronę. Na Olkuską. - No to co? A może potem polazł na Bałuckiego? Wszystko tu widać z daleka. I sam Purchel wystarczy.

- To jak robimy?

-Znajdziemy jakieś dobre miejsce, schowamy się tam i Chaber go do nas przyprowadzi. -No to w sieni. W tej sąsiedniej. Pies powie, czy nikt nie podsłuchuje...

Udając wielkie zainteresowanie zmianą kół, która unieruchomiła właściciela samochodu radykalnie, porucznik dyskretnie rozglądał się dookoła. Był przekonany, że te okropne dzieci gdzieś tu się znajdują i czuł, że może się od nich wiele dowiedzieć. Denerwował się bardzo ich udziałem w aferze, ale z drugiej strony doceniał wagę uzyskiwanych informacji. Miał rozpaczliwą nadzieję, że nie zrobią niczego, co zwróciłoby na nich podejrzenia. Purchel błagał obsługę radiowozu o przysłanie mu taksówki, a porucznik łypał okiem we wszystkich kierunkach równocześnie. Przy swoich nogach ujrzał nagle psa. Poznał go od razu. Pies popatrzył na niego wzrokiem prawie ludzkim, odbiegł kawałek, zatrzymał się i obejrzał. Porucznik doznał ulgi i bez chwili wahania ruszył za nim. W zakamarku pomiędzy budynkami zastał liczne towarzystwo.

- Jaki on miał numer, ten Purchel? - spytała gorączkowo Janeczka, zanim zdążył się odezwać.

- Prawdziwy czy fałszywy? Bo niech pan sobie przypomni, u nas czekał z fałszywym i tutaj poprzednio przyjechał też z fałszywym. A teraz co? Sprawdzili przecież! - Teraz miał prawdziwy - odparł porucznik i zaczął szybko myśleć. - Gdzie się zatrzymał poprzednio? Też tam? Pod sklepem? -Nie. Tutaj. Bardzo blisko przejścia. - W takim razie dedukuję, że z jakiegoś powodu nie zmienił prawdziwego na fałszywy i dlatego odjechał dalej. Może sobie pogratulować. - Ochchch... - powiedziała Janeczka. - No dobrze, powiemy panu... Znów się tu spotkali i mój brat słyszał, co mają zamiar kraść... Ta akurat wiedza była dla

porucznika bezcenna. Ponadto Janeczka wysunęła propozycję, żeby włączyć w sprawę sprzymierzeńca w postaci pana Zajrzała. Znow jechał z Poznania samochód, do którego złodzieje mieli kluczyki... - W porządku, to jest robota dla mnie - powiedział porucznik. - Niech was ręka boska broni wtrącać się do tej imprezy na Żoliborzu. Niech kradną, długiej uciechy z tego nie będą mieli, to wam gwarantuję. Adres tego pana Zajrzała proszę... - No i dlaczego znowu nie pozwoliłaś powiedzieć ani słowa o panu Wolskim? - spytał Pawełek, wchodząc do pokoju siostry po opuszczeniu łazienki. Janeczka elegancko wygładziła pościel na tapczanie. Zawahała się, odwinęła kołdrę i usiadła.

-Bo ja wiem... Ten pan Wolski jest strasznie dziwny. Ja bym wolała poznać go trochę lepiej. On jest przecież chyba po naszej stronie? -Wygląda, że po naszej. Ale może być tak, że porucznik coś o nim wie. Też byśmy się dowiedzieli.

- Ja uważam, że chyba nie wie. A jeżeli nie wie, to byłaby to zdrada współnika. Głupi donos. I mogliby mu przeszkodzić, i na przykład zabrać te pluskwy. Nie jestem pewna, ale tak mi się wydaje. Pawełek zastanowił się, sapnął i opadł na fotelik.

-No może... A może odwrotnie, on jest w szajce i po cichu wszystko kontroluje...

-I tak im ułatwia pracę, dziurawiąc opony?

- Może z czymś nawalili i to było za karę. Nie wypłacili mu doli. Albo miało to być takie podstępne ostrzeżenie. Jedno co jest pewne, to to, że musi im się mylić, które pan Wolski, a które my. On jest w ogóle czysta perła dla nas, bo jakby co, można zwalić na niego wszystko i nam się upiecze. Janeczka z zadowoleniem kiwnęła głową.

-No więc właśnie. Wolę go ukrywać najdłużej, jak się da. uważam, że trzeba się do niego porządnie przyczepić. I możliwe, że w końcu nawet z nim porozmawiać. Resztę porucznik wie i niech sam załatwia tych prokuratorów i ministrów. - I tego jakiegoś Lewka. Co to może być, ten Lewek? Z książki telefonicznej nie wyszedł. A co do prokuratorów, to jak on ma łapać tych złodziei, skoro w szajce mają prokuratora? Ale może go teraz wyleją z roboty. To co robimy? - Po pierwsze, znow się rozdzielamy, ale tylko częściowo. Po drugie, niech Bartek robi tę Szwedkę dla Stefka. Po trzecie, niech się Zbinio zajmie bratem WieSia. Po czwarte... nie wiem, co po czwarte, bo to zależy od tego, co będzie. -Za Purchlem jeździmy? - A po co? Już o nim wszystko wiemy. Teraz niech za nim jeździ porucznik, może go złapie na jakimś odpowiednim gorącym uczynku. - Trochę bym mu utrudnił - powiedział Pawełek, podnosząc się z fotelika. - Komu? - Purchlowi. Niech mu się nie jeździ za łatwo.

- To zawsze można - zgodziła się Janeczka. - Czekaaj, wiem, co po czwarte! To w ogóle jest doskonały pomysł. Wszystkim tym przestępcom powinno się utrudniać! Więc jednak za Purchlem trochę pojeździć musimy, żeby ich poznać. -

Pierwszorządnie! - ucieszył się Pawełek. - A potem razem z Bartkiem i Stefkiem będziemy odwalać robotę! To co, skoczę na górę po Rafała?

-Skocz...

Rafał akurat dysponował odrobiną luzu, ponieważ jego obecna narzeczona wyjechała na kilka dni. Zdradził się z tym prawie bezwiednie, wyrażając zgodę na poczynania śledcze. Samochodem jadącym z Poznania zainteresował się wyraźnie. - Volkswagen ma to być? Golf?

- Golf - potwierdził Pawełek. - A co...?

-I pod jaki adres jedzie? Pawełek wymienił ulicę i numer domu. Rafał spojrział na budzik Janeczki. - Wy to nie, ale ja bym mógł - rzekł z lekkim wahaniem. - Matce powiem, że muszę pojechać po kogoś na dworzec. Co wy na to? Pawełek poparł jego myśl z ognistym zapałem. Odżalować nie mógł, że nie zobaczą akcji, jaką sami naraili policji. Dzięki Rafałowi mogli mieć przynajmniej relację z wydarzeń. - I to się zgadza, na dworcu trzeba czekać na przyjeżdżającą osobę i ty też będziesz czekał na przyjeżdżającą osobę - zwróciła uwagę Janeczka. - Więc prawie powiesz prawdę.

- W porządku, jadę! - zdecydował się Rafał.

- Która godzina...? Dopiero po dziesiątej, to jeszcze za wcześnie... Ale pojedę, pociągi się czasem spóźniają... Mieli najszczerzy zamiar czekać na jego powrót



i od razu usłyszeć opowieść, ale pani Krystyna dopilnowała, żeby znaleźli się w łózkach. W łózkach zaś sen zmorzył ich, zanim się zdążyli zorientować...

-Znalazłem sobie bardzo dobre miejsce i nawet nie wysiadałem - mówił nazajutrz Rafał przed domem Purchla. - Małych fiatów stoi tam zatrzęsienie, innych wozów też dużo, chociaż przeważnie mają garaże. Siedziałem i patrzyłem możliwe nawet, że udało mi się zdrzemnąć ale obudził mnie pies. Jakaś pani z nim wyszła czekała, bo zobaczył kota, poderwał mnie akurat we właściwej chwili. Golf z Poznania przyjechał dziesięć po dwunastej i powiem wam, że zorganizowane to było pięknie. Złodzieje czekali aż trudno uwierzyć, o dwa samochody ode mnie. Przyjechali i zaparkowali właśnie w tym czasie, kiedy się zdrzemnąłem, więc wcale o nich nie wiedziałem. Facet przyjechał tym Golfem, wysiadł i zaczął otwierać bramkę w ogrodzeniu, taka mała willa to była, a złodzieje zadziałali bezczelnie wręcz nie do uwierzenia... Janeczka poruszyła się gwałtownie, machnęła ręką i trafiła go w ucho. - Wyszedł! - syknęła. - Uważaj teraz! Rafał urwał opowieść i zapalił silnik. Przez chwilę wszyscy milczeli, obserwując wsiadającego do samochodu Purchla.

-Możesz jechać i mówić dalej - zadysponował Pawełek. - Nic wielkiego się nie dzieje. - On w końcu zwróci uwagę na to moje pudło - zatroskał się Rafał, ruszając.

-Na małego fiata?! Jakbyś jeździł jakimś czerwonym porsche, albo co, to może by spojrział. Dużo go obchodzą małe fiaty. O, już się płacze drugi!

- Na wszelki wypadek następnym razem możesz pożyczyć samochód od wujka Andrzeja - poradziła Janeczka. - On się domyśla, że coś robimy, ale nic nie mówi, więc chyba ci pożyczycy. Mów dalej! Co zrobili bezczelnie? Rafał wrócił do opowieści o wczorajszym wieczorze.

- Wykręcili taki numer, że się skichać można.

Facet otwierał bramę o dwa metry od swojego samochodu... No nie, więcej trochę, postawił go po prawej stronie jezdni, a bramę miał po lewej, uszykował się do skrętu, bo tam było dosyć ciasno. I nawet go zamknął, może odruchowo, a może przez rozum. A oni podeszli, było ich dwóch, jeden z jednej strony, a drugi z drugiej, cicho szli, pewnie mieli buty na gumie, ale tak jakoś zwyczajnie, jakby normalnie przechodzili. Na własne oczy widziałem, że wysiedli z tego zaparkowanego samochodu, wiedziałem, że się szykuje kradzież i nic mi nie przyszło do głowy! Byłem - ciekaw, jak to zrobią, ale żeby tak...? Nie do wiary! - No jak? - pogonił niecierpliwie Pawełek. - Lepiej też jedź lewym pasem, tak jak on -

poleciała Janeczka.

- A zwyczajnie - kontynuował Rafał, zjeżdżając na lewy pas. - Przechodzili sobie spokojnie, ten z lewej zatrzymał się dosłownie na moment, kluczyki chyba trzymał w ręku w sekundę siedział za kierownicą, otworzył drzwiczki temu drugiemu, wystartował i cześć Ten drógi wskoczył prawie w biegu, trzasnął drzwiczkami Jak JUŻ Jechali. Właściciel przy bramie zbaraniał tak, że nawet się słowem nie odezwał, odwrócił się tylko, stał jak pień i patrzył. Odjechali dobre dwadzieścia metrów i dopiero wtedy ruszył za nim z krzykiem...

- Co krzyczał? - zaciekawił się Pawełek.

- Głównie wydawał z siebie taki ryk na y Takie yyyyy...! Tylko trochę chrypiące. Co do słów, to usłyszałem "ratunku", "złodzieje" i "rany boskie". A jeszcze wrzeszczał "stój, ty gnoju!". Dosyć bez sensu. Zwolnili trochę, żeby skręcić, i tam ich spotkało nieszczęście. Mały fiat się napatoczył, prosto pod ich maskę, Chamowali, ale puknęli go zderzakiem, obrócił się i zastawił im drogę. Kierowca z niego wylazł i od razu się przewrócił, no i na to wszystko nadział się radiowóz. Nie mogli udawać, że nic nie widzą, bo ten z małego fiata był taki pijany, że prawie zdążył zasnąć na jezdni. W pierwszej chwili myśleli chyba, że nie żyje. Widziałem to, bo ruszyłem za nimi, z tym że przedtem odjechał ten samochód, z którego wysiedli, przodem był ustawiony, wyskoczył i dmuchnął w przeciwną stronę, audi, numer mam zapisany. Ja pojechałem za właścicielem, udałem, że przypadkiem tak sobie wolno przejeżdżałem. Właściciel nadleciał, jednemu policjantowi rzucił się na szyję, a drugiego usiłował pocałować w rękę, potem oprzytomniał trochę, ale zdenerwowany był taki, że jeszcze mu zęby

szczękały. Padł na kolana i oglądał swój zderzak. Tamci dwaj za to byli całkiem spokojni i zdaje się, że od razu zaczęli nawijać, jak to im się przejażdżki zachciało. To jest to, co porucznik mówił, nawet ich łapać nie warto.

- To znaczy, że nieszczęście spotkało porucznika zaopiniowała smętnie Janeczka.

- Nas tam wcale nie było, i też im nie udało się jechać za złodziejami. Cała robota na nic. Szkoda, że nie wzięłaś ciupagi, albo chociaż mojej parasolki, bo ten w audi daleko by nie pojechał. Skoro uciekł od razu, pewnie był ważniejszy.

- Mam numer - przypomniał Rafał.

- Pewnie Fałszywy.

- Hej! - zaniepokoił się nagle Bartek z tyłu. - Czy on przypadkiem nie pruje do Poznania? Purchel pchał się na zachód. Zaniepokoiłi się wszyscy.

- Do Poznania nie jadę... - zaczął buntowniczo Rafał, ale w tym momencie BMW zamrugało prawym kierunkowskazem.

- Na Jelonki się pcha - stwierdził z ulgą Pawełek i ożywił się gwałtownie. - Ejże! Na Borowej Góry mieli ukraść BMW. Sprawdziłem na planie miasta, to gdzieś tutaj.

- Osobiście udziału nie weźmie, więc pewnie i tu jedzie pilnować - stwierdziła Janeczka - Zobaczmy, co zrobi Do BMW nawet się zbliżyć nie będziemy, żeby znów nie było awantury Purchel skręcił w lewo i wjechał między budynki i parkingi Zwolnił bardzo, znalazł sobie kawałek pustego miejsca, zaparkował i wysiadł Na szczęście Rafał zwolnił jeszcze bardziej i zatrzymał samochód w dostatecznej odległości, żeby nie wzbudzić w nim żadnych podejrzeń -Pójdę z Chabrem - ogłosiła Janeczka - A ty zaparkuj byle gdzie Chaber cię znajdzie Wysiadła, zabrała psa i znikła w mroku Rafał ruszył powoli, znalazł wolne miejsce znacznie dalej niż Purchel, wjechał tyłem i zgasił silnik - Co teraz - spytał niepewnie -Przyjechać, to on tutaj przyjechał - rzekł nagle Pawełek - Ale odjechać tak łatwo nie musi - Bartek, wyłazimy. Rafał pozostał sam, z jednej strony pełen niepokoju, z drugiej ogromnie zainteresowany całą akcją Zatrucie życia okropnej mafii samochodowej wydawało mu się w pełni godziwe i użyteczne Wiedział, że nie zlikwiduje problemu, ale może chociaż trochę utrudni złodziejom bez troską działalność Pawełek i Bartek wrócili po paru minutach bardzo zadowoleni Zaraz po nich pojawiła się Janeczka z psem

-Poszedł do jakiegoś, który nazywa się Władysław Łojecki - oznajmiła - Nic więcej o nim nie wiem. Mieszka na czwartym piętrze i tyle-Długo mu ta wizyta potrwa - mruknął kąśliwie Pawełek, wsiadając do malucha. - ma na co - odparła Janeczka niedbale. -- Nigdzie przecież nie pojedzie, więc co właściwie mielibyśmy śledzić...? Wracając nazajutrz ze szkoły, Janeczka ujrzała przed domem samochód porucznika. Zaniepokoiło ją to odrobinę. Zbliżyła się bez pośpiechu, tuż przed nią otwarły się drzwiczki, wsunęła się na fotel obok kierowcy. -Słuchaj, ja jestem w miarę możliwości przyzwoitym człowiekiem - powiedział porucznik - Świństw robić nie lubię, ale mam obawy że będę musiał. Prosiłem przecież, żebyście się nie wtrącali? Jeżeli całe moje gadanie okaże się rzucaniem grochu o ścianę, dalsze rozmowy z wami będę zmuszony przeprowadzać w obecności waszego OJCa.

- Jego i tak nie ma - odparła Janeczka - To po pierwsze. A po drugie to my to rozumiemy. Wcale niczego nie utrudniamy. Nawet nie wiemy, gdzie pan miał pułapkę.

- A Tuwima...?

Janeczka poczuła się zdezorientowana. Owszem, przypomniała sobie od razu, Pawełek podsłuchiwał, że na ulicy Tuwima też mieli coś kraść, ale nie było ich tam przecież, zajmowali się Purchlem... -Co Tuwima? Nic o tym nie wiem. Niech pan powie porządnie, co się właściwie stało! -Zaczynasz kłamać? - zgorszył się porucznik. - Dotychczas mówiliście prawdę. Kto uszkodził dwa samochody na Tuwima? Znów nam pułapkę diabli wzięli! Janeczka milczała przez chwilę.

- Nie my - rzekła sucho. - Wcale nas tam nie było, wszystko jedno kiedy. Byliśmy gdzie indziej i na dowód mogę powiedzieć, że ten Purchel, którego już pan zna, był u jakiegoś, który się nazywa Władysław Łojecki i mieszka na Jelonkach. I jeszcze było tam coś dziwnego, ale jak pan uważa, że kłamamy, mogę w ogóle nic nie mówić. Teraz porucznik milczał przez chwilę.

-Poważnie...? Nie, ja wam wierzę, tak mi się tylko głupio wyrwało, bo na Tuwima... No nic. W porządku, zdobądź się na odrobinę litości, bo mam straszną

pracę. - Dobrze - zgodziła się Janeczka. - Przebaczam panu. No więc naprawdę byliśmy na Jelonkach, a potem wróciliśmy do domu i o żadnym Tuwimie nic nie wiem. A tam, na tych Jelonkach, było tak, że Purchel poszedł do tego Łojeckiego, to znaczy pojechał windą, i zaraz potem do tego samego budynku i tej windy wchodził jeszcze jeden taki. Wcale bym nie zwróciła uwagi, żeby nie Chaber. Powąchał go i jakoś tak się zachował, że wróciłam na to czwarte piętro i okazało się, że on wszedł do tego samego mieszkania, do tego Łojeckiego. Przyjechał samochodem, mercedesem, zostawił go blisko domu. I nie jestem pewna, ale możliwe, że przyjechał tam spotkać się z Purchlem. Jeszcze o tym nikomu nie mówiłam.

- Jak wyglądał? - spytał porucznik nieco zdławionym głosem.

- Jak sztuczny - odparła bez namysłu Janeczka. - Mały był, jakiś taki pękaty i łeb miał wielki jak dynia. Takie kłaki skołtunione, średnio długie, ale mnóstwo, głównie w ogóle składał się z włosów. I wściekłą gębę. I mam numer jego mercedesa.

Sięgnęła do kieszeni, wydobyla notesik i znalazła zapisany numer. Porucznik przeczekał tę operację w milczeniu.

-WAL 1168 - powiedziała Janeczka. - Musi tam bywać często, bo inaczej Chaber by nie wiedział, i już widzę, że był ważny. Kto to jest? -Nie powiem ci za żadne skarby świata - odpowiedział stanowczo porucznik. - Wszystko ma swoje granice! Janeczka przyglądała mu się przez chwilę, a jej myśl biegła z szybkością światła, - W takim razie wiem - powiedziała niemiłosiernie. - To był Lewek. Porucznik nie zdołał powstrzymać zachwycenia.

Z miejsca zrozumiał, że zaprzeczenia nie zdadzą się na nic. -Słuchaj, jeżeli cokolwiek... - zaczął groźnie.

Janeczka przerwała mu bez wahania.

-Słowa jednego nie pisnę na ten temat do nikogo, z wyjątkiem mojego brata, bo wszystkie tajemnice mamy wspólne - oznajmiła stanowczo. - I są to prawdziwe tajemnice. Pod warunkiem, że pan powie, kto to naprawdę jest. Inaczej zaczniemy sami sprawdzać, chociażby po numerze samochodu, bo on nie wygląda na takiego, który by sobie zwracał głowę fałszywym. Przez długie sekundy porucznik patrzył na nią w milczeniu i z uwagą. Potem podjął decyzję. - On się wcale nie nazywa Lewek - rzekł grobowym głosem. - Tak go tylko nazywają, bo jest to awanturnik, który lubi ryczeć jak lew. Ale sama zauważyłaś, że jest mały. Skojarzenia przyszły same, taki mały lew, a zatem Lewek, i już do niego przylgnęło. Podstępna postać, ważna figura, a równocześnie coś w rodzaju szarej eminencji, bo ma olbrzymie powiązania. Istnieją przypuszczenia... Źle mówię, co tu owijać w bawełnę... Wiadomo, że jest opiekunem różnych mafii, każe się opłacać wszechstronnie i wywiera wpływ nawet na kwestię ustawodawstwa. Orientujesz się przecież, że Sejm to są ludzie, on wielu z tych ludzi trzyma w garści. Nic mu nie można udowodnić. Marzę o tym, żeby kogoś na przykład zabił, niechby nawet w afekcie... Opanował się, bo poczuł, że wychodzą z niego zbyt wielkie namiętności, całkowicie nie na miejscu w rozmowie z dzieckiem. Przez chwilę zgrzytał zębami, co mu bardzo pomogło. Spróbował zastanowić się, co jeszcze powinien powiedzieć, żeby powstrzymać Janeczkę od jakiegokolwiek działania. Janeczce nie potrzeba było nic więcej. Czuła się całkowicie usatysfakcjonowana.

- Co do zabicia, proszę bardzo - zgodziła się z kamiennym spokojem. - Ale nikogo z nas, to mowy nie ma. Niech sobie zabija kogoś innego. Uspokoiliam się, poza tym że... gdzie on mieszka? - Ma willę w jednej z podwarszawskich miejscowości i, chwała Bogu, żadna miejska komunikacja tam nie chodzi - odparł porucznik z ulgą. - Co do pracy, nie robi nic, tylko zajmuje stanowisko. Więc może nie uda wam się nawiązać z nim osobistego kontaktu. Janeczka wzruszyła ramionami.

- Nie to nie. Wcale się do niego nie pchamy. Możliwe, że... Przyszło jej do głowy, że na ulicy Tuwima był pan Wolski. Zawahała się. Porucznik już odzyskał równowagę po swoim chwilowym wybuchu, patrzył na nią pytająco.

- Możliwe, że jest taki ktoś... Taka osoba...

- Co za osoba? Janeczka znów się zawahała. Nie, jeszcze za wcześnie było mówić o panu Wolskim. Jeszcze trochę.

- No, jest taka osoba, która też się nimi zajmuje. I możliwe, że dużo wie.

Powiemy panu o niej, ale trochę później, jak już sami będziemy więcej wiedzieli.

To znaczy, sam pan rozumie, nikt się nie dowie tego, co wywęszy nasz pies, a my się dowiemy od psa. Przedziwny argument do porucznika przemówił. Czuł się tak skołowany, że bez oporu zgodził się poczekać na psie informacje. Obok drzwiczek pojawiła się nagle jakaś postać i Pawełek pochylił się do okienka.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie.- Mam coś nowego. Chce pan? Porucznik bez namysłu odblokował tylne drzwiczki.

- Wsiadaj. Chcę. Co się stało? Pawełek zrzucił z pleców torniister i usiadł.

- Duża draka. Przyjechała ruska mafia i już są w Warszawie. Z ośmiu ich chyba, a przyjechali po samochody. Ma być hurtowa kradzież u Niemców, ma to wjechać do nas, a oni zabiorą do siebie. Ciekawe, co ci Niemcy na to.

-Skąd to wiesz? Janeczka odwróciła się i popatrzyła na brata. Pawełek wetknął twarz pomiędzy fotele. -Od Zbinia. Stefek doniósł. A Zbinio od brata Wiesia, wczoraj mu się wygadał wieczorem. W nerwach.

-Nie rozumiem, co mówisz - powiedział porucznik surowo. - Co to za osoby i skąd oni wiedzą?

Pawełek wyjaśnił, kto to jest Zbinio, kto to jest Wiesio i skąd im się wziął jego brat. Stefka na wszelki wypadek potraktował lekceważąco i prawie pomiął. Porucznik zażądał nazwisk i adresów. - Ale brata Wiesia niech pan tak od razu nie łapie i nie zamyka, bo on to robi z głupoty - powiedziała Janeczka. - I teraz już trochę pod przymusem - dodał Pawełek. - Chyba go Wiesio spłoszył i wolałby się wyplatać. Dlatego lata zdenerwowany i dlatego tyle mu się wyrwało do Zbinia. Nie całkiem trzeźwy był podobno. Będą wjeżdżać przez dwa przejścia graniczne, osiem samochodów razem, z tym że cztery na takim wozie transportowym, razem z innymi, legalnymi. Zdaje się, że znów coś załatwili przez Ministerstwo Finansów. Ja bym przypilnował tego wiceministra, aż zacznie chodzić piechotą... Ujrzał nagle okropny wzrok siostry, uświadomił sobie, co mówi i urwał. Porucznik nie podjął tematu, chociaż przed oczami duszy zamajaczył mu czarowny obraz. Kolejne, unieruchomione samochody i wyskakujący z nich, rozwścieczony złoczyńca, wszędzie spóźniony, zmuszony do korzystania z ulicznych telefonów...

Dezorganizacja w przestępczym przedsiębiorstwie i cała szajka wszystkie w ogóle szajki, brnące przez zimową breję i pchające się do autobusów... Otrząsnął się z uroku. - Wiadomość jest ważna i może nam coś da - powiedział sucho. - Powtórz to wszystko dokładnie i szczegółowo. I od razu proszę żadnego waszego udziału! Oni działają brutalnie Pawełek posłusznie powtórzył wszystko czego się dowiedział przez Zbinia. Janeczka siedziała spokojnie. -Proszę bardzo, my się tego nie dotkniemy - zapewniła porucznika. - Po całej Polsce jeździć i tak nie damy rady, więc zajmijmy się czymś innym.

--Dobrze - zgodził się z lekkim roztargnieniem porucznik, zaabsorbowany już obmyślaniami własnych planów. - A za kilka dni spotkamy się i powiecie mi o tej osobie. Samochody zostawić w spokoju...

-Ty, w czym rzecz? - spytał Pawełek otwierając furtkę. - Co za osoba? Dlaczego on tu czekał?

- No i proszę, pozwolili nam robić, co chcemy - powiedziała Janeczka z triumfem..

- Wyraził zgodę, sam słyszałeś... Przywitała Chabra i wyjaśniła całą resztę Pawełek zainteresował się gwałtownie sprawą ulicy Tuwima.

-To pan Wolski, mur beton. Co robimy?

-Właśnie zajmijmy się panem Wolskim... Pośpieszny tupot nóg, biegnących ku nim po ulicy, spowodował, że nie weszli do domu, tylko cofnęli się znów do furtki. Z drugiej strony podbiegali Bartek i Stefek. Bartek machał nogą odstolika, Stefek na ramieniu trzymał Szwedkę. Obaj mieli ze sobą tornistry. - No, dobrze, że jesteście! - wysapał Bartek. - Już się bałem... Coś nie gra! -No...? - powiedziała nagląco Janeczka. Stefek wyhamował przed ogrodzeniem w milczeniu, wpatrując się w nią z uwielbieniem. Jak zwykle, w obecności bóstwa trochę brakowało mu głosu.

- Poszliśmy prosto ze szkoły, bo chciałem mu pokazać ten dom pana Wolskiego - wyjaśnił Bartek. - Jest biały dzień, nie? I nawet słońce trochę świeci, nie? A u niego pali się światło! Janeczka i Pawełek przez bardzo krótką chwilę oceniali informację. - Trzeba tam iść zaraz - zdecydowała Janeczka. - Obiad zjemy później. -A babcia...? - zauważył ostrzegawczo Pawełek.

-Babcia... Przetłumaczy się jej. A może wcale jej nie ma w kuchni... Babcia jednakże była w kuchni. Ominęliby dom całkowicie, gdyby nie to, że tornistry solidnie przeszkadzały i należało się ich pozbyć. Ukrywanie w ogrodzie nie wchodziło w rachubę było zbyt mokro. Bartek i Stefek oddali im swoje i postanowiono zadziałać metodą zaskoczenia Z czterema tornistrami Janeczka i Pawełek wpadli do domu, babcia wyjrzała z kuchni. -O, już jesteście - zaczęła. - Zaraz...

- Nie, babciu, jeszcze nas nie ma - przerwała Janeczka, Pawełek zaś czterema szmyrgnięciami ulokował obciążenie w swoim pokoju - Wrócimy za jaką godzinę, bo jeszcze musimy coś Pilnego załatwić. Obiad sobie podgrzejemy Pawełek już był na zewnątrz, siostra poszła w Jego ślady. -Właśnie chciałam wam powiedzieć że obiadu jeszcze nie ma - zawiadomiła babcia puste drzwi. - Za późno się zdecydowałam na te paszteciki... W oknie pana Wolskiego rzeczywiście paliło się światło. Nie rzucało się zbyt w oczy, ale z całą pewnością stanowiło element niepokojący. - Wyjechał na dwa dni, a światło zostawił dla zmyłki? - powiedział Bartek niepewnie. -Leży chory...? - zaniepokoił się Pawełek. - Zaraz się dowiemy - zapewniła Janeczka i ruszyła ku wejściu. - Będzie niezła robota dla Chabra. Chodź, piesku! A wy tu poczekajcie, żeby go nie rozpraszać. Zaczekali cierpliwie. Janeczka pojawiła się z powrotem po paru minutach i pokiwała na nich ręką.

- Pana Wolskiego nie ma - zakomunikowała, kiedy przechodzili przez sień i podwórze. - Wszedł już dawno i poszedł tędy. Pewnie wczoraj. Uważam, że na wszelki wypadek trzeba go poszukać i zdaje się, że ten obiad zjemy na kolację. Pan Wolski, na całe szczęście, poszedł piechotą i Chaber wskazał jego ostatnie ślady bez chwili wahania. Zbiegli po schodach koło bazaru, w galopie przebyli cały skwer Morskie Oko i znaleźli się na wielkim skrzyżowaniu Belwederskiej i Gagarina.

- No tak - wydyszał z niepokojem Pawełek. - Jeżeli tutaj wsiadł do autobusu, będziemy mieli ubaw. Szukać go na cztery strony świata...! Pan Wolski konsekwentnie nie wsiadł do autobusu. Chaber poprowadził ku wejściu do Łazienek, a potem prosto przez park. W połowie drogi spaceru pana Wolskiego przestały wydawać się im szczęściem.

- Ale ma kondycję! - sapnął potępiająco Bartek. - Pruje jak maszyna! I to ma być zramolały stary piernik, skąd on ma tyle siły...?! - On pewnie szedł trochę wolniej niż my - zwróciła uwagę Janeczka cierpkim głosem. - Chaber, pieseczku, poczekaj! Nie tak szybko! Chaber zwolnił nieco i obejrzał się niecierpliwie. Wyraźnie nakazywał pośpiech. Przez chwilę szli normalnym krokiem, a potem znów pobiegli. Mostem nad Trasą Łazienkowską przedostali się na drugą stronę, dotarli w końcu na Rozbrat. Tu Chaber wreszcie zwolnił. Zadyszana Janeczka zorientowała się nagle, że pies zaczyna zachowywać się inaczej. Zrobił się jakiś czujny, ostrożny, przemknął za rosnącymi tu licznie krzewami i zatrzymał się przed jakimś domem. Chwilę stał nieruchomo. Potem gwałtownie obwąchał teren, znów zastygł na moment i wydał z siebie cichy, głuchy, groźny warkot. Następnie cofnął się nieco, obejrzał na panią i wystawił zwierzynę. Wszyscy czworo znieruchomieli, w głębi duszy wdzięczni psu za tę chwilę odpoczynku. Po paru sekundach miejsce wdzięczności zajął niepokój.

Coś się musiało stać. Całe zachowanie Chabra wskazywało, że coś złego. W atmosferze wokół nich pojawił się jakiś nieuchwytny element napięcia i niebezpieczeństwa. Uspokajali zdyszane oddechy i odzyskiwali siły. - No! - sapnął niecierpliwie Pawełek. - Co jest...?

Janeczka ze zmarszczonymi brwiami wciągała głęboko powietrze i przyglądała się psu. - Tu- się coś wydarzyło - zawyrokowała wreszcie. - Coś niedobrego z panem Wolskim. Może... Ja nie wiem... Przyjrzyjcie się. Mnie się wydaje, że tu, gdzie on węszy, jest pogniecione. Spełnili polecenie, dokładnie obejrzeliby miejsce, które pies wąchał najdłużej. Pomiędzy ozdobnymi krzewami z resztkami liści rosła trawa, zimowa już, przywiedła, ale bujna. Wydawała się skopana, i zniszczona dodatkowo, a krzaki obok były trochę połamane i wyglądało na to, że świeżo. Pawełek wytchnął już po galopie i umysł jego w pewnym stopniu podjął pracę. - Poniewierali się - rzekł stanowczo. - Co najmniej jeden, pan Wolski. Tu upadł, albo został przewrócony, bo ja wątpię, żeby sam się wałkował dla przyjemności. - Ktoś go napadł - uzupełniła Janeczka. - Pies mówi, przecież widzicie. Zrobili mu

coś złego i byli tu złoczyńcy... Nagle powiało grozą. Całe gadanie o niebezpieczeństwach, dotychczas traktowane lekceważąco, nabrało wyraźnej treści i dotarło do nich z siłą młota pneumatycznego, walącego z góry w ciemność. Pan Wolski, najwyraźniej w świetle, z tym niebezpieczeństwem zetknął się osobiście. Wszyscy poczuli jakieś podejrzaną mrowienie w karku, ale zarazem wybuchły w nich emocje. Oto znaleźli się w samym środku tej podstępnej wojny z przestępcami, na własne oczy oglądają jej skutki i kto wie, może im też coś grozi... Przymuszalny sojusznik został wyeliminowany... O takich rzeczach czyta się w książkach, albo ogląda się je na ekranie, przeżyć to w rzeczywistości, to jest coś...! Pierwszy mężnie poruszył się Stefek, zdopingowany samą obecnością Janeczki. Nie powiedział nic, bo przez chwilę miał jakieś kłopoty z głosem, ale uczynił kilka kroków w głąb pognieczonego pobojuwiska. Za nim ruszył Bartek. - I tu go wlekli - powiedział nieco ochryple i odchrząknął. - O, widać tylne nogi...! Znaczący, chciałem powiedzieć, tylne buty... Pawełek posunął się za nim, starannie tłumiąc dreszcz zachwytu. - Buty z tyłu - skorygował. - Obcasy. To już nie ma co, napadli go, wlekli mały kawałek, a potem pewnie podnieśli, bo dalej tych obcasów już nie ma. Żywy czy zabity...? Spojrzał na psa. Chaber węszył cały czas, wyraźnie okazując, że to nie koniec śledztwa. Sam jego widok wzmagając napięcie. Ostrożnie, na ugiętych łapach i z podkulonym ogonem, przesunął się za następnym krzakiem, obwąchał jakiś przedmiot i znów warknął. Janeczka odwróciła się ku niemu, podeszła, pochyliła się i obejrzała przedmiot z bliska. Odzyskała już równowagę prawie całkowicie. - Kamień - oznajmiła zimno. - Duży dosyć. Tym dostał w głowę, nawet nie ma co oglądać, Chaber wie, co mówi. Nie dotykaj! - krzyknęła, bo Bartek skoczył i sięgnął ręką. - Zwariowałaś chyba, chcesz, żeby było na ciebie?! Teraz ten kamień śmierdzi tylko panem Wolskim i tym opryskiem! Chaber by ci zaraz powiedział, kto to był, a jak dotkniesz, wymieszasz się z nimi! Już przy pierwszym słowie Bartek cofnął rękę, jakby ukąsiła go sama bliskość narzędzia zbrodni Emocje po nich szalały ciągle, ale nabierały innego charakteru. Bez żadnego gadania wszyscy czuli, że teraz należy pokazać klasę. Stanąc na wysokości zadania i działać racjonalnie. Stefek w skupieniu, bardzo przejęty, rozgarniał krzaki swoją Szwedką. - A tu stał długo - odezwał się wreszcie, dumny z odkrycia. - Popatrzcie, odcisnęły się buty. To chyba jego, nie? Stał jak przymurowany, kawałka kroku nie zrobił! - I patrzył na coś - odgadła żywo Janeczka. - Na coś przed sobą, bo nie patrzył przecież do tyłu. Więc ten bandyta musiał się zakraść z tamtej strony i walnął go kamieniem. Zaraz, po co my... Chaber, piesku, co tu było? Pokaż, co było! Gdzie pan Wolski i gdzie ten zbój? Pokazuj wszystko! Chaber zabrał się do rzetelnej pracy. Węszył gorliwie, w skupieniu, informując o spostrzeżeniach prawie ludzkimi słowami. - Zgadza się, pan Wolski przyszedł tu okrężną drogą - tłumaczyła Janeczka. - Najpierw tu, potem się cofnął i podszedł z drugiej strony. Coś zobaczył, zatrzymał się i stał. Na coś czekał... - Ciekawe, co widział - zainteresował się nagle Pawełek. Podszedł ostrożnie na miejsce postoju pana Wolskiego i ustawił się tuż obok jego śladów, pilnując, żeby ich na wszelki wypadek nie zdeptać. Wspiął się na palce i pomiędzy gąszczem prawie bezlistnych gałęzi ujrzał wrota do garażu. Gwizdnął z nagłym zrozumieniem. - Coś mi się widzi, że czatował na następnego do przedziabania - oznajmił. - Ktoś tu mieszka podejrzanym. Niech on pokazuje dalej. - Bandyta zakradł się od tyłu - podjęła Janeczka. - Nie wiem, dlaczego pan Wolski go nie usłyszał, pewnie coś zagłuszało. Walnął go. Tam pan Wolski upadł. I ten bandzior się na niego rzucił. Krótka się bili, bo mało połamane i tylko w jednym miejscu, więc nie wałkowali się wszędzie. No dobrze, piesku, doskonale, dalej! Zgadza się, tu go powlekli... Co? Zaraz... Przez chwilę pilnie obserwowała psa. - No tak. Te drzwi do garażu musiały być otwarte. No, może uchylone. Ktoś z nich wyszedł, podszedł tutaj i razem z tym zbrodniarzem wzięli pana Wolskiego. Nieśli go. No oczywiście, wnieśli go do tego garażu... - A teraz patrzą przez okno i widzą, co robimy - zauważył zgryźliwie Bartek. - Zaczniemy udawać, że się bawimy w Indian? - Zaczniemy udawać byle co - zdecydowała Janeczka. - Odsuńmy się trochę i zastanówmy. Nie wiem, gdzie ten pan Wolski jest w tej chwili, ale Chaber go znajdzie. Tylko musimy trochę pomyśleć... Wycofali się aż na jezdnię tego dziedzińca pomiędzy budynkami i przeszli kawałek dalej, za następnym domem.

Zatrzymali się dość gwałtownie, bo Chaber cichutko pisnął. -Piesku, co...? - zaniepokoiła się Janeczka. Chaber nie musiał odpowiadać, bo z drugiej strony zza budynków wyłonił się jadący powoli samochód. Podjechał pod podejrzaną budowlę i zatrzymał się. Wysiadło z niego dwóch ludzi, zostawili samochód na ulicy i skierowali się ku wejściu. Sierść na grzbiecie psa zjeżyła się, z gardła wyszedł głuchy, ledwie dosłyszalny warkot. Emocje strzeliły na nowo. - To oni - powiedziała Janeczka bez tchu.

- Jeden z nich, albo obaj! Ci, co załatwili pana Wolskiego! -Pociesza mnie bardzo, że przyjechali dopiero teraz - mruknął Bartek, usiłując ukryć dzikie podniecenie. - Może nie oglądali nas przez okno i jakoś ujdziemy z życiem. - Jeżeli on tam ciągle jest - powiedział nagle Pawełek z irytacją - wszystko jedno, żywy czy zamordowany, to ten Rafał potrzebny nam jak powietrze! Wszystko ciągle dzieje się nie wtedy, kiedy trzeba! -Być, to on jest, bo Chaber nie poprowadził dalej, tylko chce szukać tutaj - odparła Janeczka. - A co do wywożenia i Rafała, to chyba zgłupiałeś. Obiecałam, co prawda, porucznikowi, że nie będziemy się wtrącać, ale pan Wolski to co innego. Musimy go uratować i nie ma gadania. I własnego samochodu przecież nie kradną...

- To ja! - wyrwał się Stefek z determinacją.

- Mnie jeszcze nie widzieli. Będę kulał i podpierał się tym pagajem. Taki, co kuleje, powoli idzie i ten ich samochód będę obchodził pół roku. - Tobie to dobrze, pierwszy raz i już tyle tego!

- skrzywił się z zawiścią Bartek.

- Bardzo dobry pomysł - pochwaliła równocześnie Janeczka, co sprawiło, że Stefek poczuł w sobie siły wystarczające do przekłucia balonu na wysokości tysiąca metrów. - Ale to nie w tej chwili. Najpierw zobaczymy, co będą robić, bo może odjadą. Nie należy im utrudniać, nie wiemy jeszcze wszystkiego i wolę, żeby tu był spokój. Czekali cierpliwie, chociaż w zdenerwowaniu.

- A oni tam teraz pana Wolskiego właśnie mordują - powiedział ponuro Bartek. - Nie denerwuj mnie! - prychnął na niego rozzłoszczony Pawełek. - Co niby mamy zrobić? Dzwonić do drzwi na alarm, czy rzucać kamieniami w okna?

- Zapamiętać ich - poradziła sucho Janeczka. - W razie czego będziemy świadkami. Szkoda, że nie wzięliśmy aparatu fotograficznego. - Obojętne, co wyniosą, kosz na brudy czy zrolowany dywan, idę! - zdecydował energicznie Stefek. - I już ruszam, bo jako kulawy, prędko leciał nie będę! Podpierając się Szwedką, ruszył w kierunku zaparkowanego samochodu. Po kilku krokach zmienił widocznie poglądy na swoje inwalidztwo, bo przełożył szwedkę do prawej ręki i zaczął kuleć na drugą nogę. -Niech on się na coś zdecyduje - mruknął krytycznie Pawełek. Ci sami dwaj ludzie wybiegli nagle z budynku.

Śpieszyli się wyraźnie, jeden niósł w ręku aktówkę.

- No, w tym by się pan Wolski nie zmieścił

- ocenił z pewną ulgą Bartek.

Stefek zapewne był tego samego zdania, bo zatrzymał się. Obaj złoczyńcy wsiedli do samochodu, nie zwracając żadnej uwagi na wspartego na szwedce chłopca.

Ruszyli ostro i odjechali. - Nikt na nas nie patrzył z żadnego okna - zawyrokowała Janeczka, wychodząc z ukrycia. - Gdyby patrzył, coś by im powiedział i przynajmniej by rzucili okiem. Udawaliby, że kluczyk im się zaciął i wsiadali by jak pokraki. - No to do roboty! - zarządził Bartek. - Ja tego pana Wolskiego w gruncie rzeczy zacząłem nawet lubić i nie zależy mi na jego poderżniętym gardle.

- Nikomu nie zależy - powiedział gwałtownie Pawełek. - Wręcz przeciwnie. My do niego mamy interesy. Janeczka... Janeczka już konferowała z Chabrem. Pies jeszcze raz poinformował, że odwiedzili ten dom wrogowie, powęszył pod wrotami garażu, po czym ruszył na drugą stronę domu. Obeszli za nim budynek, przedzierając się przez krzaki. Chaber wciągał nosem powietrze, węszył wyżej, węszył tuż przy ziemi, przesunął się wzdłuż muru i nagle zastygł przy małym, piwnicznym okienku, nisko umieszczonym. Trwał tak dwie sekundy, następnie cofnął się i triumfalnie wystawił zwierzynę. - Jak to? - zdumiała się Janeczka. - Tu? Tu jest pan Wolski? Chaber wyraźnie, całym sobą, potwierdził. Tak jest, tam był pan Wolski. W dodatku żywy, chociaż w niebezpieczeństwie, i z pewnością nieco uszkodzony. Gdyby był martwy, pies zachowałby się zupełnie inaczej i nie zostawiłby miejsca na żadne wątpliwości. Patrzyli na siebie wzajemnie,

zdezorientowani i przez chwilę trochę bezradni. Zwykła piwnica nie dorównywała wprawdzie lochom zamkowym, ani też celi na wieży, niemniej jednak stanowiła jakiś problem. Z całą pewnością pan Wolski był w niej uwięziony. Uwalnianie ofiar z przymusowego zamknięcia jeszcze im się dotychczas nie przytrafiło i nie mieli w tej dziedzinie żadnych doświadczeń. Sytuacja, ogólnie biorąc, była okropna i zaskoczyła ich całkowicie, ale zostawić tego wszystkiego odłogiem w żadnym wypadku nie mogli! Bartek przykląkł przy oknie, usiłując wepchnąć w nie głowę i zajrzeć, względnie przyłożyć ucho. Pawełek poszedł w jego ślady, dzięki czemu obaj wpadli do zagłębienia przy okienku, na szczęście dość płytkiego. Było tam tylko nieco za ciasno dla dwóch osób. Bartek uwolnił przygniecioną rękę i bezskutecznie próbował wydobyć spod Pawełka nogę.

- Nic nie widać i nic nie słychać - stwierdził, zmartwiony.

- Ty, zejź ze mnie, jak rany... Szyba przeszkadza, ornamentowa i zbrojona. Tłuczemy...

Janeczka zawahała się. Pawełek wygrzebał się z dołu i podjął decyzję bez namysłu. - Małe to okno. Wal. W razie czego wstawimy nową na własny koszt, nie zbankrutujemy przez to.

- Zaraz! - zaprotestowała Janeczka, bo zdolność myślenia wróciła jej już całkowicie. - A jeżeli oni wrócą i zauważą, że przedtem była szyba, a potem jej nie ma? Ona jest brudna i wyraźna. Zgadną, że ktoś tu był, a jeżeli nie wróca, pan Wolski okropnie zmarźnie! Może tylko mały kawałek wyjąć i przyłożyć potem...

- Jakim sposobem! - skarcił ją Bartek z dołu. - Do czegoś takiego diament potrzebny. Nie mamy.

- To ja bym zostawiła. Wiemy, że pan Wolski tam jest, żywy, pewnie związany i zakneblowany, a możliwe, że nieprzytomny, więc i tak się z nim nie dogadasz. Musimy go uwolnić. Przez to okienko by nie przeszedł, więc jakoś inaczej...

- Jak niby?

- Przez drzwi - powiedział stanowczo Pawełek. - Czekaćcie no, Chaber pokazał, że wnieśli go do garażu, zgadza się? Nie do domu. Do domu wcale się nie pchał? Skierował pytające spojrzenie na siostrę. Janeczka kiwnęła głową. Tak jest, droga pana Wolskiego do tego prywatnego więzienia prowadziła wyłącznie przez garaż. - Znaczący, przez garaż jest przejście do piwnicy. Znaczący, ryzyk-fizyk. Bartek, co ty na to...? Sposób działania i jego cel już się właściwie wyklarowały, wszyscy odzyskali przytomność umysłu, a sensacyjność wydarzenia wcale nie zmalała. Akcja uwalniania więźnia nabrała wyraźnego oblicza, płomienny zapal dodał ducha i wzmógł bystrość. Bartek w błyskawicznym tempie przemyślał wszystkie trudności, kiwnął głową, pokręcił nią i zaprezentował zakłopotanie. - Primo po pierwsze gazu, póki ich nie ma, bo mogą wrócić. A po drugie primo, to musiałbym skoczyć do warsztatu, bo narzędzi do szkoły nie noszę. Ciężkie i mógłby się kto przyczepić...

- A po trzecie, to Rafał o tej porze powinien już być w domu - przerwała mu Janeczka. - Ja nie wiem, w jakim stanie jest ten pan Wolski, głowę ma rozbitą z całą pewnością, i nie będziemy go nieśli na rękach przez całe miasto. Nawet przez pół. Więc po Rafała poleci Chaber, tylko musimy napisać karteczkę. Nie, jeszcze inaczej. Bartek poleci do warsztatu, a Chaber po Rafała i Rafałowi napiszemy, żeby pojechał po Bartka. Tak wyjdzie najprędzej.

, - Ale Chaber niech wraca od razu - zażądał Pawełek. - Może tu być potrzebny. Powiedz mu o tym.

W trzy minuty później ani Bartka, ani tym bardziej psa nie było już widać. - Co do obiadu, miałaś dobre przeczucie - mruknął Pawełek i spojrział na zegarek. - Wpół do czwartej i zaczyna się ściemniać. Gdzie czekamy? - Z tamtej strony, żeby widzieć wejście...

Chaber nie mógł czekać, bo w zębach trzymał świętość, kartkę, którą mu dała jego pani. Jako inteligentny pies, dał spokój furtce i przemknął do ogrodu dziurą w żywopłocie. Drzwi wejściowe nie były zatrzaśnięte, ostatni bowiem wchodził tędy Rafał, a naciskać klamkę Chaber umiał doskonale. Zamykaniem nie zawracał sobie głowy, od razu wpadł na piętro, gdzie Rafał spokojnie kończył obiad w kuchni ciotki Moniki. Czytał przy tym książkę. Coś mu nagle wytraciło z ręki łyżkę, odepchnęło książkę i runęło na kolana. Spojrział zdumiony, ujrzał psi łeb i białe zęby, wpychające mu pod brodę mały kawałek papieru, wymiętoszony i



wilgotny. Opanował zaskoczenie, zrozumiał, że coś się stało i wyjął z psiego pyskakorespondencję. Zanim zdążył rozłożyć kartkę, pies już znikł. Rafał przeczytał list dwukrotnie, jęknął i poderwał się z miejsca. Dziko zziębnięty Bartek, który część drogi przebył autobusami, a część piechotą, przyhamował gwałtownie przed warsztatem swojego ojca. Wiedział, że nie może tam wpaść w tym stanie i rzucić się na wytrychy, bo tego już ojciec nie przepuści. Musi przynajmniej odzyskać oddech. Wsparł się o mur tuż przy drzwiach i nagle ze środka usłyszał głosy. Zajrzał przez szybę. Miał szczęście. Ojciec zajęty był klientką, jakąś panią, która prosiła o dorobienie rączki do dziwacznych, dwustronnych pazurków. Zwierzała się, że owe pazurki są jej ulubionym narzędziem pracy na działce i trąkotła na ten temat tyle, że ogłuszony gadaniem pan Marczak prawie nie zauważył własnego syna. Bartek wykorzystał sytuację błyskawicznie. Chaber pędził szybciej, ale miał do przebycia dłuższą drogę. Oderwany od obiadu Rafał musiał narzucić na siebie wierzchnią odzież i zmienić buty. W rezultacie prawie równocześnie na umówionym skrzyżowaniu pojawił się mały fiat i ciężko zdyszany chłopiec z wielką parcianą torbą w objęciach. - Gdzie Chaber? - spytał niespokojnie Rafał, Kiedy Bartek wepchnął się do środka. - Dlaczego nie czekał?

-Kazali mu wracać od razu - wysapał Bartek. - Nie wiadomo, co się tam dzieje, a tylko pies to zgadnie. O rany, wyrobiłem gimnastyczną normę za dwa lata z góry... W dwanaście zaledwie minut po zniknięciu Bartka i Chabra troje pozostałych współników z niepokojem ujrzało ten sam samochód, nadjeżdżający od strony ulicy Rozbrat, Tym razem nie zatrzymał się i nie zaparkował, tylko zaczął skręcać i manewrować, aż ustawił się tyłem do garażu. Pasażer wysiadł i otworzył wrota, a kierowca, wolno i ostrożnie, wprowadził wóz do środka. Nie wjeżdżał głęboko. Zatrzymał się tak, że przedni zderzak wystawał i uniemożliwiał zamknięcie wrót. Pozostały uchylone. - Przyjechali po pana Wolskiego - szepnęła Janeczka z niezachwianą pewnością. - Głową daję! Żeby go tylko nie zamordowali od razu...! - Pokazać się im - zaproponował z determinacją Pawełek. - Przy świadkach będzie im głupio. Poza tym, nie odjadą przecież! Stefek... Stefek był gotów.

- Przednie - powiedział, zaciskając żęby. - Spróbuję oba, żeby mieli równo. Przekuśtykał kilkanaście metrów, zatrzymał się przy garażowych wrotach i uchylił je bardziej, wcale się nie kryjąc. -Przepraszam bar... - zaczął i urwał. Garaż był pusty. W głębi, za samochodem, widniały wąskie, otwarte drzwi. Stefek zawahał się na jeden krótki moment, niepewny, czy nie wykorzystać sytuacji i nie zajrzeć za te otwarte drzwi, zanim przystąpi do właściwego działania. Rozstrzygnął problem krakowskim targiem, najpierw jedna opona... Wskazującym palcem uruchomił dodatkowe wyposażenie Szwedki i oparł się na niej całym ciężarem. Następnie uczynił krok w głąb garażu i w tej samej chwili w otwartych drzwiach ukazał się jeden z owych facetów. Nie zamierzał wchodzić, zajrzał tylko, zobaczył Stefka i jakby zmarł. Stefek czym prędzej uczynił krok do tyłu. - Przepraszam bardzo - powiedział zmartwionym głosem. - Czy pan nie wie przypadkiem, gdzie tutaj jest ulica Parkowa? Szukam i szukam, i nikt mi nie umie powiedzieć, a ja chodzić nie mogę. Równocześnie, jakby dla demonstracji, przekuśtykał z wysiłkiem dookoła maski samochodu i wsparł się na Szwedce tuż przy lewym przednim kole. Człowiek w drzwiach wahał się przez sekundę. - W prawą stronę i trzecia w lewo - powiedział złym głosem. - I zjeżdżaj stąd! -Dziękuję bardzo - powiedział Stefek grzecznie i wykuśtykał z garażu, zwracając się w prawo. Kierunek odpowiadał mu w pełni, tam bowiem czekała Janeczka z Pawełkiem. Nie oglądał się, ale był pewien, że ów człowiek podszedł aż do wrót i patrzy za nim. Czuł jego wzrok na plecach. Kulał z zapałem, niepokojony tylko obawą, że któreś z nich może wyjrzeć i wróg ich zobaczy.

Pawełka ujrzał przed sobą nagle. Uczynił gwałtowny ruch, wymiatający go z ulicy. - Już wlaźł z powrotem - powiedział uspokajająco Pawełek. - Gapił się na ciebie, widzieliśmy. I jak?

- Załatwione - odparł krótko Stefek, starannie kryjąc dumę. - Oba przednie. - Co się tam w ogóle dzieje? Podeszli obaj do Janeczki. Stefek skupił się. W tym wyglądającym z drzwi człowieku było coś, co go tknęło...

- Chyba akurat wywlekają pana Wolskiego z piwnicy - rzekł z namysłem. - We dwóch. Wyjrzał przez drzwi, pewno tylko na wszelki wypadek, i mnie zobaczył. Jest tu jakaś ulica Parkowa?

-Na co ci Parkowa?

- Na nic. Pytałem go, gdzie jest, powiedział, że zaraz w prawo.

-Zełgał. Parkowa jest blisko Gagarina. Chciał

się ciebie pozbyć. No dobra, wycieczkę mamy z głowy, ale ciągle nie wiem, co robić dalej. - Na razie patrzeć, co będzie - poradziła Janeczka.

Wrota garażu otwarły się szeroko i wyjechał z nich samochód. Jeden ze złoczyńców zamknął je, założył kłódkę, wsiadł na miejsce pasażera i ruszyli. Przejechali niewielki kawałek, zaledwie do zakrętu tej wewnątrzsiedlowej uliczki. Zatrzymali się, wysiedli i obejrzelili przednie koła. Wahali się krótko. Kierowca wsiadł z powrotem i na wstecznym biegu wrócił w pobliże garażu. Żle mu się jechało, bo przednie opony już prawie stykały się z obręczami i dlatego zapewne zrezygnował z tych kilku metrów więcej i wjeżdżania do środka. W tym momencie pojawił się Chaber, zdyszany, zziębnięty, ale szczęśliwy. - Rany, co za pies! - wykrzyknął Stefek z podziwem. - Już obrócił...? Janeczka z wyższością wzruszyła ramionami. Cały czas obserwowała złoczyńców, ciekawa, co teraz zrobią. Powinni chyba zadzwonić do swoich współników, żeby przyjechali drugim samochodem. Chyba że dadzą spokój przewożeniu pana Wolskiego... Jeden z przeciwników otwierał garaż, drugi wyciągał z bagażnika narzędzia i koło zapasowe. -Co oni...? - zaniepokoił się Stefek. - Ślepi, czy co? Przecież siedzą dwa! - W bagażniku pana Wolskiego nie trzymają - zaopiniował równocześnie Pawełek. - Może w ogóle go nie zabrali...? Janeczka obejrzała się. Odpoczywający na trawie Chaber już się podniósł. -Piesku, gdzie pan Wolski...?

Równocześnie uzyskali dwie odpowiedzi. Nie pokazując się wrogom. Chaber wyraźnie poinformował, że pan Wolski znajduje się w samochodzie, z tyłu, na fotelach, albo może pod fotelami, pasażer zaś, który podażył otwierać garaż, wytoczył z niego drugie koło. - Niech ja w domu nie nocuję! - zdenerwował się Pawełek. - Ile mają tych zapasowych kół, cały magazyn?! Janeczka zaniepokoiła się bardziej. Powtórzyć przedstawienia Stefek już nie mógł. Rafała jeszcze nie było. Złoczyńcy pracowali sprawnie, gotowi byli skończyć robotę i odjechać na nowych kołach, niknąc im kompletnie z oczu... - Czy któryś z was ma gumę do żucia? - spytała gorączkowo. - Prędeży! I scyzoryk. -Na co ci... - zaczął zaskoczony Pawełek, sięgając do kieszeni po scyzoryk. - Ja mam - odparł równocześnie Stefek i też zaczął grzebać w kieszeni. - Miętowa... Janeczka wyrwała mu z ręki płaski prostokącik, odebrała bratu scyzoryk, przekroiła gumę na pół i jedną połowę zaczęła gwałtownie gryźć. Pawełek patrzył na nią ze zdumieniem. - Nienawidzę gumy do żucia - powiedziała niewyraźnie i z obrzydzeniem. - To po co żujesz? - rozgniewał się jej brat. - Mogłaś dać mnie. Janeczka pokręciła głową, z energią pracując zębami.

- Nie. To dla psa.

-Zwariowała, jak Boga kocham...

- Głupi jesteście.

Bezradnie spoglądali przez chwilę to na nią, to na miotających się przy samochodzie przestępców. Lewe koło kończyli już zmieniać, lewarek mieli doskonały, lada chwila mogli się zabrać do prawego. Janeczka wyjęła z ust pogryzioną gumę i podała bratu.

- A teraz rób sobie, co chcesz, ale wetknij im to w tylne koło. Stefek nie może, już go znają. I nie bierz ciupagi, możliwe, że mają coś w głowie i zgadli, skąd im się wzięły te koła. Udawaj cokolwiek. Pawełek nagle zrozumiał. Sapnął z ulgą i ocenił sytuację. Samochód stał tak, że jego tył znajdował się akurat obok wielkiego krzaka, rosnącego przy samej jezdni. Gdyby ten krzak miał liście... Ale może uda się inny podstęp... Po ścianie budynku przewałkował się aż do wrót garażowych, których otwarte na zewnątrz skrzydło osłaniało go zupełnie nieźle. Janeczka nagle odwróciła się do Stefka. - A ty leć za róg i zatrzymaj Rafała, bo może przyjedzie. Niech tu nie wjeżdża, niech go nie widzą! Bez jednego słowa i bez sekundy zwłoki Stefek spełnił rozkaz bóstwa. Okrężną drogą, za kępami gęstych krzewów, popędził do zakrętu i znikł za narożnikiem budynku. Janeczka znów utkwiała w Pawełku pełen napięcia wzrok. Pawełek przeszukał już kieszenie, znalazł pudełko zapalek, wypełnione malutkimi gwoździkami, i postanowił

podrzucić je dla zabawy tak, żeby mu upadło akurat przy którymś tylnym kole. Nie był to sposób idealny, ale inna okazja mogła się nie przytrafić. Nie ruszał jeszcze, czekał za wrotami, bo obaj złoczyńcy przykręcali to lewe koło prawie twarzami do niego. Wreszcie jeden z nich przeszedł do prawego i zaczął luzować śruby. Drugi opuścił lewarek, wyjął go i również przeszedł na prawą stronę. Teraz odwrócili się na chwilę prawie tyłem. Pawełek jednym ruchem wysliznął się zza swojej osłony, schylony przesunął za bagażnikiem samochodu, jednym gestem wcisnął trzymany w palcach kawałek przeżutej gumy pomiędzy protektory opony i znikł za bezlistnym krzakiem akurat w momencie, kiedy wróg z oklapniętym kołem ruszył do garażu. Z żalem pomyślał, że równie dobrze mógł mieć w ręku ciupagę. Wrócił do Janeczki również okrężną drogą.

Janeczka ponuro i ze wstrętem żuła drugą połowę gumy.

-Jeden wsiądzie, a drugi będzie zamykał... - zaczęła.

- I nie zauważę, jak mu przeleżę po plecach

- przerwał Pawełek z niechęcią. - Teraz była okazja! -Zmarnowana. No trudno. O, jest Rafał! Równocześnie z piśnięciem Chabra zza narożnika tego dalszego budynku na moment ukazał się Bartek. Oznaczało to, że Rafał jest również. Pośpieszyli do niego tą samą drogą co Stefek. - Czyście zwariowali, co to za jakaś gangsterska szopka, trzeba zawiadomić gliny! - denerwował się Rafał. - Żarty się skończyły, ten porucznik miał rację! - Gliny proszę bardzo, chociaż nie wiem jak - odparła zimno Janeczka. - Nigdzie tu nie ma telefonu. To po pierwsze, a po drugie, pana Wolskiego gdzieś zawiozą. Możemy się uprzeć i znów im te koła załatwić, ale może mają na przykład osiem zapasowych. A ośmiu nie damy rady, bo się zmadrzą i zaczną porządnie pilnować, oka od tego samochodu nie oderwą. Więc niech jada. I trzeba jechać za nimi. A co do porucznika, to ty się zastanów, nie może znaleźć tych melin, gdzie przerabiają numery i inne takie, to jakim cudem znajdzie pana Wolskiego? Też nie będzie umiał i zanim to, pana Wolskiego zamordują pięć razy! Wyjęła z ust ten drugi kawałek gumy i starannie zapakowała go w chustkę do nosa. Pawełek mimo woli kiwnął głową z aprobatą. - W mieście będziesz się ich trzymał, a potem to już bez różnicy - dodał. - Chaber za tą gumą trafi, żeby nie wiem co! Wykręć w ogóle i udawaj, że jedziesz. Niech im się nie wydaje, że jedziemy za nimi. - I teraz będę małym fiatem ganiał mercedesa!

- powiedział Rafał ze złością, ale usiadł za kierownicą i zapalił silnik. -

Wielkie mi co, godziny szczytu, jak złoto! Piechotą go dogonisz! -Skończyli! -

wysyczał dzikim głosem Bartek, wyglądający zza narożnika. Nie było czasu na dyskusje. Załedwie Rafał zdołał zawrócić na wąskiej jezdni, załedwie całe towarzystwo wepchnęło mu się do samochodu i ruszył, za nim ukazał się mercedes.

Wyprzedził go i Rafał przyśpieszył. W mercedesie przez tylną szybę widać było tylko kierowcę i pasażera. - Pana Wolskiego udeptali na podłodze - powiedział ponuro Bartek. - Rób, co chcesz, ale trzymaj się blisko - zażądała Janeczka.

Rafał zacisnął zęby i niknął gniewnie przez nos. Wisłostradą i mostem

Poniatowskiego przedostali się na Pragę. Dzięki korkom na jezdni Rafał nadażał

bez trudu, zaczął zostawać w tyle dopiero po drugiej stronie Wisły. Mercedes

jechał na południe. Minęli Saską Kępę, minęli Gocław, zaczęło się już robić

ciemno, ilość samochodów znacznie zmalała, tylne światła mercedesa widzieli

jeszcze z daleka. -Miedzeszyn - powiedział posępnie Rafał.

- Zaraz mi zginą z oczu.

-Nie szkodzi - mruknął siedzący obok niego Pawełek.

- Co nie szkodzi, jak nie szkodzi, i dokąd mam tak jechać? Przecież mogą

skręcić...! - Nie szkodzi...

- Jedź do tego punktu, gdzie było ich widać - poleciała Janeczka, kiedy tylko

światła mercedesa rzeczywiście znikły. - Dalej poprowadzi pies. Wypatrzysz

mniej więcej miejsce, w którym śledzony pojazd przestał być widoczny, Rafał

zatrzymał małego fiata. Pawełek wysiadł i wypuścił Chabra i Janeczkę. Janeczka

rozwinęła pakunek z chustki do nosa i podetknęła psu kawałek gumy. -Piesku, tego

szukaj - rzekła błagalnie. - Ja wiem, że to będzie trudne. Szukaj tego! Chaber

obwąchał starannie podsuwany przedmiot, a potem przebiegł na jezdnię i z nosem

przy ziemi ruszył przed siebie. Przez chwilę szedł powoli, z wahaniem,

zatrzymując się, po kilku metrach złapał widocznie woń, bo popędził szybciej. -

Za nim! - wrzasnął Pawełek i wbił się za siostrą do samochodu. Rafał posłusznie

ruszył, wpatrzony w psa.

- Czyście do reszty dostali pomieszania zmysłów? - spytał ze zgrozą. - Co on wywęszył w tym błocie i w tych spalinach?! To jest obcy wóz! Śmierdzi jakoś oryginalnie, czy co?! - A pewnie - odparł z triumfem Pawełek. -

Patrz, jak idzie, jak po sznurku! W protektorach mają drugą połowę tej gumy, którą ona żuła! -I po gumie w protektorach pójdzie..?

- A jak? Już dawno temu znalazł samochód po perfumach matki.. - I po olejku do opalania - przypomniała Janeczka. - On by wywęszył ziarnko maku. I wcale nie ma błota, szosa prawie sucha. Rafał pogodził się ze zjawiskiem. Pojął ostatecznie, że możliwości Chabra nie mają granic i całą uwagę poświęcił pilnowaniu odpowiedniej odległości. Nie mógł dopuścić, żeby pomiędzy niego i psa wepchnął się jakiś inny samochód. Chaber nagle zwolnił. Pokręcił się, cofnął, obejrzał i ruszył w drogę, odchodzącą w prawo. Była to ulica, stały przy niej jakieś wille. Prowadziła ku Wiśle. -No proszę, tu skręcili! - powiedziała dumnie Janeczka. Chaber biegł przed siebie bez wahania. Wille się skończyły, jakaś uliczka odeszła w prawo, przed nimi było pusto, tylko nad samą rzeką na jaśniejszym tle nieba majaczyły niskie zabudowania. Rafał zwolnił. - Nie jadę dalej - rzekł stanowczo. - Przed

nami jest Wisła i nic więcej. Muszą tędy wracać i akurat się na nas nadzieja. Ściśniętego na tylnym fotelu Bartka poderwało.

-O rany boskie, gazu!. ! Pana Wolskiego topią w Wiśle!!!

Rafał drgnął silnie i przydepnął gaz. Janeczka gwałtownie usiłowała przemyśleć sytuację. Supozycja Bartka była wysoce prawdopodobna. - Byle bliżej - powiedziała nerwowo. - Podwieź nas i uciekaj, bo rzeczywiście zobaczą cię i jeszcze im co przyjdzie do głowy. My się nie pokażemy wcale, chyba że trzeba będzie. Chaber nas doprowadzi, w razie czego możemy się gapić z daleka, ale wyraźnie. Żeby widzieli, że się gapimy. Przy świadkach go przecież nie utopia, a ty jedź byle gdzie i zadzwoń do porucznika. A potem po nas przyjedziesz... - Oszalałaś, nie zostawisz was samych w takim miejscu i z tymi ludźmi! - Zostawisz nas przeciwko tym ludziom, a nie z nimi. I nie samych, bo mamy Chabra. Zatrzymaj się, bo usłyszą! Rafał czuł, że powinien protestować, mignęła mu nawet jakaś myśl o broni palnej, której nie posiadał, ale wszystko razem ogłuszyło go do tego stopnia, że spełnił polecenie. Wydostali się z małego fiata w szalonym pośpiechu. Prawie bezchmurne niebo jaśniejsze było na zachodzie niż za nimi Połyskiwała rzeka, zabudowania na jej brzegu znajdowały się już blisko. Pojawił się wracający Chaber, wyraźnie dawał do zrozumienia, że znalazł źródło tropionej woni. - Są gdzieś tutaj - stwierdziła szeptem Janeczka. - Możesz tu zresztą wrócić ostatecznie, tylko schowaj samochód!

Rafał nie próbował zawracać. Było wąsko i ciemno, reflektory zgasił już w połowie drogi, żeby nie było go widać z daleka. Na wstecznym biegu cofnął malucha, przypomniawszy sobie o owej bocznej, odchodzącej w prawo uliczce. Tam mógł skręcać, manewrować, parkować w ukryciu i w ogóle zrobić wszystko. - Bzdura i kretynstwo, gliny tu są potrzebne, to nie my mamy zapobiegać zbrodniom, tylko oni... - mamrotał pod nosem. - Cywilizowane kraje telefony mają w samochodach... Janeczka nie zwracała już uwagi na niego, zajęła się psem.

- Chodź, Chaber - powiedziała półgłosem.

- Szukaj pana Wolskiego! I kryj się!

- I ze szwungiem, bo może już go trzeba łowić! - wysyczał gwałtownie Bartek. Zdenerwowani szaleńczo i okropnie przejęci, ruszyli za psem, usiłując zachować się jak najciszej. Zboczyli z jezdni, po jakiejś miękkiej łące dotarli do tyłów parterowego pawilonu, najprawdopodobniej kawiarnianego, o tej porze roku zamkniętego na głucho. Przekradli się wzdłuż ściany, aż za narożnik, i ostrożnie wyjrzeli. Refleks jakiegoś odległego światła błysnął nagle na reflektorach mercedesa. Pawełek cofnął się tak gwałtownie, że głową rąbnął w brodę Bartka. - Stoją! - wygulgotał z niezamierzonym jękiem. - O rany...! Samochód stoi, a gdzie ci mordercy...?! Już go ładują do wody...?! Myśl, że zbrodnia została już dokonana, a może dokonuje się właśnie w tej chwili, prawie odebrała im dech. Janeczka poczuła dreszcz na plecach i opanowała go w okamgnieniu. Gdyby pan Wolski znajdował się gdzieś na brzegu, spychany czy wrzucany do Wisły, Chaber już by tam był. A nie usiłował pędzić i prowadzić dalej, tu się kręcił, na tym

słabo widocznym dziedzińcu, czy tarasie, i wyraźnie wskazywał budynek, przed którym stał mercedes. Zawahała się, wyglądając zza narożnika.

- Nie, oni wszyscy są tam... - zaczęła szeptem.

W tym momencie na zewnątrz zamajaczyły dwie sylwetki, zbrodniarze ukazali się nagle. Wyglądało na to, że wyszli z pawilonu, zwróconego frontem ku Wiśle. Podeszli do swojego samochodu, jeden z jednej strony, drugi z drugiej. Kierowca zaczął otwierać drzwiczki. W panującej dookoła ciszy bez trudu usłyszeli głos pasażera. - A żarcie...?

- Jak zgłodnieje, to zmięknie - odparł kierowca. - Choćby i oprzytomniał, może poczekać... Wsiadł, trzasnął drzwiczkami, silnik mercedesa cicho zamruczał. Pasażer wsiadł od swojej strony, samochód wyjechał zza pawilonu i skierował się z powrotem na drogę, którą przybył. Jechał bez świateł i przytulona do ściany grupa ratownicza, pozostała w mroku, całkowicie niewidoczna.

Poruszyli się i wyleźli z cienia dopiero, kiedy wrogi pojazd znikł im z oczu. - Mam nadzieję, że Rafał zdążył się schować - mruknął z troską Pawełek. - Nie słyszeli, jak nadjeżdżaliśmy, bo byli w środku... - Żarcie, znaczy, że jeszcze żywy - zaopiniował z ulgą Bartek. Janeczka z rozwoju sytuacji była bardzo zadowolona.

-No, to nareszcie mamy spokój. I pan Wolski gdzieś tu jest, wcale nie utopiony. Zaraz go znajdziemy. Chaber...! Z ciemności wyłonił się pies. Nie czekał na pytania i polecenia, od razu zawrócił, doprowadził do wejścia, tknął nosem zamknięte drzwi pawilonu i wystawił zwierzynek. Bartek bez słowa zdjął z ramienia swoją parcianą torbę. - A już myślałem, że niepotrzebnie po to leciałeś - wyznał Pawełek. - Zaczynałem żałować, że nie mamy pontonu... Janeczka, czujnie wpatrzona w psa, objęła komendę.

- Stefek stanie na świecy - rozkazała. - Patrz na drogę, czy nic nie jedzie i nie waż się czegoś przecoczyć! Pawełek, weź Chabra i sprawdźcie, czy tu kogoś nie ma, bo może jakiś wspólnik pilnuje albo cieć. Bartek otwiera... Bartek otworzył zamknięte drzwi bez wysiłku i zaledwie za trzecią próbą. Popchnął je, uchyliły się z cichym piśnięciem. Wewnątrz było ciemno.

- Co robimy? - spytał szeptem. - Nic nie widzę. Świecimy? Janeczka obejrzała się.

- Ale tylko latarkami. I do środka. Okna wychodzą na stronę Wisły. Zapalili reflektorki. Pomieszczenie okazało się puste, przedzielone bufetem, widocznie była to sala kawiarniana. Za bufetem, z boku, widać było następne drzwi. Okazały się również zamknięte, ale Bartek pokonał je niemal z marszu, weszli dalej.

Znaleźli korytarzyk, urządzenia sanitarne i prawdopodobnie kuchnię, bo wmontowane tam były palniki na prąd i gaz, a pod ścianą stała ogromna, wyłączona lodówka. I znów kolejne drzwi, tak samo zamknięte. - Zaczynam nabierać wprawy - oznajmił Bartek z satysfakcją. - Do niczego te zamki, byle czym można... Jedno z pomieszczeń obok kuchni stanowiło magazyn, znajdowały się tam stoliki, krzesła i parasole plażowe, porządnie ułożone i ustawione. Drugie, pełne półek, wyglądało również na jakiś magazyn, obecnie pusty. Prowadziły z niego drzwi jeszcze dalej. Zajrzeli tam, znaleźli następny korytarzyk i drugie wyjście. - No i gdzie ten pan Wolski? - spytał, Bartek, nieco dezorientowany. - Nie wiem - odparła Janeczka. - Potrzebny będzie Chaber.

W drzwiach za nimi pojawił się Pawełek, również przyświecający sobie reflektorkiem. - Wszędzie pusto - zaraportował. - Żywego ducha nie ma.

- Oddaj Chabra - zażądała jego siostra.

- Jest tutaj...

Janeczka odwróciła się do psa.

-Pan Wolski, piesku! Gdzie pan Wolski? Chaber zawrócił. Wbiegł do tego pustego magazynu i bez namysłu tknął nosem w jeden komplet półek. Węszył w miejscu, gdzie się stykały ze ścianą i co chwilę oglądał się na swoją panią. - Czyli tu są drzwi - zaopiniował Pawełek. - Jakoś to się musi otwierać. Do roboty! Dopiero po paru minutach i oczywiście przy pomocy psa odkryli, że trzeba wyjąć jedną z półek. Za nią znajdowało się coś w rodzaju zamka. - No tak - powiedział Bartek z uznaniem. - Nareszcie mam co robić! Dokładnie po dwunastu minutach wysiłków zamek uległ i rzeczywiście cały ten zestaw półek okazał się drzwiami. Za nimi znajdowały się wąskie schody do piwnicy i jeszcze jedne drzwi. Bartek załatwił je w natchnieniu. W małym i niskim pomieszczeniu, całkowicie pozbawionym okien,

leżał na środku podłogi, związany i zakneblowany, pan Wolski. Oczy miał zamknięte i gdyby nie Chaber, uważaliby, że umarł. - Dobrze, że mam nożyczki w tym scyzoryku - szeptął zatroskany Pawełek. - Nylonowe najlepiej nożyczkami... - Nie wiem, co z tym plastrem - szeptała dość rozpaczliwie Janeczka. - Oderwać...? Tak, szarpnięciem...? Może nie poczuje, jeżeli jest nieprzytomny... - Spróbujcie najpierw ręce - szeptał Bartek.

- Może trochę wody, albo co, jak oprzytomnieje, sam sobie oderwie... I w tym strasznym momencie usłyszeli kroki nad głową. Tupot nóg. Sytuacja uczyniła się przerażająca, nieprzytomny pan Wolski, jeszcze nie do końca porozcinany, ta piwnica, otwarte drzwi do niej, wszystkie ślady ich pobytu... A na górze tajemniczy przeciwnik... Pierwsza odzyskała równowagę Janeczka.

- To chyba Stefek - powiedziała pośpiesznie.

- Chaber nic nie powiedział...

Głos Stefka z góry najpierw przyniósł ulgę niebotyczną, a potem napełnił przerażeniem. - Hej, jesteście tam? - wołał już ze schodów przenikliwym szeptem.

- Ktoś tu jedzie...! -Chaber...! - krzyknęła dziko Janeczka. Runęła do góry, wypchnęła z powrotem Stefka, potknęła się o stos krzeseł w pierwszym magazynie, wypadła na zewnątrz. Chaber biegł ku niej od narożnika budynku, machając ogonem i popiskując radośnie. Janeczka przez krótką chwilę czuła, jak robi się jej słabo i nogi się pod nią uginają.

-To Rafał - powiedziała omdlałym głosem do Stefka, który znajdował się tuż za nią. - Powiedz mu, co trzeba, a ja tam wracam. Pan Wolski leży w piwnicy... Pawełek i Bartek omal się nie podusili w drzwiach i na ciasnych schodach. Bartek trzęsącymi się rękami usiłował zamknąć wszystko, co pootwierał, nie bacząc, że połowiczne porozcinanie więźnia samo w sobie stanowi wystarczający dowód ich działaności. Wlazł Pawełkowi na nogę. Przy fałszywych półkach spotkali wracając Janeczkę. Janeczka odzyskała już równowagę i zimną krew.

- Co za okropne przeżycia - powiedziała z niezadowoleniem. - Rafał przyjechał. Przestańcie się tu miotać, wracamy! Trudności wcale się nie skończyły. Pawełkowi stępiły się nożyczki, śliska żyłka nylonowa wymykała się z nich. Janeczka zaczęła mamrotać coś o apteczce, którą Rafał wozził w samochodzie, samej sobie czyniąc wyrzuty, że jej nie zabrała. Bartek próbował podłożyć pod głowę pana Wolskiego złożoną, średnio czystą chustkę do nosa. Nad nimi znów rozległy się kroki. - Mam nadzieję, że do pilnowania zostawili Chabra - wymamrotała niespokojnie Janeczka wśród uwag o spirytusie salicylowym, amoniaku, aspirynie i jodynie. Nagle pan Wolski otworzył oczy i usiadł. Na chwilę zamarł w swoich zabiegach ratowniczych. Pan Wolski poruszył uwolnionymi już rękami, pomasażował palce, sięgnął do ust i jednym ruchem zdarł z nich plaster. Pawełek syknął. Pan Wolski wyjął z ust kłęb czegoś i odchrząknął. - Wody - powiedział samymi wargami. Bartek poderwał się jak ukąszony. Runął w drzwi i z impetem trafił głową prosto w żołądek schodzącego właśnie Rafała. Rafał nagle usiadł. - Wody!!! - wrzasnął Bartek okropnie.

- Kretyn - powiedział Rafał zduszonym głosem.

Siedząc na stopniu, zajmował całą szerokość schodów i nie wyglądało na to, że podniesie się szybko. Za nim Bartek ujrzał Stefka. - Wody! - krzyknął do niego gorączkowo. - Rób, co chcesz, ale przynieś wody! NIE z Wisły!" Czekał, zdenerwowany, aż Stefek spełni polecenie. Po niezbyt długiej chwili przybyła na dół fajansowa miska, nieco nadtłuczona. - Więcej naczyń nie ma - powiedział Stefek zza Rafała. - Czekałem, aż zleci zardzewiała, ale chyba nie całkiem... - Więcej naczyń nie ma - powtórzył Bartek do pana Wolskiego przeproszającym tonem. - I takie trochę może panu nie zaszkodzi. Pan Wolski przez ten czas masował sobie ręce, nic nie mówiąc. Janeczka i Pawełek też milczeli. Pan Wolski ujął teraz miskę i trochę niezdarnie przechylił ją do ust. Znów odchrząknął. Oddał Bartkowi miskę i pomacał się po głowie. - Wcale nie byłem nieprzytomny - powiedział nieco ochryple. - Udawałem, bo nie wiedziałem, kim jesteście. Zdołamy jakoś stąd wyjść? - A pewnie! - poderwał się Pawełek.

- Nie wiem - odparł równocześnie Bartek z ponurą troską. - Rafał zawala schody. Janeczka popatrzyła na niego z niesmakiem i wyjrzała za drzwi. Rafał spojrział na nią. - Bykiem mi choleryk przyłożył - powiedział z irytacją. - Więcej w tych waszych obłąkaństwach udziału nie biorę. Co jest...? - Rusz się, pan Wolski musi stąd wyjść - odparła sucho jego cioteczna siostra. - I trzeba mu pomóc, bo z

dwojga złego lepiej w brzuch niż w głowę. - Będzie pan mógł się podnieść i poruszać nogami? - niepokoił się Bartek w piwnicy. - Niech ja kokluszę dostanę, Szwedka została w samochodzie! Ale może się pan podeprzeć na nas. Pan Wolski ostrożnie zaczął się podnosić. Rafał na schodach uczynił to samo. - Chyba rzeczywiście musicie mnie podeprzeć - powiedział pan Wolski. - Nogi mam jeszcze zdrętwiałe. Ale za chwilę mi przejdzie. To bardzo ważne, żeby się stąd oddalić... - Wiemy - przerwała Janeczka. - Nie musi pan nic mówić. Wiemy, jak pana złapali i domyślamy się, dlaczego. A resztę możemy usłyszeć później. Te schody są bardzo wąskie i będzie kłopot.

Pan Wolski popatrzył na nią jakoś dziwnie, wsparł się o ścianę i wzdłuż tej ściany zaczął posuwać się w kierunku schodów. Z każdym krokiem sprawniej poruszał nogami. Na schody wszedł o własnych siłach, chociaż bardzo wolno, odpoczywając prawie na każdym stopniu. - Nie musi pan się wcale śpieszyć - powiedziała idąca przed nim Janeczka. - Nic się kompletnie tutaj nie dzieje i ci bandyci nie wracają. Gdyby wracali, powie o tym pies. Pan Wolski dotarł wreszcie do pomieszczenia kawiarnianego. Bartek wyrwał ze stosu jedno z krzeseł i podsunął mu. Pan Wolski usiadł bez protestu. Na drugim krześle usiadł Rafał i pomasaował sobie żołądek. - No dobra, już mi przechodzi - powiedział, ciągle z gniewem. - Za kretyna robię, to przez was, jak Boga Kocham. Do telefonu pojechałem i w połowie drogi przypomniałem sobie, że nie mam numeru. No więc wróciłem. - I bardzo dobrze - pochwaliła Janeczka. - Pan Wolski powinien stąd od razu odjechać. Pozamykaj te drzwi - zwróciła się surowo do Bartka. - Rób, co chcesz, ale musi zostać, jak było. Niech im się zdaje, że pan Wolski wyfrunął przez sufit. Rafał przestał wreszcie odczuwać dolegliwości żołądkowe i umysł zaczął mu działać.

- Ale teraz już się nie zmieścimy - zauważył.

- Pana trzeba odwieźć w pierwszej kolejności, chciałbym wiedzieć, kto zostaje? - Pawełek i Stefek - zdecydowała bez namysłu Janeczka, która za nic w świecie nie opuściłaby teraz pana Wolskiego. Był w złym stanie, mógł powiedzieć więcej, niż miałyby ochotę, i tej okazji nie zamierzała zmarnować. - I Chaber. Potem po nich przyjedziesz. - Do pogotowia? - spytał Rafał, podnosząc się z krzesła.

- Nie, dziękuję bardzo, do domu - odparł pan Wolski już prawie normalnym głosem. - Odwiedzi mnie znajomy lekarz, a poza tym nic mi nie jest. Owszem, zostałem ogłuszony, ale na krótko. Brak przytomności musiałem symulować... - Ubaw mieliśmy na dwadzieścia cztery fajerki, albo i lepiej - składał relację Pawełek późnym wieczorem, jedząc wreszcie obiad, który rzeczywiście przeistoczył się w kolację. - Nawet nie trzeba było długo czekać, przyjechali w pół godziny po Rafale i możliwe, że się z nimi gdzieś mijali. Chyba koło wpół do siódmej. Jakiś trzeci był z nimi, w kapeluszu i z podniesionym kołnierzem, więc gęby nie widziałem. I nawet nie mogłem podesłać mu Chabra, żeby go obwąchał i zapamiętał, bo pusto było i pluskwę by zauważył, a nie tylko psa. Bałem się o niego...

- Bardzo słusznie - wyraziła uznanie Janeczka.

- Zakradłem się do środka drugimi drzwiami, Bartek mi zostawił wytrychy. Co mówili, to ci dokładnie powtarzał nie będę, bo wyrażali się jak rzadko. Jak on wylazł i jak on wylazł, ten w kapeluszu zdrowo ich objeżdżał, a przy tym sam nie wiedział, czego chce. Raz pyskował, że trzeba było pana Wolskiego od razu utopić, a drugi raz, że trzeba go było od razu wypytać. A oni się złościli i odszczekiwali, że jak pytać, skoro był nieprzytomny. Bardzo rozumnie udawał... I sam zabronił go topić, dopóki się nie wypyta, a w ogóle z tej piwnicy wyjść jest całkiem niemożliwe. Drzwi się tam nie otwierają od środka, te dolne, popatrz, nawet nie zwróciliśmy uwagi... Więc bez pomocy z zewnątrz pan Wolski by nie wyszedł, nawet gdyby miał przy sobie wszystkie klucze świata i siekiere... - Nawet niegłupio i logicznie - mruknął przysłuchujący się także Rafał. - Więc chyba ktoś ich śledził - kontynuował Pawełek. - Tak uważał ten w kapeluszu, a oni się zaprzysięgali, że mowy nie ma, nikt za nimi nie jechał, specjalnie sprawdzali. On się upierał, że śledził, ale kto, to już mu całkiem nie przyszło do głowy. Wściekli byli wszyscy tak, że o mało się nie pobili, a najwięcej awanturowali się na schodach i w tym magazynie z meblami, więc dosyć dużo słyszałem. I zgadłem, o co im chodziło. Chcieli się dowiedzieć, co pan Wolski wie i komu to powiedział, ilu ludzi z tej szajki zna i tak dalej, a do tego

jeszcze chcieli mu zabrać jakieś materiały... - Jakie materiały? - zainteresowała się chciwie Janeczka. - No, nie włókiennicze przecież! Mnie się zdaje, że dokumenty. Jakieś tam papiery i tym podobne. I była chyba jakaś polka z jego drzwiami, mało o tym gadali, pewnie odwalili awanturę już wcześniej, ale coś niecoś owszem. Wyszło mi, że pojechali do niego do domu po te swoje materiały i nie mogli wejść do środka. Klucze im nie pasowały, albo co, a te klucze zabrali panu Wolskiemu w pierwszej kolejności. Więc tym bardziej chcieli go wypytać. A w ogóle są pewni, że to on im dziurawi opony i dlatego mieli tyle zapasowych. I strasznie głupio myśleli, że dwie ostatnie przebił im wcześniej, a powietrze zeszło później, pojęcia o tym nie mają. I tak się zastanawiam, dlaczego wcześniej nie załatwiliśmy ich, jak tam stali, na tym trawniku nad Wisłą. Na plecach by tego samochodu nie wynieśli, zadzwonić do porucznika i niechby ich złapał na miejscu zbrodni... -Bo nie było czasu - odpowiedziała Janeczka. - Oni od razu wyszli. A poza tym lepiej było się ich pozbyć i uratować pana Wolskiego. -No może... Poza tym czepiali się jakiegoś Selera. Pan Wolski też mu przebił...

- O żadnym Selerze nic nie wiemy - przerwała Janeczka nieco podejrzliwie. - Nie szkodzi. I dlatego Seler gdzieś nie zdażył. I przez to, że gdzieś nie zdażył, coś się zrobiło złego dla nich. Nie mam pojęcia co, nie mówili tego wyraźnie. Zdaje się, że pan Wolski uczeplił się tego Selera jak rzep i załatwił mu na poczekaniu trzy samochody: jego prywatny, służbowy i wezwaną taksówkę. I tym Selerem zdenerwował ich najbardziej. I skąd tyle wie, chcieli go zapytać, chociaż wydawało im się, że się jakoś tego domyślają. Głupio całkiem. Te interesy podsłuchowe nawet im na myśl nie przyszły i o podwórzu przy Olkuskiej słowem się nie odezwali; Raczej uważali, że mu ktoś donosi i mieli różne podejrzenia. Potem, tak jak zgadliśmy, zamierzali go zwyczajnie utopić i dlatego przywieźli nad Wisłę. - O nas mówili?

- Nic kompletnie. W ogóle im w głowie nie zaświtało.

- Bardzo dobrze. Ciekawe, co on zrobił z tymi swoimi drzwiami, że ich nie mogli otworzyć, chociaż mieli klucze... - Jakieś zabezpieczenie pewnie wykombinował. Przypomnij sobie, one są żelazne. Rozzłościło ich to okropnie, w rezultacie te klucze mu zostawili, do kieszeni wetknęli, bo dla nich na nic, a w razie czego zwłoki miały zostać znalezione ze wszystkim, i z kluczami też. Sam się utopił, rozumiesz... - Rozumiem. Co więcej?

-Nic, mało ci jeszcze? Wyszli, wsiedli i odjechali. Połazili tylko trochę po brzegu, żeby popatrzeć, czy pan Wolski gdzieś się tam nie czołga, ale oddzielnie, i żaden do siebie nic nie gadał. A jak wsiadali, to JUŻ ich obchodziło wyłącznie to, kto mu pomógł. Nie zgadli. Teraz wy powiedzcie, co było, a ja niech wreszcie zjem do końca. - Źle było - odparła Janeczka z mieszaniną gniewu i satysfakcji i wyprostowała się na kuchennym stołku, odrywając łokcie od stołu. - Pan Wolski zabronił się podwozić pod sam dom. Wsiadł do taksówki na placu Unii. Powiedział, że nikt nie ma prawa zobaczyć go razem z nami i okazuje się, że pod tym względem miał rozum. Owszem, uratowaliśmy mu życie i jest nam bardzo wdzięczny, ale gadać nie miał zamiaru. Jak tylko mu zadawałam pytanie, od razu udawał ciężko chorego. A w minutę później wracał do zdrowia. - Tak znowu wiele do gadania to już mu nie zostało - wtrącił Pawełek trochę niewyraźnie, bo akurat wepchnął do ust pół pasztecika. - Wiele czy niewiele, nie chciał mówić nic. I bardzo dobrze, że tyle się dowiedziałeś od tych zbrodniarzy, teraz już pan Wolski swoimi tajemnicami może się wypchać. Jeszcze tylko te. drzwi mnie ciekawią. A z nim nie ma co się zadawać, bo nawet jak go zapytałam, co woli, nas czy porucznika, powiedział, że w to wszystko mogą się mieszać tylko osoby dorosłe. Uparty jak stado mułów i właściwie wcale mi się nie podoba. -Coś mi się widzi... - zaczął Rafał i zamilkł. Odczekali chwilę. Pawełek przeknął. - No? Co ci się widzi?

- Może się mylę. Ale tak mi się widzi, że ten pan Wolski ich zna, bo ma, albo miał, z nimi coś wspólnego. Ta sama sitwa. Może go wyrolowali, mści się teraz i toczy z nimi swoją prywatną wojnę. Nic nie mówiłem, tylko słuchałem i jakoś mi to śmierdziało. Janeczka i Pawełek przyjrzeni mu się, a potem popatrzyli na siebie. -Podejrzana jednostka - zawyrokował Pawełek. - To co robimy? - Nic - odparła sucho Janeczka i z urazą wzruszyła ramionami. - Wolał porucznika, proszę bardzo. Już dzwoniiliśmy, ale go nie było i mają powtórzyć, że mamy interes.



Więcej nam potem powie, niż sam pan Wolski osobiście... W milczeniu i starannie ukrywając wszelkie wrażenia, porucznik wysłuchał opowieści o panu Wolskim. Nastąpiło to po dziewiątej wieczorem w Jego samochodzie, zaparkowanym dyplomatycznie nie przed domem państwa Chabrowiczów, tylko kawałek dalej, wśród innych stojących tam pojazdów. Kiedy Janeczka skończyła, odetchnął głęboko i poruszył szczękami, tak jakby musiał je rozluźnić po długim zaciskaniu. - Nie mam żadnych pretensji - zapewnił ku ogromnej uldze rodzeństwa. - Rozumiem, że z telefonami są problemy, poza tym ta okazja na nic by mi się nie zdała. Nawet usiłowania zabójstwa nie udałoby się im udowodnić, bo nikt by przecież nie czekał, aż go wrzucą do Wisły. Musielibyśmy im w tym przeszkodzić, a oni by twierdzili, że chcieli go tylko ocucić, ochlapując wodą na świeżym powietrzu. Ratowali. I w dodatku bardzo wątpię, czy poszkodowany złożyłby skargę. Zapewne potwierdziłby ich wersję, jakoby sam się uderzył i stracił przytomność, a nad Wisłę przyjechał dobrowolnie, na spacer. - Dlaczego tak? - zdziwił się Pawełek. - Chyba wam powiem - zdecydował się porucznik po namyśle. - Inaczej Bóg raczy wiedzieć, co wam do głowy strzeli. Ale macie milczeć i absolutnie nikomu nie powtarzać. Janeczka prychnęła gniewnie, a Pawełek wzruszył ramionami. - Akurat tak dużo gadamy do byle kogo...

- Widzę, że nie i dlatego ryzykuję. Ten wasz pan Wolski... Obiło mi się o uszy jego nazwisko już kilkakrotnie i sprawdzę to dokładnie, ale odgaduję, że pracował kiedyś w tak zwanych służbach specjalnych. Dlatego dysponuje różnymi możliwościami... no... technicznymi, i dlatego zna tych ludzi. Porozmawiam z nim, oczywiście. Nieoficjalnie. Przypuszczam, że się wyprze wszystkiego i będę mógł tylko dedukować. Osobiście sędzę, że usiłuje ukrócić ich przestępczą działalność po swojemu, metodami indywidualnymi, i wydaje mu się, że to da rezultaty. Już widać, co osiągnął. Żeby nie wy, mieliby go z głowy. - Ale jednak im przeszkadza - zauważyła krytycznie Janeczka. - I to porządnie, skoro postanowili go utopić. - Przez Selera - przypomniał Pawełek. - Kto to jest ten Seler? Porucznik westchnął tak, że wydmuchnął prawie cały popiół z samochodowej popielniczki. Janeczka zaczęła się dyskretnie otrzępywać. - O, bardzo cię przepraszam... To jest okropna rzecz, czy wy koniecznie chcecie rozmawiać o polityce? Dobrze, powiem prawdę. Seler jest posłem na Sejm. Opłacają go, żeby utracał wszelkie propozycje zmian w przepisach prawnych. Znajduje się w odpowiedniej komisji i bruździ. Owszem, tym Selerem pan Wolski wyświadczył nam wielką przysługę, przeszkodził mu przyjechać na obrady i zaczęły się rozmowy na ten temat. W jego obecności byłoby to w ogóle niemożliwe, ale co z tego, nadal będzie utrudniał. Naprawdę wcale się nie nazywa Seler, tylko trochę inaczej, ale nie wymagajcie już ode mnie zbyt wiele. -- Może, wobec tego, powinno się utopić Selera...? - podsunął niepewnie Pawełek.

- I kto ma to zrobić? - zainteresował się zgryźliwie porucznik. - Ja czy wy? Janeczka poczuła się nagle bezradna. Szajka, którą chcieli szybko i dokładnie zlikwidować, stanowczo przerastała ich siły. Praworządność wyglądała jakoś dziwnie i sprzecznie ze zdrowym rozsądkiem. W żaden sposób nie mogli zyskać wpływu na obrady sejmowe i wszystko to razem prawie nie mieściło się w głowie. - Okropne - powiedziała ze wstrętem. - Ja się na to nie zgadzam. Trzeba coś zrobić przeciwko temu bałaganowi i tym ludziom, ale wcale nie wiem co. - Ja mniej więcej wiem - odparł pocieszająco porucznik. - I oprócz mnie jeszcze kilka osób. Pułkownik... mój zwierzchnik, który się tymi aferami zajmuje, wyłożył to nawet w punktach, w piśmie skierowanym do odpowiednich władz. Ponadto już się dość dużo zrobiło. Kilkunastu przestępców zostało zatrzymanych i zapewniam was, że na dłużej niż dwie doby. A ich szefowie, chociaż ciągle bezkarni, jednak mają kłopoty. No, mogę wam też powiedzieć, że Niemcy bardzo się ucieszyli. Te kradzione samochody, które miały przyjechać tranzytem, już do nich wróciły. Złapaliśmy także sprzedawcę, który dostarczał złodziejom informacji o kupowanych samochodach i dorabiał kluczyki. Zlikwidowaliśmy dwa warsztaty, przerabiające numery. To już coś...

- Ale do świąt się chyba całej reszty nie zdąży - powiedział w zamyśleniu zmartwiony Pawełek. - Do świąt został tydzień. Dlaczego akurat do świąt?

- Bo na święta przyjeżdża nasz ojciec - wyjaśniła Janeczka. - Przyprowadzi nowe volvo. Nie chcemy, żeby je ukradli. - Zdaje się, że doskonale potraficie

przeciwdziałać kradzieżom - zauważył porucznik cierpkim tonem. - Niekiedy nawet zbyt dobrze... Co nie znaczy, że ja to pochwalam! Janeczka i Pawełek popatrzyli na niego wzrokiem kompletnie bez wyrazu. Potem spojrzeli na siebie. Pawełek odchrząknął z odrobiną zakłopotania. -Dobra, coś się zrobi...

- Ale jak pan już porozmawia z panem Wolskim, to pan nam powie, co z tego wynikło? - wróciła do pierwotnego tematu Janeczka.

-Powiem tyle, ile będę mógł...

O szybę samochodu puknęły nagle pazury i Janeczka ujrzała łeb Chabra. W zębach psa tkwił kawałek papieru. Uchyliła drzwiczki i przejęła korespondencję.

- Proszę wracać do domu, bo robi się późno

- odczytała na głos treść, wypisaną ręką pani Krystyny. - No proszę, jak się wszyscy nauczyli pisać listy przez psa.

-Zdaje się, że matka nie wie, gdzie jesteśmy

- mruknął Pawełek.

Porucznik z ulgą pomyślał, że ten pies to czyste błogosławieństwo. Janeczka westchnęła z żalem i zaczęła wysiadać. - No trudno, musimy iść. Jeszcze tylko niech pan nam powie, kto to jest ten Łojecki, u którego byli Purchel i Lewek. - Zwyczajny człowiek, nieświadomy swojej roli. Szwagier Lewka. Porozmawiamy jeszcze. Dobranoc...

- Tego Selera gdyby tak udało się dopaść - powiedział tęsknie Pawełek, przechodząc przez furtkę. - Jak by tu się o nim czegoś dowiedzieć? - Chyba cudem - odparła sucho jego siostra. - Pan Wolski wie, ale na pewno nie powie. I z porucznika też tego nie wydusisz. Będę musiała się poważnie zastanowić... Wracając nazajutrz ze szkoły, już dość blisko domu, Janeczka ujrzała nagle na ulicy jakiegoś człowieka. Odchodził od kiosku Ruchu z paczką papierosów w ręku, na przegubie drugiej ręki wisiała mu obciążona niewidoczną zawartością foliowa torba. Pogrzebał w kieszeni, schował kupioną paczkę, wyjął drugą, pogniecioną i prawie pustą, zajrzał do niej, wyjął jedyne pozostałego papierosa, paczkę zaś zgniótł do reszty i rzucił na chodnik. Zapalił tego ostatniego papierosa, spojrzął z uwagą na Janeczkę i szybkim krokiem zaczął się oddalać. Nagle popędził biegiem i znikł jej z oczu.

Stojąc jak wrośnięta w ziemię, Janeczka patrzyła za nim długą chwilę. Pierwszą jej myślą było; iść za nim. Myśl błysnęła i zgasła. Zauważył ją, nie mogła go śledzić. W dodatku popędził biegiem, musiałyby biec również. Do niczego... Poruszyła się, podeszła do zgniecionego opakowania, podniosła je delikatnie, przez chwilę zastanawiała się, jak zabezpieczyć ten łup, zrezygnowała z chowania go w tornistrze i ze śmieciem w palcach popędziła do domu. Chaber czekał na nią przy furtce. Zawróciłyby od razu, zabierając go ze sobą, gdyby nie tornister. - Czekaj, piesku! - szepnęła. - Zaraz będzie robota!

Na palcach podeszła do domu, cichutko otworzyła drzwi, ulokowała tornister za nimi w holu, sięgnęła po ustawioną w kącie parasolkę i wycofała się. Pilnowała, żeby nie brzęknąć furtką. Biegiem popędziła z powrotem na miejsce spotkania człowieka i tam podetknęła psu pod nos pogniecione opakowanie papierosów. - Pieseczku, szukaj! - poleciła z naciskiem. - Musimy znaleźć tego bałwana. Szukaj! Chaber doskonale rozumiał, że nie woń tytoniu Jest tu ważna, tylko woń człowieka. Człowiek trzymał to w ręku, nosił w kieszeni... Dla tak uzdolnionego psa jak Chaber zadanie było najprostsze i najłatwiejsze w świecie. Tropiony osobnik nie chodził nigdzie daleko. Plątał się po najbliższej okolicy, odwiedził sklep spożywczy, był przy kiosku, pokręcił się trochę obok zaparkowanego na chodniku samochodu, wreszcie wszedł do budynku przy Ursynowskiej. Pokonał dwa piętra i znikł za drzwiami mieszkania numer osiem. Obecnie przebywał wewnątrz. Janeczka zeszła na dół i poszukała listy lokatorów. Istniała, owszem, ale była podarta i tego kawałka z mieszkaniem numer osiem brakowało. Janeczka zastanowiła się. Osobnik z pewnością tu mieszkał, bo na ulicy znalazł się w samej marynarce, bez palta. Wyglądał jak człowiek, który na chwilę wyszedł z domu, żeby coś kupić, i wrócił prawie natychmiast. Biegiem popędził zapewne dlatego, że było mu zimno. Stała w zamyśleniu obok samochodu, kiedy nagle ujrzała Pawełka i Bartka. Wracali ze szkoły o dziwnej porze, jakby w połowie lekcji, i najwidoczniej Bartek odprowadzał Pawełka, bo sam mieszkał w przeciwnej stronie. - Co tu robisz? - zainteresował się Pawełek. - Znikłaś mi z oczu, myślałem, że wrócimy

razem, ale trzeba było jeszcze naradzić się ze Stefkiem. Co tu ma być? - Wiesio tu mieszka - powiedział Bartek, spoglądając na budynek. Janeczka odwróciła się do niego gwałtownie.

- Co?!

- Wiesio tu mieszka, mówię. Na drugim piętrze.

-O Boże...! Tu wszedł ten kudłaty bałwan, który ukradł samochód pana Zajrzała! Spotkałam go na ulicy i Chaber za nim poszedł. On tu mieszka! W mieszkaniu numer osiem! - Jak to, pod ósemką mieszka właśnie Wiesio!

- stwierdził zaskoczony Bartek. - Kudłaty...? Jego brat jest kudłaty - Ma takie czarne kręcone kłaki, wielki łeb, jest średnio gruby? i nie bardzo wysoki? - Zgadza się, taki trochę pękaty. Czeka, co ty mówisz? Rąbnął samochód? -W moich oczach - oświadczyła Janeczka uroczyście. - Od tego się wszystko zaczęło.

Poznałam go od razu, bo w pierwszej chwili był odwrócony bokiem. Więc brat Wiesia kradnie osobiście...! - A myśmy chcieli wziąć Wiesia do spółki! - wykrzyknął ze zgrozą Pawełek. -Wiesio nazywa się Rzepak i jego brat też?

- upewniła się Janeczka. - Jak mu na imię? Nie Wiesiowi, tylko temu bratu? - Karol - powiedział oszołomiony Bartek. - Rany koguta, nic dziwnego, że się na mnie rzucił z pazurami, jak tylko pierwsze słowo wypuściłem z gęby! Coś takiego...! Hej, a to jest jego wózek! -Nie stójmy tu, bo może wyjrzeć przez okno...

- No i cóż takiego, mało razy tu byłem? Mogę mieć interes do Wiesia, poleciał do domu od razu PO ostatniej lekcji, jak z pieprzem. Ale dobrze, chodźmy kawałek dalej.

- Głupota - powiedział z niezadowoleniem Pawełek przy Odyńca.- Trzeba mu było od razu załatwić chociaż z jedno koło. Widzę, że masz parasolkę. Janeczka pokręciła głową.

- Chaber mówił, że przed chwilą oglądał samochód. Jeśli przypadkiem wyjrzał przez okno i nas zobaczył... Od której strony on ma okna? - zwróciła się do Bartka. - Od ulicy - wyznał ponuro Bartek. - Wiesio też mógł wyglądać. Gdyby teraz wlaź i znów sprawdził, że wszystko w porządku, można by tam później podskoczyć. Już by nie było na nas. - To jest do załatwienia. Ale czekajcie, bo może on się na coś przyda. -Na co, na przykład?

- Chcemy znaleźć Selera - powiedziała powoli Janeczka po chwili milczenia. - Brat Wiesia zna Purchla i tych innych ludzi, jestem pewna, że należy do ich szajki. Może znać i Selera. Może się od nich dowiedzieć, gdzie on mieszka. Albo czasem bywa. I w ogóle muszą się przecież spotykać, chociażby po to, żeby sobie dawać pieniądze. Przez telefon ich nie przepchną, -I co, uważasz, że tak od razu nam powie?

- Nie. Właśnie myślę. Trzeba podstępem. Przez Wiesia.

- Coś wykombinować takiego, żeby koniecznie musieli mu o tym powiedzieć - zaproponował Pawełek. - Coś pilnego i okropnego. Lecz do tego Selera, żeby go ostrzec... - Po pierwsze, nie wiemy, który leci - przerwała Janeczka. - Po drugie, ostrzegają przez telefon, A po trzecie, nie wiemy, jak on się naprawdę nazywa. Niechby ten Wiesio wywlókł z brata chociaż nazwisko! - Wiem, co zrobię - ożywił się Bartek. - Powiem Wiesiowi, że gliny mają oko na jego brata. Jak puści farbę, to mu darują, a jak nie, to nie. Powiem, że wiem to poufnie. I w ogóle będę udawał, że strasznie dużo wiem! - Wcale nie musisz udawać - zwróciła mu uwagę Janeczka. - I nawet nie będzie to łgarstwo, bo porucznik i tak mu nic nie może zrobić. On chyba jest z tych, co to jeżdżą na przejażdżki dla przyjemności. Bardzo dobrze, spróbuj. Porucznikowi swoją drogą możemy o nim powiedzieć. Może mu się na co przyda...

- Brat Wiesia leży w domu ze złamaną nogą! - wrzasnął Pawełek, wpadając wieczorem do pokoju siostry, i urwał. U Janeczki siedział Stefek. Pawełek od razu wiedział, że bez powodu nie przyszedł. Zdziwił się nieco, bo widzieli się w szkole i Stefek nie przewidywał żadnych wydarzeń. Pomyślał, że widocznie w godzinach popołudniowych coś się musiało przytrafić, ale nie mógł się tym interesować, dopóki nie wyzbył się własnych emocji. Padł w poprzek na tapczan. - Wiesio pękł do Bartka - oznajmił z wielkim triumfem, trochę już ciszej. - Wszystko wygadał! No, prawie wszystko... - Mów od razu całą resztę! - zażądała Janeczka. - Przed chwilą wróciłam, on już na mnie czekał i też ma wiadomości.

Odbędziemy naradę produkcyjną, a Bartkowi potem powtórzysz. Pawełka nie trzeba było zachęcać.

- Brat Wiesia, mówię, ma złamaną nogę i leży w domu. Wiesio musiał dla niego coś tam załatwić, znaczy, dobrze wiemy, co załatwić, i nadział się na Bartka. W pierwszej kolejności wyrwało mu się, że jego brata ktoś pobił zeszłej nocy! Na Ursynowie!

Janeczka wyprostowała się nagle przy biurku.

- To zdaje się, że ci mogę powiedzieć, kto go pobił i dlaczego - oznajmiła z olbrzymią satysfakcją. - Byłam u Beaty i spotkałam pana "Zajrzała, i wiem wszystko. Nie wiedziałam tylko, że to był brat Wiesia.

Zdumiony i zaskoczony Pawełek zatrzymał się w rozpędzie. Usiadł na brzegu tapczanu. - No? Mów zaraz! Skąd pan Zajrzał? Co on wie?

Stefek, usunięty chwilowo w cień, nie żywił żadnej urazy i nie pchał się na pierwszy plan ze swoimi osiągnięciami. Pobyt w pokoju uwielbianej istoty stanowił dla niego wystarczające szczęście, - Żeby już niczego innego nie wymagać. Słuchał w milczeniu. - Pan Zajrzał był wczoraj w gościach, grał w karty i bardzo późno wracał - powiedziała Janeczka. - Wszystko widział. Otwierał sobie drzwi i trwało to bardzo długo, bo szukał klucza po wszystkich kieszeniach. W tym czasie zaczął wyc samochod pod sąsiednim domem. Pan Zajrzał mówi, że wyjrzał z ciekawości. I zobaczył, jak z drzwi wyleciał właściciel w piżamie, a potem z tym właścicielem rozmawiał. On mieszka na parterze. Spał, usłyszał swoje wycie, on ma Volkswagena Passata, zerwał się, wyjrzał przez okno, zobaczył złodzieja, więc wpadł w szal, złapał, co mu wpadło pod rękę, i wyskoczył z domu. Złodziej właśnie wyłączył alarm i wsiadał, ale nogi miał jeszcze na zewnątrz. Dokładnie, jedną nogę. I tym czymś przywalił mu w tę nogę. A to był wazon, taki strasznie długi i wąski, potwornie ciężki, z lanego szkła, z taką bułą na dole. Ta buła go trafiła. Wywłókł go z samochodu i może by go całkiem zabił tym wazonem, ale pan Zajrzał zdążył go powstrzymać. Trochę go jeszcze tylko podusił gołymi rękami. Potem odjechał własnym samochodem w inne miejsce i zadzwonił do pogotowia, że na parkingu leży człowiek i bardzo jęczy. Pogotowie przyjechało i zabrali go. Wygląda na to, że brat Wiesia lubi kraść na Ursynowie. -Lubił - poprawił zachwycony wydarzeniem Pawełek. - Teraz może mu to przejdzie. Po co odjeżdżał w inne miejsce?

- Bo wcale nie zamierzał się przyznawać, że osobiście mu coś zrobił, a liczył na to, że złodziej nie powie, że przyszedł kraść. Pan Zajrzał mówi, że te przepisy prawne są beznadziejnie głupie, bo złodziejowi nic nie zrobią, a właściciel odpowiadałby za to, że bronił swojego samochodu. Wedle przepisów powinien był podejść i grzecznie poprosić, żeby wysiadł. A tak, możliwe, że poszedłby do więzienia, więc wolał nie.

- Bardzo przytomny facet - pochwalił Pawełek z uznaniem.

- Owszem, A w ogóle to się rozeszło - powiedziała Janeczka i odwróciła się do Stefka. - Nie zdążyłam ci jeszcze powiedzieć...

- Co się rozeszło? - ośmielił się spytać Pawełek.

- No To, co robimy razem z panem Wolskim. Pan Zajrzał mówił, że podobno ktoś strasznie przebija opony i wandalizm się szerzy. Różne głupstwa mówił, bo rozeszło się niewyraźnie i nikt w ogóle nie wie dokładnie, o co chodzi. Jest mnóstwo plotek.

- Wandalizmy..! - prychnął Pawełek z ciężką urazą i zatroskał się natychmiast. - O rany, trzy dni przyjeżdża ojciec! Niech ręka boska broni, żeby do niego doszło...

- Co do ojca, to już mamy wymyślone - przypomniała Janeczka. - Nie zajmuj się teraz rodziną, tylko mów. co wiesz od Bartka! - A! No więc... Wiem, gdzie mieszka Selera! Reakcja Janeczki i Stefka nie rozczarowała go. W obliczu tak sensacyjnej wiadomości zachowali się prawidłowo. Dumny z osiągnięcia Bartka, Pawełek kontynuował: - On tam właśnie leciał, Wiesio znaczy, jak go Bartek spotkał i przyrósł do niego na mur. Brat go wysłał. Zaczęło się od gadania na telefony, bo nijak się nie mógł nigdzie dodzwonić, to znaczy, owszem, Bartek się połapał, że tylko do Purchla. Purchla w domu nie zastał i wyszło mu, że jest u Selera...

- Mówiłam, że się muszą spotykać osobiście! - wykrzyknęła Janeczka. -- No więc właśnie. Możliwe, że całe zebranie zrobili, ja tak uważam, Bartek też. I Wiesiowi się powyrywały różne rzeczy, brat mu wcale tego nie mówił, sam zgadł, a martwił się tą jego nogą i w ogóle trząsał się, że się ich ojciec połapie, bo ten Karol kradnie w tajemnicy przed rodziną. Ze zmartwienia tak do Bartka gadał. A co do Selera, to wiedział tyle, że leci do jakiegoś piorunująco ważnego faceta, któremu ta szajka załatwiła, albo może dała w prezencie, przepiękne mieszkanie na Fałata, bo willi nie chciał. Podobno mówił, że nie życzy sobie mieć kłopotów, jak mu będzie dach przeciekał, albo rynna się obluzuje. Ściśle biorąc, to gadali o nim przez te jego głupie poglądy, najpierw brat Wiesia pukał się w głowę na ten temat, a potem Wiesio do Bartka. I wyrwało mu się, że to poseł, no więc kto, jak nie Seler? Ilu tym posłom mogą płacić...?

- I jak on się nazywa? - spytała chciwie Janeczka.

- Nie wiem.

- Jak to?! Bartek nie sprawdził?!

--Jak miał sprawdzić? Chabra z nim nie było!

-"No przecież mówisz, że leciał z Wiesiem, przyczepiony...

-Z powrotem!

Przez chwilę Janeczka patrzyła na brata z przygniatą naganą.

- Do reszty nie rozumiem, co mówisz! Zdawało mi się, że powiedziałaś, że spotkał Wiesia, jak leciał do Selera...

- Nic podobnego nie powiedziałem! - oburzył się Pawełek. - Spotkał go, jak wracał od Selera i wie, że był na Fałata! - Wszystko jakby odwrotnie - mruknął ostrożnie Stefek.

-Mówiłeś, że go spotkał, jak leciał do, a nie od - nacisnęła Janeczka.

-No to źle mówiłem - skorygował beztrąsko Pawełek. - Leciał od. I dlatego Bartek nie wie, który to był numer, ale Fałata znowu nie taka długa...

- Otóż to! - Stefek wtrącił się takim tonem, że Pawełek umilkł i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Mów! - poleciała z naciskiem Janeczka. Stefek dał spokój plastikowej ekierce, którą od początku wizyty usiłował przełamać na pół, co dawało mu zajęcie dla szalenie zdenerwowanych rąk. W obecności Janeczki mógł zachować spokój tylko do pewnych granic. - Byłem u pani Polińskiej - oznajmił, usiłując nie ujawniać pełni triumfu. - Ci wszyscy z radia, z telewizji i w ogóle z prasy wszystko wiedzą. Nałgałem, że to do szkoły i ona obiecała mi przynieść taką listę, taki spis, jacy posłowie są w jakich komisjach od przepisów prawnych, a tam będzie nazwisko Selera i adres. Ten, co mieszka na, Fałata, to właśnie on! - Pierwszorządnie! - ucieszył się Pawełek. - A to jeszcze nie koniec, niech wam się nie zdaje! Bartek spotkał Wiesia, a ja porucznika i ho, ho! Pod czerwonym światłem stał, wypatrzyłem go i przejechałem się kawałek. Dlatego tak późno wracam. - I co mówił?

- Niemożliwe rzeczy. Z panem Wolskim już gadał. Okazuje się, że zgadł wszystko. My też. Rzeczywiście pan Wolski nagrywał sobie przez te szpiegowskie wichajstry każde słowo z podwórza. To jest uparty, stary grzechotnik, odmówił współpracy, dalej się będzie wygłupiał po swojemu i tylko na jedno się zgodził. Obiecał go zawiadomić, co i kiedy będą chcieli kraść. I gdzie. -Jak to? - zdziwiła się Janeczka. - Więc ci przestępcy ciągle nie wiedzą, że on ich podsłuchuje i w dalszym ciągu się tam spotykają? - A pewnie! To w ogóle skomplikowana sprawa. Primo, wyobraźcie sobie, oni wcale nie wiedzą, że on tam mieszka! Zameldowany jest całkiem gdzie indziej, gdzieś na Czerniakowskiej, a mieszka w mieszkaniu jednego znajomego, który wyjechał do Kanady. Już ładne parę lat prowadzi takie podwójne życie. Dlatego im te klucze nie pasowały, bo to były klucze od Olkuskiej, a oni polecili z nimi na Czerniakowską! - I dlatego musi udawać, że jest w domu wtedy, kiedy go nie ma! - zgadła żywo Janeczka. - Bo raz bywa tu, a raz tam! I dlatego tak dziwnie wychodzi, i pewnie wraca za każdym razem inną stroną! I jeśli go nie zobaczą na własne oczy, w żaden sposób tego nie odgadną, bo nie mają psa! - Toteż właśnie - powiedział bardzo zadowolony Pawełek. - A do tego jeszcze wcale się nie nazywa Wolski, tylko jakoś inaczej, a Wolski to jest ten prawdziwy lokator, który wyjechał. I żeby tylko...! - W tej chwili mów, co

jeszcze, i wszystko od razu - zirytowała się Janeczka. Pawełek napawał się swoją wiedzą i, być może, sączyłby ją po odrobinie dla zwiększenia emocji, ale rozpychała go, wyłaziła przemocą i nie pozwalała się tłumić. - Mówię przecież, nie? O polityce gadaliśmy. To wszystko razem to nie taka prosta sprawa. Te przepisy to jest kołomyja do podłożenia pod tramwaj. Prawne. Na dobrą sprawę oni mogli tkwić w tej mafii całkiem jawnie i nikt by im nic nie zrobił, a forsa z tych wszystkich przestępstw jest strasznie wielka i żywią się nią różni tacy od samej góry. Ministrowie i tak dalej. Ale ci tacy trochę poniżej boją się, że w razie czego na nich się skrupi, więc woła się nie pchać na oczy i jednak ciągle udają, że skąd, w niczym nie biorą żadnego udziału, nic nie robią, ukrywają się, żeby nie można im było niczego udowodnić. Na wszelki wypadek. Taki Purchel, na przykład. Może znać osobiście tych prokuratorów, posłów. Lewków i kogo popadnie, ale za nic się nie przyzna, że zna złodziei. Dlatego z tym przedstawicielem złodziei spotyka się na podwórzu i nijak inaczej. - Coś podobnego! - wykrzyknęła z oburzeniem Janeczka. - To jeszcze gorzej niż u Arabów! - A pewnie. A pan Wolski rzeczywiście ma rozmaite dowody i siedzi na nich. Nikomu nie da, tylko dalej będzie robił swoje, bo on ich tym sposobem umoralnia. Tak powiedział. Dziwnym wzrokiem Janeczka popatrzyła na brata.

- W takim razie myśmy ich też umoralniali - zauważyła już spokojnie. - I będziemy umoralniać dalej, niech tylko ojciec wyjedzie. Zanim wróci na zawsze, może sobie z nimi dadzą radę. Pawełek zawahał się odrobinę.

- Tak prawdę mówiąc, to specjalnie mi na tym pośpiechu nie zależy. Cała robota Bartka by się zmarnowała...

Pan Chabrowicz wysiadł z samochodu śmiertelnie zmęczony i bezgranicznie szczęśliwy. Wszystko wydawało mu się zachwycające, dom, żona, dzieci, pies i cała reszta rodziny. Przygotowany na jego przyjęcie garaż powitał z najwyższą ulgą, bo całą drogę martwił się, rozmyślając o tych okropnych kradzieżach samochodowych, stanowiących plagę Europy. Wyładował bagaż i wszedł do domu w licznej asyście. Moment na okazanie anielskich cech Janeczka wybrała z największą starannością, dbając, żeby się przypadkiem nie zmarnował. Odgadła, że bezpośrednio po podróży ojciec będzie wykończony, na żadne poważne tematy rozmawiać nie zdoła i matka to z pewnością uwzględni. Poza tym szczęście pobytu w domu opromieni mu wszystko. Potem będą prezenty, wigilia i świąteczne dni, których nikt nie ośmielił się zatruwać żadnym dysonansem. Potem się ta euforia trochę uspokoi i wtedy należy rozpocząć prezentację nadziemskich zalet.

- Jutro możecie sobie odpocząć - zawiadomiła łaskawie rodziców pierwszego poświętecznego wieczoru. - My zrobimy obiad. Będą potrawy specjalnie dla ojca. I później też możemy robić obiady, nie mówię, że codziennie, ale od czasu do czasu. No, może nawet często.

- A co to za potrawy specjalnie dla mnie? - zaciekawił się pan Roman.

-Zobaczysz - odparła jego córka tajemniczo. - Niespodzianka. Najukochańszą zupę ojca, zwyczajną kartoflaną z zacierkami i okrasą ze skwarek i cebuli, Janeczka umiała robić już dawno. W miejsce zacierki stosowała wprawdzie makaron-muszelki, ale zupełnie jej to nie szkodziło. Zupa nie zaliczała się do potraw skomplikowanych i dała sobie z nią radę bez straty czasu i siły, i nawet bez pomocy Pawełka. Pawełek wpadł do kuchni zadyszany, akurat kiedy należało przystąpić do dalszego ciągu. - Widziałem się ze Stefkiem - oznajmił. - Ma tę listę od pani Polińskiej! - Bardzo dobrze - powiedziała Janeczka. - To teraz rób sobie, co chcesz, ale musisz rozklepać to mięso na takie strasznie wielkie klabzdrony. Już się wreszcie zdecydowałam, co zrobimy. -No...?

-Postanowiłam, że niech ma już wszystko. Tej chińskiej mieszaniny napchamy do środka, zawiniemy w wieprzowinę panierowaną, a na wierzch damy placki kartoflane Wielkie, żeby wystarczyły dookoła. Więc potem przepuścisz kartofle przez robot... Państwo Chabrowiczowie pojechali na miasto, bo pan Roman chciał obejrzeć sklepy i stwierdzić, co się zmieniło. Kiedy wyjeżdżał, niczego nie można było dostać, teraz podobno zaopatrzenie eksplodowało niczym bomba, wręcz trudno mu było w to uwierzyć i chciał zobaczyć zjawisko na własne oczy. Rodziców zatem nie było i nie przeszkadzali, ale do kuchni zajrzała babcia, zwabiona potwornym łomotem, który rozlegał się po całym domu. Pawełek z zapałem spełniał polecenie siostry. Babcia popatrzyła wokół i poczuła się nieswojo. -Zwracam wam uwagę, że wasz Ojciec

to jest mój rodzony syn - powiedziała słabo - To wszystko zamierzacie podać mu na jeden obiad?

- Tak - odparła stanowczo Janeczka, krojąc w drobną kostkę kawałki kury i kaczki

- To jest chińska potrawa. Może troszeczkę zmieniona, ale nie mamy bambusa, a wędki się nie nadają, chyba że Chaber je pogryzie i wszystko będzie razem w jednej postaci - W postaci - powiedziała głucho babcia - W postaci

Popatrzyła na wielką patelnię, na której gulgotała cebula z pomidorami i z papryką, obejrzała pozostałe surowce na stole i zajrzała Pawełkowi przez ramię.

- Zdaje się, że zamierzasz zrobić coś w rodzaju nadziewanych zrazów - powiedziała po chwili, wykorzystując przerwę w łomotach. - Ostrzegam cię, że to wszystko spęcznieje...

- Nie szkodzi! - wrzasnęła gromko Janeczka, bo Pawełek znów przystąpił do pracy.

- Będzie duże! Niech sobie pęcznieje! Babcia zatkała uszy i uciekła z kuchni.

Przygotowania trwały trzy godziny. Państwo Chabrowiczowie wrócili bardzo głodni, punktualnie na obiad. Elegancko zastawiony stół już na nich czekał. Umyli ręce i zasiedli przy nim, unikając spoglądania za siebie. Janeczka wniosła zupę na talerzach, na ogromnej tacy. - Jeżeli już chciałaś, żeby było tak absolutnie wytwornie, należało podać zupę w wazie - wyrwało się pani Krystynie.

- Wykluczone! - zaprotestowała energicznie jej córka. - Ojciec by zjadł za dużo i nie miałby apetytu na drugie danie, a drugie danie jest najważniejsze. Więcej zupy nie będzie. Pan Roman po spożyciu talerza zupy nadal był głodny. Pani Krystyna siedziała przy stole trochę zaciekawiona, trochę zrezygnowana, ale poza tym dość spokojna. Uprzedzono ją z góry, że ma się nie wtrącać. Orientowała się, że potrawa ma być po chińsku z drobnymi modyfikacjami, dzieci jednakże przysięgły obcyć się bez robaków, nie miała zatem żadnych obaw. Na ogromnym, największym w domu, rzetelnie podgrzanym półmisku Pawełek w grubych, kuchennych rękawicach wniósł podstawowe danie. Pan Roman patrzył z zaciekawieniem. Wyglądało to jak olbrzymie pierogi w cieście na placki kartoflane, czy może tak, jakby plackami kartoflanymi potężnych rozmiarów owinięto jakąś zawartość. Czegoś podobnego nigdy w życiu nie widział i zainteresowało go to ogromnie. Pozwolił sobie położyć na talerz jeden taki zawijas, popatrzył na żonę i podjął męską decyzję. W zamiarze odkrojenia kawałka wbił w to widelec, pocisnął nożem i strumień gorącego tłuszczu trafił go prosto w oko. - Jezus Maria! - krzyknął. - Co to jest?!

- Przypuszczam, że wszelki wypadek - odparła spokojnie pani Krystyna, wycierając sobie tłuszcz z włosów, bo również przystąpiła do jedzenia, tak samo jak jej mąż. Janeczka i Pawełek na moment zamarli nad swoimi talerzami. Pan Roman wycierał oko serwetką. - Co takiego? - spytał ze zdumieniem i podejrzliwie.

- Ta potrawa nosi taką nazwę: wszelki wypadek - powtórzyła pani Krystyna. - Rozumiem. Na wszelki wypadek należy włożyć okulary ochronne... - A babcia mówiła, że spęcznieje - odzyskał mowę Pawełek i ostrożnie przekłuł widelcem swoją porcję. Pan Roman, wciąż głodny i zainteresowany, delikatnie odkroił kawałek placka, ujrzał, że wyłazi z niego jakaś zawartość, zgarnął na widelec wszystko razem i włożył do ust. Spróbował delikatnie. Na moment zamarł, a potem z zapalem zaczął jeść. Na jegotwarzy ukazał się zachwyt. - Ależ to jest znakomite! - wykrzyknął między jednym kęsem a drugim. - Pojęcia nie mam, z czego się składa, ale świetne! Co to właściwie takiego? Poważnie pytam, jak się to nazywa?

- Wszelki wypadek - odparła pani Krystyna cichutko.

- To jest chińska potrawa - skorygowała Janeczka z wyrzutem, omijając wzrokiem matkę. - Możliwe nawet, że dwie chińskie potrawy razem i do tego jeszcze wszystko to, co lubisz. Jutro też zrobimy obiad i też będzie to, co lubisz. Pan Roman z niejakim zdumieniem popatrzył na żonę. Uczynność dzieci wydała mu się wręcz chorobliwa. W głębi duszy ucieszył się potrójnie. Dzieci okazywały się nieskazitelnie wychowane, miał zyskać na obiad kolejną niespodziankę, a do tego jeszcze mógł mieć żonę dla siebie. Same przyjemności.

Pani Krystyna miała wyraz twarzy uprzejmie nieodgadniony.

- Przypuszczam, że jutro na obiad też będzie wszelki wypadek w odmiennym wydaniu - powiedziała, wciąż z tym samym spokojem. Na dobre jej dzieci odzyskały głos w połowie zmywania.

-Myślisz, że matka zgadła? - spytał ponuro Pawełek, wycierając kolejny talerz. - Coś zgadła na pewno - odparła Janeczka i chlapnęła do zlewozmywaka jeszcze trochę Ludwika. - I wyraźnie nam dała do zrozumienia, że nie naskarzy przed ojcem, jeżeli przestaniemy się wygłupiać. Wszystko jej do głowy nie przyszło, bo zdaje się, że porucznik z nią rozmawiał... -I myślisz, że co...? -I tak się zastanawiałam... Pan Wolski nas uratował. Przypomnij sobie, porucznikowi wyszło, że te opony to nie my, tylko on. Możliwe, że powiedział to matce, więc trochę się uspokoiła. Nie mam nic przeciwko temu, żeby było na pana Wolskiego i nawet mogę mu odrobinę przebaczyć, że jest jakiś taki wstrętny i nieużyty. - No tak - powiedział Pawełek po chwili, odstawiając wytarty półmisek. - To teraz podpaść, nie daj Boże! Przeczekać chyba musimy, albo co? Wcale mi się to nie podoba. - Całe szczęście, że wymyśliliśmy te obiady. Rozumiesz, jest zupełnie niemożliwe czepiać się osób upiornie grzecznych, które mu dają na talerzu nadzwyczajną potrawę. Musiałby ją przestać jeść, a nie wierzę, że przestanie jeść wieprzowinę i pierogi. Pierogi mu damy jutro. Pawełek kiwnął głową. Istotnie, było nie do pomyślenia spożywać produkty, przygotowane rękami kochających dzieci, a równocześnie te dzieci karcić, względnie ostro im czegoś zabraniać. Pomysł Janeczki, do autorstwa którego sam nie miał pretensji, okazał się rewelacyjny! - Aby tylko nie kazali nam czegoś znów obiecywać! - rzekł z troską. - Ten Seler... No trudno, musimy spauzować. Przez ten czas może Bartek i Stefek... Wytarł salaterkę, pomyślał i podjął decyzję. - Ale ciupagę jednak będę nosił przy sobie. Nie ma zakazu. I co mi właściwie szkodzi przespacerować się na Fałata? - Sam powiedziałaś, że musimy przeczekać - przypomniała sucho Janeczka. - Właściwie wszystko wiemy, więc chwilowo nic nie musimy robić... - A czy ja powiedziałem, że będę coś robił? - oburzył się Pawełek. - Co, mam zmieniać sejm, ustawy, ministrów i nie wiem, co tam jeszcze? To może trochę później, jak już zostanę prezydentem. A teraz będę sobie nosił ciupagę wyłącznie na wszelki wypadek...

KONIEC